Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rafał Blechacz, zwycięzca Konkursu Chopinowskiego
Znów ją zobaczyłem siedzącą w pierwszym rzędzie ▸ 31

WYSOKIE OBCASY
Czas na nową empatię

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jak nazwać zbrodnię w Gazie

Co się zmieni po uznaniu państwa palestyńskiego ▸ 4

FOT. OMAR AL-QATTAA / AFP

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 40>

Twój kod pocztowy zadecyduje, czy wyzdrowiejesz ▸ 11

Jak rozpoznać w sieci **kremlowskiego trolla** ▸ 16

Skarpetki z logo uczelni Uniwersytet jak zakon ▸ 20

Wakacje w Tajlandii czy wnuki Szwedzcy dziadkowie są rozdarci ▸ 34

Sobota–czwartek, 4-9 października 2025 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 231.11028, 1 Nakład 74 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 71cea234a7

„Wczoraj byłaś zła na zielono". Czytelnicy „Wyborczej" przyznali swoją „Nike 2025" książce Elizie Kąckiej

Rudość rzuca wyzwanie

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wojciech Szot

Kącka najpierw porywa zagadkową sceną, a potem dalej, scena po scenie, pokazuje, jak to jest mieć „niestandardowe" dziecko".

„To książka o doświadczeniu bycia matką dziecka neuroatypowego. Esej autobiograficzny z elementami fikcji" – to tylko dwa fragmenty z kilkudziesięciu recenzji książki Elizy Kąckiej, które czytelnicy nadesłali do redakcji „Wyborczej" głosując na nią w plebiscycie na „Nike" publiczności.

„To jest książka wymierzona w role społeczne" – tak mówiła o niej w rozmowie z „Wyborczą" sama autorka.

„Nike" Czytelników „Gazety Wyborczej", to głosowanie towarzyszące finałowi Nagrody Literackiej „Nike", której laureatkę lub laureata poznamy wieczoremw niedzielę 5 października.

Książka, która zatyka czytelnika"

W otwierającej książkę scenie bohaterka rozmawia z pracownikiem pomocy społecznej, który odbiera od niej zabawki.

Matka i córka przeprowadzają się.

– Nie przyjęli nas do przedszkola w Lidzbarku. Dopiero w Warszawie – mówi.

– O, psubraty – odpowiada zaskoczony mężczyzna. I jak to między dorosłymi, gdy pojawia się temat dzieci, zaczyna się – tylko pozornie – zwyczajna rozmowa.

On z rozrzewnieniem wspomina, jak jego córka bawiła się liczydłem. Do kolorowych koralików dokładała ziarnka ryżu. Koralik – ziarnko.

Eliza Kącka

„Wczoraj byłaś zła na zielono"

wyd. Karakter, Kraków

– Szybko złapała – cieszy się mężczyzna

– Moja nigdy nie złapie – mówi narratorka książki.

– Jak to? – tym razem zaskoczenie osiąga kulminację. „Zatkało go", komentuje kobieta.

Czytelnika też „zatyka".

Eliza Kącka, mieszkająca w Warszawie literaturoznawczyni, w tej wymykającej się klasyfikacjom książce, opisuje kilkanaście lat wspólnego życia – matki i córki, „dwugłowego smoka o odmiennych głowach", jak mówiła w rozmowie z „Wyborczą". Córka to dziecko neuroatypowe, choć Kącka nie posługuje się kategoriami diagnostycznymi.

Rudość rzuca wyzwanie

„Nikt nie przewidział, wszyscy pocieszali, a ja świetnie się bawiłam" – pisze Kącka.

Gdy dziecko stanęło na „chudych nóżkach", ruszyło przed siebie z zaskakującą mocą. Nikt nie mógł zmienić upatrzonej przez malucha trasy. „Z początku bawiło mnie, że wszystkie spacery odbywały się tak samo, że chodziła swoim tropem z dokładnością co do chodnikowej płytki". Zmiana trasy była niemożliwa, sprawiała ból dziewczynce, którą narratorka zaczyna nazywać Rudą. To „rudość rzuciła wyzwanie". Przed oczami matki po raz pierwszy z całą mocą objawiła się inność, która stała się – jak sama pisze – również jej udziałem.

„Wczoraj byłaś zła na zielono" to opowieść o inności, próbach zrozumienia, ale też trudnej nauce tego, że nie wszystko da się zrozumieć. Może w racjonalnym świecie to właśnie inność dzieci jest ostatnią dostępną metafizyką?

Stawiać kwestie w poprzek

Eliza Kącka opowiadając o książce przytacza wiersz Wisławy Szymborskiej, „Rozmowa z kamieniem". „To ja, wpuść mnie" – mówi do kamienia podmiotka lityczna wiersza. W finale, kamień przypomina o prawdzie, która kończy rozmowę: „Nie mam drzwi". Jak rozmawiać z kimś, kto nie wie, czy ma drzwi?

Narratorka „Wczoraj byłaś zła..." pisze: „Ruda, nie kto inny, pokazała mi, jak stawiać kwestię w poprzek, odwracać porządki, mieszać abstrakcję z konkretem".

„Wczoraj byłaś zła..." to kilkaset stron poruszających historii. Bywa strasznie i smutno, gdy Ruda w wyniku przemocy rówieśników wybiera milczenie i malowanie w pokoju z zasłoniętymi oknami. Bywa też zabawnie i poruszająco.

Może tak właśnie jest w „Krainie Moroufków"?

W krainie Moroufków

„Przy obiedzie siedziałyśmy same. (...) Podniosła główkę i powiedziała kategorycznie: – Idę do Moroufków". Pierwsze słowa po tygodniach milczenia.

W świecie Moroufków Ruda przebywała przez dwa lata. „Nigdy nie powiedziała, kim dla niej są." – pisze Kącka.– –„Nie liczę, że kiedyś się do mnie odezwą, ale gdyby jednak społeczność Moroufków życzyła sobie wysłać mi sygnał, list w butelce, zahaczkę, to zgłaszam, że nazywam się Pingwin, mieszkam przy Sieleckiej, niewiele rozumiem,

OGŁOSZENIE Kraj/34392128

eprasa.pl 71cea234a7

Jak pisała Maria Janion „nie wystarczy coś zobaczyć, przeżyć lub nawet pojąć. Trzeba to jeszcze umieć opowiedzieć”

jestem matką ich przyjaciółki – Rudej, z którą zawarli przymierze. Dali jej imię Ciekawość. Nie mam żadnych roszczeń. Jest mi ciężko. Chciałabym czasem o coś spytać. Może dowiedziałabym się o moim dziecku czegoś więcej. A może po prostu znalazłoby się dla mnie miejsce pod ścianą?”

Można tylko sobie wyobrazić jak wielu rodziców i opiekunów dzieci przebywających w światach nam niedostępnych, zapłaciłoby dowolną cenę za choćby krótką konsultację z Moroufkami.

„Rzeczy, które usłyszałam jako matka”

Książka Kąckiej jest dokumentem, w którym zapisane zostają doświadczenia matki neuroatypowego dziecka w kontaktach ze społeczeństwem. „Świat społeczny to talia ról”, przypomina Kącka. A co jeśli ktoś gra na własnych zasadach lub nie odnajduje się w regułach?

Poruszające są niewielkie rozdziały zatytułowane „Rzeczy, które usłyszałam jako matka”. Ktoś mówi „Nie może pani za dużo oczekiwać”. Ale zaraz pojawia się rada: „Ma pani problem z brakiem oczekiwań. Musi pani mieć nadzieję, dla dziecka!”. Są pretensje: „Mówisz o dziecku jak o insekcie. Zimno. Za dużo analizujesz. To jest żywy człowiek, wiesz?”. Są pretensje ale na opak: „Słuchaj, Eliza, trochę więcej analizy. Ty jesteś za bardzo emocjonalna, miotasz się, dziecko wymaga trzeźwości”. Każdy wie lepiej, każdy ma swój pomysł. Także na to, jak pisać książkę, którą Kącka napisała.

Jak tak można pisać?

W niektórych recenzjach pojawia się pytanie: „ale jak można było to zrobić własnemu dziecku?”

Kącka wielokrotnie wyjaśniała w wywiadach, że córka była pierwszą (i jedyną) recenzentką jej książki, a podczas pisania wszystkie trudniejsze kwestie były wspólnie omawiane. Jednocześnie upomina się o prawo do własnej opowieści.

Jak pisała profesor Maria Janion „nie wystarczy coś zobaczyć, przeżyć lub nawet pojąć. Trzeba to jeszcze umieć opowiedzieć”.

W rozmowie z „Wyborczą” Kącka broniła pomysłu na książkę, zauważając, że przykładamy różne standardy do oceny opowieści wyrastających z autobiograficznego doświadczenia. W przypadku męskich historii łatwiej nam zachwycić się formą, dostrzec konstrukcję i literacki zamysł. „Kobietom – mówi Kącka – trudniej dowieść intelektualnej obróbki tematu. Trudniej nie być utożsamianą z bohaterkami lub narratorką opowieści. Zwłaszcza, gdy na wokandę prozy wchodzi krzywda, inność, choroba. Tu jeszcze trudniej dowieść, że pisarstwo może być sztuką. I że kobiecy głos w literaturze jest uniwersalizowalny. A przecież decyduje forma”.

I – możemy teraz dodać – zaufanie czytelników do narratorki, która przyznaje się do bezradności, a mimo to uparcie próbuje znaleźć klucz do Rudej. Finalnie go nie znajduje. Może i dobrze, bo nie wiemy – jak pyta w pewnym momencie sama Ruda – czy byłby to klucz otwierający, czy zamykający?

Pieśń miłosna ku innemu światu

Nagrodzona przez Czytelników „Wyborczej” książka jest zarówno relacją ze wspólnego życia, jak i traktatem filozoficznym wokół pytania o to, czy inne światy istnieją. I czy literatura daje szansę na włamanie się do tych przestrzeni.

„Ta książka jest dla mnie pieśnią miłosną zwróconą ku innemu światu. Ku światu mojego dziecka” – mówiła Kącka. Sądząc po tym, jak wiele osób poruszyła jej opowieść – był to też list miłosny do wszystkich, którzy wierzą, że świat Moroufków bywa równie realny jak świat nagród literackich.

Kim jest Eliza Kącka?

Urodziła się w Lidzbarku Warmińskim i jest doktorką nauk humanistycznych związaną z Uniwersytetem Warszawskim. Napisała dwie książki akademickie: „Stanisław Brzozowski wobec Cypriana Norwida” i „Lektura jako spotkanie. Brzozowski – tekst – metoda”. Była również redaktorką wyborów poezji m.in. Cypriana Kamila Norwida, Marii Konopnickiej i Henryki Łazowertówny.

Zajmuje się krytyką literacką. W 2023 roku ukazały się „Idiomy”, zbiór esejów poświęconych ważnym dla Kąckiej twórcom i twórczyniom.

Była członkinią kapituły Nagrody Literackiej Gdynia, a także jurorką Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Kącka od wielu lat publikuje krótkie formy prozatorskie. Jako prozaiczka zadebiutowała w 2015 roku książką „Halo? pani Elizo? archiwalia”.

Opublikowała: „Elizje” (2017), „Po drugiej stronie siebie” (2019) i „Strefę zgniotu” (2022). To często fragmentaryczne, krótkie historie i dialogi będące artystycznym przetworzeniem zasłyszanych przez narratorkę rozmów.

„Założyłam sobie, że istnieją też teksty czwartego rodzaju. Takie, którymi wymieniają się ludzie, żeby nic nie powiedzieć” – mówiła w rozmowie z Bartoszem Sadulskim. – „To nie podsłuchiwanie dowcipów. Sens ma spisanie czegoś, co jest niespodziewane i co uświadamia komuś takiemu jak ja absurdalność naszych mówień. Mówień bez namysłu. Robię po prostu notatki z tego, jak to plemię gada”. ●

Kod dostępu do Wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
I BĄDŹ NA BIEŻĄCO CAŁY WEEKEND*

V5F73ST

1
Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2
Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
3
Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4
Aktywuj dostęp w ten weekend

*Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl
Dostęp do serwisu w dniach 4-5.10.2025 r.

1 RP

INNI FINALIŚCI „NIKE” 2025

Beata Guczalska, „Konrad Swinarski. Biografia ukryta”, Wydawnictwo Literackie, Kraków

Ignacy Karpowicz, „Ludzie z nieba”, Wydawnictwo Literackie, Kraków

Kora Tea Kowalska, „Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy”, wyd. Karakter, Kraków

Dorota Masłowska, „Magiczna rana”, wyd. Karakter, Kraków

Tomasz Różycki, „Hulanki & Swawole”, wyd. a5, Kraków

Paweł Sołtys, „Sierpień”, wyd. Czarne, Wołowiec

Nagroda Literacka „Nike” w liczbach

203...
• tytuły znalazły się w 29 finałach nagrody

137...
• autorów może mówić o sobie „finalista Nike”

67...
• nominacji uzyskały książki wydane przez Wydawnictwo Literackie z Krakowa

10...
• razy nominowano do „Nike” książki Jerzego Pilcha i Andrzeja Stasiuka

6...
• razy do finału nagrody docierały książki Tadeusza Różewicza

5...
• razy w plebiscycie czytelników „Wyborczej” zwyciężała Olga Tokarczuk

2...
• autorów zdobyło „Nike” dwukrotnie. To Olga Tokarczuk i Wiesław Myśliwski

Gdzie oglądać finał?

• W niedzielę 5 października „Nike” zostanie przyznana po raz 29. Gala odbędzie się tradycyjnie w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Będzie ją można zobaczyć na **Wyborcza.pl** oraz w **TVP2 i TVP Kultura**. Początek transmisji: o **godz. 20:30**

Nagroda Literacka „Nike” w pigułce

• Od 1997 r. jest przyznawana za najlepszą książkę poprzedniego roku. W konkursie biorą udział książki reprezentujące wszystkie gatunki literackie. Nie można jej przyznać pośmiertnie, nie można podzielić ani nie w ogóle nie przyznać.

• Autor/ka nagrodzonej książki dostaje statuetkę zaprojektowaną przez Gustawa Zemłę oraz nagrodę pieniężną – 100 tys. zł.

• Laureatami są m.in. Olga Tokarczuk, Czesław Miłosz, Mariusz Szczygieł, Joanna Bator, Wiesław Myśliwski, Dorota Masłowska, Andrzej Stasiuk i Zyta Rudzka,

• W ub. r. „Nike” – za tom poezji „Raptularz” – otrzymała Urszula Kozioł. Plebiscyt czytelników wygrał Michał Witkowski i jego „Autobiografia. Wiara”.

• W tym roku w jury zasiadają: Anna Arno, Witold Bereś, Bogdan Białek, Andrzej Brzeziecki, Justyna Jaworska (przewodnicząca), Zbigniew Mentzel, Radosław Romaniuk, Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Krzysztof Siwczyk.

Andrzej rysuje

eprasa.pl 71cea234a7

WAŻNY TEMAT

I tak was

Nieudolni, skorumpowani i łatwowierni. Co się zmieni po uznaniu państwa palestyńskiego

Mariusz Zawadzki

Nieistniejące państwo palestyńskie zostało właśnie uznane przez Wielką Brytanię, Francję, Australię, Kanadę, Portugalię i Belgię. Te kraje dołączyły do klubu, w którym łącznie jest już 157 ze 193 członków ONZ, w tym 17 z 27 członków Unii Europejskiej – Polska uznała Palestynę jeszcze w 1988 roku, u schyłku komunizmu. Czy nowa fala „uznań" coś realnie zmienia dla Palestyńczyków?

Odpowiedź brzmi: Absolutnie nic.

Ale coś się jednak w ostatnich miesiącach zmieniło.

Kiedy tydzień temu premier Izraela Beniamin Netanjahu leciał na coroczną sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ, jego samolot obrał nietypowy kurs. Najkrótsza droga z Tel Awiwu do Nowego Jorku wiedzie nad Francją albo Hiszpanią. Ale izraelska delegacja ominęła ich przestrzeń powietrzną i przemknęła się nad Atlantyk Cieśniną Gibraltarską, choć to wydłużyło lot o godzinę.

Dlaczego? Otóż rządy obu krajów ostro krytykują wojnę w Strefie Gazy. Trzy miesiące temu hiszpański premier Pedro Sánchez stwierdził, że Izrael dokonuje tam ludobójstwa. Francja i Hiszpania uznają Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, który rok temu wydał nakaz aresztowania Netanjahu. Prokurator trybunału oskarża go o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości – przede wszystkim o celowe głodzenie ludności cywilnej Gazy, bo to najłatwiej udowodnić.

Kiedy bomba spada na cywilów, zawsze można powiedzieć, że to tragiczny przypadek – nieuchronny podczas każdej wojny. Ale jeśli ciężarówki z żywnością są zatrzymywane na granicy Gazy, w której głodują tysiące dzieci, to już nie można powiedzieć: „Ubolewamy, ale to niechcący".

Najwyraźniej izraelski premier obawiał się, że jego samolot zostanie przechwycony i zmuszony do lądowania, a on sam trafi do aresztu na podstawie nakazu haskiego trybunału. Szczególnie Hiszpanie są nieobliczalni – w 1998 roku na podstawie nakazu hiszpańskiego sędziego aresztowano w Londynie generała Pinocheta. Przez 17 miesięcy emerytowany dyktator Chile siedział w areszcie domowym, zanim Brytyjczycy, którzy procedowali hiszpański wniosek o ekstradycję, wypuścili go ze względu na zły stan zdrowia. Ale Izraelczycy bali się nawet Francuzów, którzy nigdy nie byli tak obcesowi. Z przecieków wiadomo, że przed lotem dyskretnie dopytywali w Paryżu, czy szokujący scenariusz z przechwyceniem samolotu jest możliwy. Dostali zapewnienie, że absolutnie nie. Mimo to Netanjahu nie zdecydował się lecieć nad Francją.

Ta podniebna ekwilibrystyka pokazuje, że Netanjahu ma teraz status podobny jak kiedyś Pinochet, a dziś Putin i kilkunastu afrykańskich watażków również poszukiwanych przez trybunał w Hadze, którzy bardzo ostrożnie planują zagraniczne podróże.

A sam Izrael na całym świecie kojarzy się bardzo źle, podobnie jak Chile za czasów dyktatury albo RPA w czasach apartheidu. Moralną i wizerunkową katastrofę odczuwają izraelscy turyści. Kiedy meldują się w hotelu w Rio de Janeiro, Barcelonie czy Sydney i wyciągają paszport, to recepcjonista przestaje się uśmiechać. Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie, ale dosyć często.

Konsekwencje ponoszą też sportowcy, nawet niekoniecznie izraelscy. Grupę kolarską Israel-Premier Tech właśnie wykluczono z włoskiego wyścigu Giro dell'Emilia, który odbędzie się na początku października, bo organizatorzy obawiali się, że powtórzy się fiasko z Vuelta a Espana. Dwa tygodnie temu ostatni etap słynnej hiszpańskiej etapówki został odwołany, bo propalestyńscy demonstranci, którzy już wcześniej zakłócili kilka etapów, tłumnie wyszli na ulice Madrytu. A wcześniej dostawca rowerów dla drużyny zapowiedział, że „nie będzie kontynuował współpracy bez zmiany nazwy i flagi".

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

zbombardyję

Globalny sondaż waszyngtońskiego Pew Research Center przeprowadzony pół roku temu pokazał, że negatywną opinię o Izraelu ma: 78 procent Holendrów, 75 procent Hiszpanów, 64 Niemców, 63 Francuzów, 62 Polaków, 79 Japończyków, 74 Australijczyków i – uwaga! – aż 53 procent Amerykanów.

W USA najbardziej szokują wyniki badań ludzi młodych poniżej trzydziestego roku życia. W obecnej wojnie 14 procent z nich sympatyzuje z Izraelem, a 33 – z Palestyńczykami.

•

Ale dla Izraela jako państwa nic się nie zmieni. Dopóki ma bezwarunkowe poparcie USA, pozostaje całkowicie bezkarny. Netanjahu nie musi przecież latać do Europy, w Waszyngtonie zawsze go przyjmą po królewsku. Może robić, co tylko zechce z Palestyńczykami, i bombardować kogo tylko zapragnie. Pokazał to niesłychany nalot, jaki Izraelczycy na początku września przeprowadzili w Katarze, czyli kraju, który jest jednym z najbliższych sojuszników Ameryki na Bliskim Wschodzie. Znajduje się tam amerykańska baza wojskowa.

Kilka miesięcy temu Katarczycy podarowali Donaldowi Trumpowi luksusowy, wart 400 milionów dolarów samolot Boeing 747 – jumbo jet – żeby go sobie przerobił na Air Force One, a po zakończeniu drugiej kadencji zabrał do „prezydenckiej biblioteki", czyli w istocie dla siebie.

Była to bodaj największa w historii jawna łapówka czy, jak kto woli, wiernopoddańcza danina, ale nawet ona nie uchroniła Kataru przed izraelskim nalotem. Izraelskie samoloty odpaliły dziesięć rakiet. Oprócz pięciu polityków Hamasu zginął katarski strażnik. Zniszczony budynek znajduje się w jednej z najlepszych dzielnic Doha, stolicy Kataru, między ambasadami, konsulatami i domami miejscowych bogaczy. Trump komentował, że „nie jest fanem tego nalotu" i że „atak na bliskiego sojusznika Stanów Zjednoczonych nie służy interesom Izraela". Ale na delikatnym publicznym klapsie dla niesfornego Netanjahu się skończyło.

Półtora roku temu Izrael zbombardował irański konsulat w Damaszku, a rok temu podłożył bombę w rządowym hotelu w Teheranie, gdzie nocował ówczesny przywódca Hamasu Ismail Hanija. Takich rzeczy nie robi żaden kraj na świecie.

•

Kiedy tydzień temu Netanjahu wchodził na mównicę w ONZ, reprezentanci 77 krajów demonstracyjnie wyszli z sali. Nie stracił rezonu. Skrytykował państwa, które uznały nieistniejącą Palestynę, oraz zapowiedział, że wojna w Gazie będzie kontynuowana, a prawdziwa Palestyna jest absolutnie wykluczona. Wyjaśniał, że „gdyby pozwolić Palestyńczykom na stworzenie państwa dwa kilometry od miejsca, gdzie miała miejsce masakra 7 października 2023 roku, to tak, jakby pozwolić Al-Kaidzie na stworzenie państwa dwa kilometry od Nowego Jorku, gdzie jej terroryści zaatakowali 11 września 2001 roku".

100

TYSIĘCY TON

• **bomb zrzucił Izrael w Strefie Gazy. To w sumie ładunek sześć razy mocniejszy niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę**

• **Na zdjeciu: ruiny dzielnicy Nasr w zachodniej części miasta Gaza** FOT. OMAR AL-QATTAA/AFP

„Terroryzm" to ulubione słowo Netanjahu, na forum ONZ użył go 25 razy. Oczywiście jest prawdą, że Hamas jest organizacją terrorystyczną. Ale też jest prawdą, że terroryzm raczej nie bierze się znikąd, tylko prawie zawsze jest wynikiem jakiejś ludzkiej krzywdy.

Baskijscy terroryści ETA, irlandzcy terroryści IRA, sunniccy terroryści w amerykańskim Iraku, szyiccy terroryści z Hezbollahu, czeczeńscy terroryści pod komendą Szamila Basajewa, czarni terroryści walczący z apartheidem w RPA, żydowscy terroryści w brytyjskiej Palestynie w latach 30. i 40. XX wieku – oni wszyscy nie mordowali dlatego, że po prostu byli „złymi ludźmi". Wywodzili się z grup społecznych lub narodów, które czuły się pokrzywdzone lub prześladowane. Co oczywiście nie usprawiedliwia ich zbrodni, ale pozwala zrozumieć kontekst.

Niektórzy z tych terrorystów – Irlandczyk Gerry Adams, Żydzi Icchak Szamir i Menachem Begin oraz Afrykanin Nelson Mandela – po latach przebrali się w garnitury i zostali deputowanymi do parlamentów, premierami i prezydentami. Jeden dostał nawet pokojowego Nobla! Mandela, bo o nim mowa, jeszcze w latach 80. był na amerykańskich i brytyjskich listach terrorystów, a w 1961 roku mówił: „To rasistowski reżim zmusił nas, żebyśmy walczyli zbrojnie".

eprasa.pl 71cea234a7

Również terroryzm Hamasu to konsekwencja ludzkiej krzywdy. Jest ona tak oczywista, że nie trzeba przeczytać tuzina książek o Bliskim Wschodzie, żeby ją zrozumieć.

Na małym skrawku ziemi między Morzem Śródziemnym mieszka obecnie 7milionów Żydów i 7 milionów Palestyńczyków. Jedni i drudzy mają uzasadnione moralnie prawa, żeby tam żyć. Ale Żydzi zajęli już 90 proc. tego skrawka i właśnie szykują się do aneksji kolejnych kawałeczków – to znaczy: zapowiadają aneksję kawałków na Zachodnim Brzegu Jordanu. Przy czym Żydzi są średnio 20 razy bogatsi niż ich palestyńscy sąsiedzi. Roczny dochód na mieszkańca to odpowiednio 43 310 dolarów w Izraelu i 2134 dolary w Autonomii Palestyńskiej.

O tej rażącej dysproporcji w podziale ziemi i dóbr należy przypominać do znudzenia, bo to klucz do zrozumienia problemu. Publicyści piszący o konflikcie bliskowschodnim czasami drobiazgowo analizują, czy kolejne morderstwa popełniane przez jedną stronę są „uzasadnioną odpowiedzią na morderstwa drugiej strony", czy przeciwnie, są „nieuzasadnione i niemoralne".

Takie analizy są zupełnie bezsensowne. Seria morderstw trwa już od 100 lat i dawno przestało mieć znaczenie, „kto zaczął". Takie analizy można robić w piaskownicy, kiedy pobiją się dzieci, i wtedy, jak powszechnie wiadomo, zawsze jest wina tego, kto zaczął. Nie ma też żadnego znaczenia, czy 100 lat temu „Palestyńczycy" byli narodem, czy nie było żadnego takiego narodu – jak twierdzi wielu Izraelczyków.

Podobno, kiedy pod koniec XIX w. w Palestynie pojawili się żydowscy osadnicy, zastali tylko niepiśmiennych arabskich pasterzy bez żadnych ambicji narodowych i bez żadnego poczucia wspólnoty. „Nie było czegoś takiego jak Palestyńczycy, więc nie ma sensu tworzyć prawdziwego kraju dla wyimaginowanego narodu" – mówił w 2009 r. historyk Benzion Netanjahu, ojciec obecnego premiera.

Polemika z jego tezą nie ma sensu. Nawet jeśli na chwilę przyjmiemy, że 150 lat temu była prawdziwa, od tamtego czasu „arabscy pasterze" przeżyli wspólnie tyle, że w 2025 r. bez żadnych wątpliwości mają poczucie wspólnoty i są narodem.

Narodem w sytuacji katastrofalnej. Dopóki to się nie zmieni, dopóty palestyńscy terroryści nie znikną. Nie da się ich wytępić bombami, choćby Izrael zrzucił następne 100 tys. ton – bo tyle już zrzucił w Strefie Gazy; to ładunek łącznie sześć razy mocniejszy niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

•

Czy zatem jest jakakolwiek realna szansa na poprawę sytuacji Palestyńczyków? Europa im nie pomoże, musiałaby wprowadzić embargo na handel z Jerozolimą, dopiero to byłoby dla Izraelczyków odczuwalne. Ale oczywiście na coś takiego Europejczycy – po wielowiekowej historii prześladowań Żydów – nigdy się nie zdecydują.

W Izraelu też nie będzie zasadniczych zmian. Poza redakcją lewicowego „Haaretza" nikt nie chce państwa palestyńskiego i wszyscy zgodnie potępiają kraje, które uznały jego fantomową wersję. Minister finansów Becalel Smotricz stwierdził wręcz, że właściwą odpowiedzią na deklaracje o uznaniu Palestyny powinna być aneksja Zachodniego Brzegu Jordanu. Nie trzeba zresztą żadnej formalnej aneksji, ona się dokonuje od kilku dekad z pomocą żydowskich osadników.

11 września Netanjahu podpisał zgodę na kolejne 3400 domów w osiedlach na Zachodnim Brzegu i z tej okazji ogłosił, że „nie będzie żadnego państwa palestyńskiego, bo to miejsce należy do nas". Przywódcy opozycji tak samo jak Netanjahu mówią, że „uznawanie Palestyny to nagroda dla terrorystów". – Nie pomoże to nawet jednemu Palestyńczykowi, a tylko ośmiela siły zła – komentował ponadpartyjny prezydent Izaak Herzog. Kiedy kilka miesięcy temu Trump ogłosił plan, żeby wysiedlić wszystkich Palestyńczyków ze Strefy Gazy i stworzyć tam luksusowy śródziemnomorski kurort, jego pomysł poparło w sondażu Kanału 13, jednej z głównych izraelskich telewizji, 82 procent izraelskich Żydów.

Wcale nie jest przesądzone, że najbliższe wybory, które zgodnie z planem powinny się odbyć w październiku 2026 r., zakończą karierę 75-letniego dziś Netanjahu. Obecne sondaże dają jego partii, prawicowemu Likudowi, spore szanse na zwycięstwo.

Wprawdzie nowa koncepcja, którą premier ogłosił dwa tygodnie temu, że Izrael musi się stać „Nową Spartą" i przygotować na globalną izolację, nie wywołała entuzjazmu, ale przez rok wiele może się zdarzyć. A jeśli ktoś odbierze mu władzę, to zapewne 53-letni Naftali Bennett, były premier, który jest za szybkim zakończeniem wojny w Gazie i przeciwko „Nowej Sparcie", ale też kategorycznie wyklucza powstanie państwa palestyńskiego.

Niczego dobrego nie należy się spodziewać również po Autonomii Palestyńskiej. Kiedy powstawała w 1995 r., miała być zalążkiem niepodległego państwa. Po 30-tu latach powinna zostać przemianowana na Katastrofę Palestyńską. Jej przywódcy są przegrani na wielu poziomach: nieudolni, skorumpowani, a najgorsze: łatwowierni, skoro 30 lat temu uwierzyli Izraelowi. Tak są dzisiaj postrzegani przez rodaków.

Ale klęskę poniósł również Hamas, który początkowo odrzucał Autonomię i głosił, że nie można wierzyć Izraelowi, tylko trzeba zbrojnie wywalczyć niepodległość. Masakra z 7 października 2023 r. nijak nie przybliżyła powstania państwa palestyńskiego, a jedynie wzmocniła determinację Żydów, żeby do niego nie dopuścić.

Jeśli istnieje jakiś palestyński Mandela, to jeszcze się nie objawił.

•

Najprędzej zmiana jest możliwa w Ameryce. Nie teraz, tylko mniej więcej za dwie-trzy dekady, kiedy pokolenie dzisiejszych dwudziestoparolatków zdobędzie władzę w Waszyngtonie. Ale być może ci młodzi zbuntowani zostaną do tego czasu zmłotkowani przez potężne proizraelskie lobby – jak większość dzisiejszych amerykańskich polityków.

W zeszłym roku, kiedy Amerykanie wybierali prezydenta, niższą izbę Kongresu i jedną trzecią senatorów, lobby wydało na kampanię wyborczą prawie 100 mln dolarów. Nie tylko na kandydatów, którzy są sprawdzonymi przyjaciółmi Izraela, ale również przeciwko kandydatom, którzy go krytykują. Nowojorski kongresmen Jamaal Bowman, który twierdził, że w Gazie popełniane jest ludobójstwo, przegrał prawybory w Partii Demokratycznej m.in. dlatego, że jego kontrkandydat dostał 15 mln dolarów od lobby proizraelskiego. To były najdroższe prawybory w historii amerykańskiego Kongresu.

Podobny los spotkał jego partyjną koleżankę Cori Bush z St Louis, przeciwko której lobby rzuciło w prawyborach 10 mln.

Los tej dwójki jest przestrogą dla wszystkich polityków, którzy odważyliby się wystąpić przeciwko Izraelowi. Niezwykle rzadko zdarza się, że kongresmen przegrywa w prawyborach – szansa wynosi mniej więcej 1 procent, bo kongresmeni są znani wyborcom, najczęściej już się komuś zasłużyli i dlatego łatwiej im znaleźć sponsorów na kampanię. A jednak AIPAC, American Israel Public Affairs Committee, czyli największa w USA organizacja proizraelska, dwukrotnie dokonała niemożliwego.

•

AIPAC nie jest finansowany przez Izrael. Ma dość darczyńców w Ameryce, także wśród miliarderów i milionerów. Niektórzy są nawet bardziej agresywni niż sam AIPAC.

Dwa lata temu miliarder Bill Ackman zorganizował kampanię wymierzoną w studentów Harvardu, którzy protestowali przeciwko wojnie w Gazie – opublikował ich nazwiska i apelował do dużych firm finansowych i kancelarii prawnych z Wall Street, żeby absolwentów z „czarnej listy" nie zatrudniały. Ponad 250 menedżerów i właścicieli podpisało takie zobowiązanie.

Obecne pokolenie amerykańskich polityków jest tak wytresowane, że momentami aż komiczne. Wiosną w telewizyjnej debacie kandydatów Partii Demokratycznej na burmistrza Nowego Jorku prowadzący dziennikarze zadali pytanie: „Jeśli zostaniesz burmistrzem, gdzie wybierzesz się w pierwszą podróż zagraniczną?".

W studiu było kilkoro kandydatów. Wszyscy jeden po drugim deklarowali, że pojadą do Izraela. Któryś przechwalał się nawet, że będzie to jego czwarta podróż do Izraela. Tylko 33-letni Zohran Mamdani, który kilka miesięcy wcześniej publicznie oskarżał Izrael o zbrodnie wojenne, odparł: – Zamierzam zostać w Nowym Jorku, bo jako burmistrz zamierzam skupić się na rozwiązywaniu problemów nowojorczyków...

Przytomna odpowiedź Mamdaniego wywołała rwetes, wszyscy w studiu uznali ją za kontrowersyjną. Prowadząca debatę domagała się wyjaśnień: – Panie Mamdani, czy jako burmistrz odwiedzi pan Izrael?

– Jako burmistrz będę wspierał nowojorskich Żydów we wszystkich pięciu dzielnicach naszego miasta i będę się z nimi spotykał w synagogach, w metrze, w ich domach i na ulicach Nowego Jorku...

– Panie Mamdani, czy wierzy pan w żydowskie państwo Izrael?

– Wierzę, że Izrael ma prawo do istnienia...

– Jako państwo żydowskie?

– Jako państwo, w którym wszyscy obywatele mają równe prawa.

Faworyt prawyborów Andrew Cuomo, były gubernator stanu Nowy Jork, krzyczał triumfalnie: – Słyszeliście?! Powiedział, że nie pojedzie do Izraela!

Mamdani sensacyjnie go pokonał i niemal na pewno zostanie burmistrzem, bo zdecydowanie prowadzi w sondażach przed wyborami powszechnymi 4 listopada. Jest teraz najjaśniejszą gwiazdą Demokratów. Jego zawrotna kariera jest dzwonkiem alarmowym dla lobby, bo pokazuje, że silny antyizraelski przekaz już nie przekreśla polityka w Ameryce. Nie tylko zresztą na lewicy.

•

W Partii Republikańskiej razem z Trumpem też pojawiły się postacie, które nie przeszły tresury AIPAC, bo nie są klasycznymi politykami. Jedna z nich to Marjorie Taylor Greene, nauczycielka wuefu ze stanu Georgia, która w 2020 r. wygrała wybory do Kongresu. Jest antysemitką w najbardziej zwariowanym sensie tego słowa. Kilka lat temu, jeszcze jako wuefistka, pisała na Facebooku, że pożary lasów w Kalifornii zostały wywołane przez Żydów, którzy użyli laserów sterowanych z kosmosu. Dzisiaj deputowana Greene mówi o „ludobójstwie w Gazie" – jako pierwsza w Partii Republikańskiej.

Ośmieliła innych zwolenników Trumpa, którzy dotąd skrywali poglądy zgodnie z zasadami politycznej poprawności. Tucker Carlson, kiedyś proizraelski gwiazdor telewizji Fox News, dziś nagle pyta: w zasadzie to dlaczego my, Amerykanie, co roku dajemy cztery miliardy dolarów w prezencie Izraelowi, który jest jednym z najbogatszych krajów świata? A Joe Rogan, najpopularniejszy podkaster w Ameryce, niedawno określił wojnę w Gazie jako „pieprzony obłęd" i odmówił przeprowadzenia wywiadu z Netanjahu.

Tama trzeszczy w wielu miejscach i proizraelskie lobby będzie musiało się dwoić i troić, żeby ją załatać. Niewykluczone, że najważniejsza bitwa o przyszłość Palestyny rozegra się właśnie w Ameryce. Bo gdyby ktoś pokroju Mamdaniego został prezydentem USA, to dostawy broni do Izraela skończyłyby się w dniu jego zaprzysiężenia. ●

1 RP

17 na 27

CZŁONKÓW UNII EUROPEJSKIEJ
• **A także 157 na 193 członków ONZ – uznaje państwo palestyńskie**

100

MILIONÓW DOLARÓW
• **wydało lobby izraelskie w zeszłym roku, kiedy Amerykanie wybierali prezydenta, niższą izbę Kongresu i jedną trzecią senatorów**

43 310

DOLARÓW
• **to roczny dochód na mieszkańca w Izraelu. W Autonomii Palestyńskiej – 2134 dolary**

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska. **GRAFICY:** Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Marta Błażejowska, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 71cea234a7

Zabijają niezgodnie z definicją

Jeśli w Gazie nie ma ludobójstwa, to co jest? Czy słowo „ludobójstwo" jest zarezerwowane tylko dla Holocaustu – wyjaśnia specjalista.

Wojciech Szot

W ostatnich tygodniach już nie tylko publicyści czy obrońcy praw człowieka, ale kolejni eksperci, od historyków po prawników, zaczynają mówić wprost: Izrael w Gazie dopuszcza się ludobójstwa. Jerozolima odrzuca oskarżenia, zarzucając krytykom antysemityzm. Na co obrońcy Palestyńczyków przytaczają liczby, dane i fakty: terroryści z Hamasu, którzy 7 października 2023 roku zaatakowali przygraniczne kibuce i festiwal muzyczny, zamordowali prawie 1200 osób, a 250 wzięli jako zakładników. Podczas trwającej niemal dwa lata izraelskiej kampanii wojskowej w ostrzale, bombardowaniach i pod gruzami zginęło ponad 64 tysiące osób, w tym ponad 18 tysięcy dzieci. Prawie wszystkich z około 2 milionów mieszkańców Gazy wojsko zmusiło do opuszczenia domów.

Mnożą się doniesienia o zawodach snajperów i celowaniu z premedytacją w dzieci, o żywych tarczach, o ostrzale kolejek po żywność i wodę oraz wyznaczonych przez wojsko „stref bezpiecznych".

I o głodzie - większość międzynarodowej pomocy humanitarnej Izrael blokuje, a nieliczne, trudno dostępne punkty dystrybucji żywności obsługuje tajemnicza, świeżo powołana organizacja powiązana z ludźmi amerykańskiego biznesu i otoczeniem Trumpa. Tylko w lipcu z powodu ostrego niedożywienia w Gazie hospitalizowano około 13 tysięcy dzieci, z których ponad 2,8 tysiąca cierpi na śmiercionośne ciężkie ostre niedożywienie. - Dzieci z niedożywienia tracą włosy, wzrok, cierpią na choroby skóry - wyliczała Marcie Urzędowskiej, naszej dziennikarce, rzeczniczka UNICEF Tess Ingram.

Pod koniec sierpnia stan klęski głodowej ogłosiła IPC - Klasyfikacja Faz Zintegrowanego Bezpieczeństwa Żywnościowego, globalna inicjatywa badawcza współpracująca z organizacjami pomocowymi i ONZ, co oznacza, że sytuacja w Gazie spełniła następujące kryteria: ekstremalny brak żywności u co najmniej 20 proc. gospodarstw domowych; ostre niedożywienie u co najmniej 30 proc. dzieci i śmierć co najmniej dwóch osób na 10 tys. dziennie z powodu „całkowitego głodu". Do tej pory IPC ogłaszało głód tylko pięć razy - w Somalii i Sudanie.

Nie tylko w USA, również w Polsce słowo zarezerwowane dotąd dla Zagłady czy rzezi Tutsi w Rwandzie zaczęło wchodzić do dyskursu publicznego w odniesieniu do Izraela.

WOJCIECH SZOT: Jedni mówią: Izrael w Gazie dokonuje ludobójstwa. Drudzy: To słowo nie na miejscu. Gdy tak kłócimy się o jakieś słowo, to może problem jest nie w tym, że nie wiemy, jak opisać dane wydarzenie, ale w samym terminie, którego używamy?

LECH NIJAKOWSKI*: Rzeczywiście jest kłopot z tym terminem. Nie ma jednej definicji ludobójstwa. Jest definicja prawna i kilkadziesiąt definicji socjologicznych. Podstawową – prawną – stworzył Rafał Lemkin na użytek „Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa", którą ONZ przyjął w grudniu 1948 roku. Definicję Lemkina powtórzono w wielu aktach prawnych, między innymi w Statucie Rzymskim powołującym Międzynarodowy Trybunał Karny w 1998 roku.

Przypomnijmy. Ludobójstwo „oznacza którykolwiek z następujących czynów, dokonany z zamiarem zniszczenia w całości lub części grupy narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej, takich jak: zabójstwo członków grupy; przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy".

– Obu aktów nie podpisało wiele krajów. Pod Konwencją podpisu nie złożyły Japonia, Indonezja i wiele krajów afrykańskich. Podpis spod Statutu wycofały Stany Zjednoczone i Rosja, a nigdy nie uznały go Indie, Chiny, Turcja czy Kazachstan. Zatem nie każdy – i nie w każdej sytuacji – uznaje prawną definicję ludobójstwa.

Do tego dochodzą pojęcia takie jak „zbrodnia przeciwko ludzkości" czy „zbrodnia wojenna". Gdy mamy tak wiele pojęć, oczywistym jest, że będziemy się spierać o granice ich definicji.

A mamy „ludobójstwo" modelowe, do którego moglibyśmy odnosić inne tragedie?

– Idealnie spełnia definicję Holocaust. To zbrodnia masowa, przeciwko konkretnej grupie, nastawiona na jej całkowite wyniszczenie.

Trzeba pamiętać, że lemkinowska definicja pojawia się w bardzo specyficznym momencie historii, gdy świat zakładał, że zbrodnia taka jak II wojna światowa nie może się powtórzyć i tworzył się nowy układ polityczny. Zatem jeśli mówimy o „ludobójstwie o Wołyniu", to używamy – w sensie prawnym – błędnego określenia. Pamiętajmy, że w Norymberdze nikogo za ludobójstwo nie skazano.

W procesie Hansa Franka wzięli udział dwaj wybitni polscy prawnicy: Lemkin i Hersz Lauterpacht. Ten drugi w latach 20. wyjechał Wielkiej Brytanii, gdzie doszedł do stanowiska profesora Uniwersytetu Cambridge. Lemkin w procesie przeciwko Frankowi wspierał Amerykanów, Lauterpacht – Brytyjczyków. Jeden oskarżał Franka o ludobójstwo, drugi o „zbrodnie przeciwko ludzkości", czyli masowe zabijanie indywidualnych jednostek. Za właściwą uznano jednak definicję Lauterpachta. A przecież nikt z nas nie ma wątpliwości, że w czasie II wojny światowej doszło do ludobójstwa.

Dlaczego przed Lemkinem nikt nie wpadł na pomysł zdefiniowania takiej zbrodni jak „ludobójstwo"?

– Zakładano, że państwo może wszystko. My dzisiaj zakładamy, że państwo nie może wszystkiego.

Lemkin już przed wojną wprowadził takie pojęcia jak „zbrodnia barbarzyństwa" i „zbrodnia wandalizmu", by wyodrębnić szczególnego rodzaju zbrodni dokonywane nie przez indywidualne osoby czy grupy, ale przez kraje. Te określenia się nie przyjęły. Trzeba było II wojny, by społeczność prawnicza – ale też nie na całym świecie – zgodziły się na definicję ludobójstwa.

Zupełnie inaczej jest w przypadku socjologicznej definicji ludobójstwa. Tu możemy sięgać w przeszłość i mówić o ludobójstwie w czasach sprzed jego zdefiniowania. I z pewnością łatwiej nam określić to, co się dzieje w Palestynie, jako ludobójstwo.

Co pan sądzi?

– Od razu zaznaczę, że pomijam tu problemy prawne. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Izrael w Palestynie popełnia co najmniej zbrodnie wojenne. Myślę, że można dyskutować o zbrodni przeciwko ludzkości. Ale w kwestii ludobójstwa byłbym ostrożny. Trzeba by wykazać, że Izrael chce zamordować całość lub zdecydowaną większość Palestyńczyków. Oczywiście, Izrael zabija masowo Palestyńczyków, ale przecież gdyby chciał zamordować wszystkich, to działania wojenne musiałyby toczyć się nie tylko w Gazie. Czy można mówić o ludobójstwie na części ziem? W myśl tej definicji raczej nie.

• **Mariam Dawwas ma 9 lat. Z matką Modallalą uciekły przed bombardowaniem z miasta Gaza do obozu w północnej części Strefy. Przed wojną ważyła 25 kg i była zdrowym dzieckiem** FOT. OMAR AL-QATTAA/AFP

Jednak komisja śledcza przy ONZ, która w październiku 2024 r. uznała, że Izrael popełnia w Palestynie zbrodnie przeciwko ludzkości i zbrodnie wojenne, we wrześniu stwierdziła, że Izrael dopuścił się ludobójstwa na Palestyńczykach w Strefie Gazy.

– To bardzo znacząca decyzja, Bardzo się nie spodobała politykom w Izraelu. To znaczące, jeśli tak twierdzi to grono ekspertów. W tym gremium nie zasiadają laicy. Teraz oceniając sytuację, trzeba będzie o tym pamiętać.

„Gaza zostanie całkowicie zniszczona", mówił w maju minister Becalel Smotrich, który dwa lata temu narzekał, że świat nie pozwala Izraelowi zagłodzić Palestyńczyków, co jest „usprawiedliwione i moralne". Jeśli takie są intencje państwa, to z czym mamy do czynienia, jeśli nie z ludobójstwem? Ze zbrodnią przeciwko ludzkości? Zbrodnią wojenną?

– Intencja ludobójcza jest ważną częścią definicji. Niewątpliwie wypowiedzi polityków są ważnym kontekstem, który trzeba brać pod uwagę. Nawet jeśli założymy, że chodzi o retoryczną przesadę obliczoną na efekt w wewnątrzkrajowej propagandzie czy sporze politycznym, stopień nienawiści jest pouczający. Izraelski psycholog Daniel Bar-Tal mówił w tym kontekście o konflikcie przewlekłym. Nienawiść już zmieniła rzeczywistość.

A może mówmy o „czystce etnicznej"? W końcu „Nakba", czyli przesiedlenia i prześladowania arabskiej ludności podczas i po zakończeniu I wojny izraelsko-arabskiej z 1948 roku, tak właśnie jest nazywana.

– Ale dziś nikogo się nie przesiedla, tylko morduje ludzi stłoczonych w zamknięciu. Wtedy mordowano i przesiedlano, dziś tylko się zabija. Trzeba o tym pamiętać.

To może – skoro mamy takie problemy z definicjami – zrezygnować w ogóle z ludobójstwa? Może ten spór nie ma sensu?

– Ma pan rację. Ale już nic z tym nie zrobimy. Strony sporu okopały się na pozycjach i nie sądzę, że ktoś jest gotowy porzucić swoje myślenie o ludobójstwie, a tym bardziej samo pojęcie.

Może zatem trzeba porzucić przywiązanie do prawnej definicji ludobójstwa i uznać, że możemy ją rozszerzać?

– I tak właśnie robią socjologowie. Jednocześnie zwykły człowiek i tak zrobi z tym słowem to, co będzie chciał. Spotkałem się już nawet ze sformułowaniem „ludobójstwo kurczaków". Trudno to skomentować.

W pana książce „Ludobójstwo. Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności" pojawia się termin „autoludobójstwo".

– Wydaje mi się, że istnieje potrzeba nowych określeń w ramach zbrodni ludobójstwa. Dzisiaj powszechnie używa się określenia „ludobójstwo" na Hołodomor, czyli klęskę głodu, którą na początku lat 30. wywołały w Ukrainie władze ZSRR. Ale definicja ludobójstwa wyraźnie określa, że ono dotyczy zbrodni wobec grup narodowych, rasowych, etnicznych i tak dalej. A Hołodomor dotyczył przeważnie chłopów ukraińskich. Mieszkańcy miast, też Ukraińcy, ucierpieli dużo mniej. Tak więc niezależnie od tego, że prawny termin „ludobójstwo" pojawia się później, to tutaj wyjątkowo nie pasuje.

Określenie „autoludobójstwo" pojawiło w XXI wieku na określenie ludobójstwa w Kambodży, gdzie sprawcy i ofiary mordu pochodzili w większości z tej samej grupy etnicznej. Pod rządami Czerwonych Khmerów zginęło ponad 800 tysięcy Khmerów. To więcej niż Romów podczas II wojny światowej.

Zatem może trzeba stworzyć nową określenie na to, co się dzieje w Palestynie?

– Kraje, które od lat zajmują się wojnami, mordowaniem ludzi uczą się, jak to robić tak, by nie można było ich przyszpilić do jednej definicji, zwłaszcza ludobójstwa. Wiemy, że Izraelczycy masowo zabijają Palestyńczyków. To bezsporne. Ale czy towarzyszy temu intencja zabicia narodu? Co o niej wiemy? Będziemy się o to jeszcze długo spierać. ●

Dr hab. Lech Nijakowski

• socjolog i publicysta, profesor UW, stały doradca sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Napisał m.in. „Domeny symboliczne. Konflikty narodowe i etniczne w wymiarze symbolicznym", „Rozkosz zemsty. Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej" i „Ludobójstwo. Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności".

eprasa.pl 71cea234a7

DWULETNIA DŻURI JUŻ UMARŁA Z GŁODU

Dziewięcioletnia Dżana jeszcze walczy na intensywnej terapii. Jej mama powiedziała mi, że nie przeżyje, jeśli umrze jej drugie dziecko.

Z **TESS INGRAM,** RZECZNICZKĄ UNICEFU, AGENDY ONZ POMAGAJĄCEJ DZIECIOM W STREFIE GAZY ROZMAWIA **MARTA URZĘDOWSKA**

FOT. REUTERS/GLOBAL SUMUD FLOTILLA

• **2 października br. Izraelska marynarka wojenna wchodzi na pokład płynącego do Gazy statku „Florida" (zrzut z ekranu)**

Historie dzieci, których nie może pani zapomnieć?
Są ich setki. Pamiętam dziewczynkę Dżuri, spotkałam ją w ubiegłym roku w szpitalu w Rafah na południu Gazy. Powiedziała, że była w mieszkaniu dziadków, bawiła się kanarkiem cioci i wujka, kiedy w budynek uderzyła bomba. Miała olbrzymie obrażenia jednej połowy ciała, dosłownie otwarte rany. Była tam od wielu dni.

Potrzebowała całej serii operacji, ale miejscowi lekarze nie mieli potrzebnego sprzętu i leków. I ona po prostu leżała, cierpiąc, mówiła mi, jak bardzo ją boli, jak chciałaby, żeby przestało, żeby mogła wrócić do Rafah, do swoich przyjaciół. Nie wiedziała, że Rafah zostało zrównane z ziemią.

Na początku września w szpitalu Al-Ahli w mieście Gaza spotkałam trzynastolatkę, Munę. To był wtorek, w poniedziałek rano była w budynku, gdzie schroniła się jej rodzina, kiedy bomba spadła na piętro nad nimi. Jej mama pobiegła na górę, żeby pomóc, bo mieszkała tam dalsza rodzina i znajomi. Kazała córce zostać, ale Muna chciała pomóc i poszła za nią. Wtedy spadła druga bomba. Mama Muny i trójka jej młodszego rodzeństwa zginęli na miejscu, ona sama została ciężko ranna. Lekarzom udało się powstrzymać wewnętrzny krwotok, ale musieli jej amputować lewą nogę. Kiedy z nią rozmawiałam, mówiła, że chociaż bardzo ją wszystko boli, jedyne, co się liczy, to śmierć mamy. Myślę, że ta historia pokazuje, jak wiele nieszczęść może spotkać jedno dziecko w Gazie.

W Strefie Gazy od dwóch lat trwa wojna, w której zginęło już 64 tys. Palestyńczyków. Enklawa jest zrujnowana, jej mieszkańcy głodują. Trudno sobie wyobrazić cierpienie dzieci.
– Codziennie spotykam dzieci, które w strasznym stanie wydobyto spod gruzów, które straciły oboje albo jedno z rodziców, którym amputowano nogę albo rękę, które przestały mówić.

Kryzys humanitarny także najmocniej uderza w najmłodszych – nie dostają jedzenia, wody, których potrzebują nie tylko do przetrwania, ale też do rozwoju. Nie mają gdzie się schronić, nie pamiętają, jak to jest się nie bać. Trzeci rok nie chodzą do szkoły.

Niemal każde dziecko w Strefie Gazy było przesiedlone przynajmniej raz. W Al-Mawasi, dokąd izraelska armia kieruje ludzi z innych części enklawy, a teraz także z powodu planowanej ofensywy z miasta Gaza, wszędzie widzę morze namiotów. Mam kolegę, który razem z dziećmi uciekał już czternaście razy. Dla dzieci to po prostu koszmar.

Pamiętajmy, że co druga osoba w Strefie Gazy to dziecko. I to widać. Dzieci są na ulicach, przed namiotami, są wszędzie.

Jakie obrażenia najczęściej odnoszą dzieci w Strefie Gazy?
– Ponieważ ataki, w których zostają ranne, to codzienność, nie ma obrażeń, których by nie doznały.

Codziennie widzimy dzieci, które zostały ciężko ranne we śnie, bo bomba uderzyła w ich dom albo namiot; maluchy ranne w kolejce po wodę, w trakcie szukania jedzenia. Dzieci ranne w miejscach, gdzie miały być bezpieczne. Przykład? Na początku września ośmioro zginęło w Al-Mawasi, gdzie właśnie jestem. To według izraelskiej armii tzw. strefa bezpieczna, do której uciekają uchodźcy z innych części enklawy. Najmłodsze z zabitej ósemki miało trzy lata.

Dzieci zawsze są najbardziej narażone w czasie wojny, szczególnie jeśli – tak jak w Gazie – bomby, granaty i pociski artyleryjskie spadają na gęsto zaludnione obszary. Bo dzieci częściej niż dorośli są na zewnątrz – bawią się na ulicy, są wysyłane po wodę, po sprawunki.

Zauważamy wyraźną prawidłowość – najczęściej giną i zostają ranne dzieci w wieku 5-10 lat. Bo kiedy dochodzi do ataku, spada bomba, wybucha chaos, rodzice w pierwszym odruchu łapią zupełne maluchy, niemowlęta. Z kolei nastolatki są szybsze, sprawniejsze i mają większe szanse na samodzielną ucieczkę, ukrycie się. Dzieci w wieku 5-10 lat nie łapią się do żadnej z tych grup i często to im nie udaje się uniknąć niebezpieczeństwa.

Codziennie oglądamy zdjęcia wychudzonych palestyńskich maluchów. Jak bardzo głodne są dzieci w Gazie?
– Wystarczy godzina w naszej klinice leczenia niedożywienia, żeby zobaczyć, jak straszne żniwo zbiera wojna. Widać to w desperacji rodziców, którzy stoją godzinami przed wejściem, błagają o pomoc, szukają ostatniej deski ratunku, by ratować dziecko przed głodową śmiercią.

Codziennie spotykam dzieci, które w strasznym stanie wydobyto spod gruzów, które straciły oboje albo jedno z rodziców, którym amputowano nogę albo rękę, które przestały mówi

Wystarczy spojrzeć na te małe ciałka, na niewiarygodnie wychudzone ręce i nogi, kompletny brak mięśni. Te dzieci z niedożywienia tracą włosy, wzrok, cierpią na choroby skóry. Są głodzone, a można by temu zapobiec, wpuszczając czekającą na granicy pomoc, gdyby izraelska armia przestała mówić „nie".

Spotkała pani dzieci umierające z głodu?
– Niedawno w mieście Gaza spotkałam Nesę. Miała dwoje dzieci – dwuletnią Dżuri i dziewięcioletnią Dżanę. Dżana jest na oddziale intensywnej terapii z powodu ostrego niedożywienia, lekarze walczą o jej życie. Wcześniej była już w takim stanie – w kwietniu ubiegłego roku, wtedy udało się ją wyleczyć. Jej mama powiedziała mi, że nie przeżyje, jeśli z głodu umrze jej drugie dziecko – okazało się, że Dżuri zmarła kilka tygodni wcześniej. Nie da się opowiedzieć, jak rozmawia się z matką, która w każdej chwili może stracić drugie dziecko – z powodu głodu, którego można w łatwy sposób uniknąć. Przecież każde dziecko w Gazie mogłoby jutro zjeść śniadanie.

Z pozytywnych historii – właśnie byłam w jednej z naszych klinik dożywiania, gdzie spotkałam kobietę z dwumiesięcznym synkiem – byli tam już trzy tygodnie, oboje korzystali z leczenia, bo byli skrajnie niedożywieni. Nasze programy trwają sześć tygodni, więc byli w połowie i właśnie po raz pierwszy udało jej się nakarmić synka piersią – bo leczenie zadziałało i miała pokarm. Jej uśmiech to coś, czego nie zapomnę.

W jakim stanie psychicznym są dzieci? Dostają pomoc psychologiczną?
– W Gazie nie ma dziecka, które nie potrzebowałoby pilnej pomocy psychologicznej. UNICEF prowadzi ośrodki, w których oprócz zwykłych lekcji prowadzimy też zajęcia terapeutyczne, udzielamy dzieciom wsparcia. Ale bardzo trudno jest pomagać w sytuacji, kiedy ten dramat nadal trwa, kiedy dzieci doświadczają traumy każdego dnia. Potrzebny jest im spokój i bezpieczeństwo, zanim będzie można im skutecznie pomagać. Dlatego nie przestajemy apelować o rozejm.

Jak dzieci znoszą brak szkoły?
– Choć o dramacie dzieci w Gazie mówimy głównie w kontekście śmierci, ran i głodu, utrata szkoły jest dla nich jedną z największych tragedii. W ub. tygodniu rok szkolny powinno zacząć 700 tys. dzieci – to będzie ich trzeci rok bez nauki.

Kiedy rozmawiam z dziećmi, wszystkie najchętniej opowiadają właśnie o szkole. Lubią wspominać kolegów, nauczycieli, mówią o ulubionych przedmiotach. Kiedy pytam, za czym najbardziej tęsknią z czasów przed wojną, prawie wszystkie odpowiadają: „za szkołą".

Dlatego tak ważne, by dawać im chociaż namiastkę – tworzymy ośrodki, gdzie mogą się uczyć, próbujemy dotrzeć z nimi do 100 tys. dzieci. Dzieci bardzo się cieszą, że tam są, że choć przez kilka godzin mają klasę, kolegów, mogą się skupić na nauce. To daje im chwilę odpoczynku od tego koszmaru, pozwala przez chwilę znowu być dziećmi.

Czego najbardziej potrzebują mali mieszkańcy Gazy?
Rozejmu. To jedyny sposób, żeby skończyło się ich zabijanie, okaleczanie, żeby przestały być głodne. Gaza to dziś najbardziej niebezpieczne dla dzieci miejsce na ziemi. ●

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W SPRZEDAŻY, RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU

Rebecca F. Kuang, gwiazda amerykańskiej fantasy
Nieśmiertelność byłaby przekleństwem. Po co się starać, skoro mamy nieograniczoną ilość czasu?

Siedem zagadek królowej nauk, czyli matematyki
Na razie rozwiązano tylko jedną, a wciąż czekają miliony dolarów nagród

Półka z nowościami
„Usta-usta" Antoine'a Wilsona, opowieść Grażyny Plebanek, nowa książka Mateusza Górniaka i inne

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl 71cea234a7

Dobra wiadomość dla Marszałka

ONZ to nie jest „Mam Talent”

Wygląda na to, że Szymon Hołownia przeczytał o naborze na stanowisko Wysokiego Komisarza i kazał rządowi je sobie załatwić

Wieliński

Pomysł, by ważny polski polityk objął ważne stanowisko w ONZ jest chwalebny. Szkoda, że Szymon Hołownia nie podszedł do tej sprawy na tyle poważnie, by móc je zdobyć

Organizacja Narodów Zjednoczonych dobrej prasy nie ma. Fakt, robi rzeczy dobre: udziela krajom w potrzebie wartej setki miliardów dolarów pomocy rozwojowej i humanitarnej, w 36 krajach utrzymuje siły pokojowe, wspiera walkę ze skutkami zmian klimatycznych.

Ale obecny klincz w Radzie Bezpieczeństwa dotyczący wojny w Ukrainie i w Gazie pokazuje, jak bardzo zawodzi organizacja, która powstała przecież, by bronić na świecie pokoju.

A co gorsza ONZ przebudować się po prostu nie da. Z drugiej strony organizacja to globalne forum, na którym warto przedstawiać swoje stanowisko. Widzieliśmy to ostatnio w Radzie Bezpieczeństwa, gdzie po nalocie rosyjskich dronów na Polskę występował wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki, a po naruszeniu przestrzeni powietrznej Estonii przez rosyjskie myśliwce głos zabierał szef dyplomacji Radosław Sikorski. Gdy ma się coś w ONZ do powiedzenia, słucha cały świat.

Polska roczna składka członkowska do ONZ wynosi 28 mln dolarów. Jesteśmy 20 krajem pod względem kontrybucji do kasy organizacji. A mimo to Polaków w strukturach organizacji – ONZ zatrudnia ponad 40 tys. osób – pracuje mniej niż 100. Najwyższe stanowisko sprawuje Bogusław Winid, który jest wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Komisji Służby Cywilnej ONZ. To słaby wynik, jak na piąty kraj Unii Europejskiej i 20. gospodarkę świata.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdyby Szymon Hołownia został Wysokim Komisarzem Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców ten niekorzystny współczynnik uległby poprawie.

Mam do obecnego marszałka Sejmu bardzo krytyczny stosunek, jeśli chodzi o jego postawę w trakcie i po tegorocznej kampanii wyborczej, a zwłaszcza po potajemnych spotkaniach w domu Adama Bielana z Jarosławem Kaczyńskim. Nie mam żadnego problemu z przenosinami Hołowni z Warszawy do Nowego Jorku, z Sejmu do kwatery głównej ONZ, choć wyglądają one wręcz na dezercję.

Polska po prostu potrzebuje ludzi w organizacjach międzynarodowych. Myślę, że Hołownia jako Wysoki Komisarz dałby sobie radę. Jako marszałek Sejmu nabrał dyplomatycznego doświadczenia, działał w organizacjach pomocowych, ma chrześcijańską wrażliwość.

Jednocześnie załamuję ręce nad tym, jak Hołownia zabrał się do tego zadnia. Wygląda na to, że przeczytał o naborze na stanowisko Wysokiego Komisarza i kazał rządowi je sobie załatwić. W MSZ oczywiście mu nie odmówią, poprze go nawet Pałac Prezydencki, bo jakby to wyglądało, gdyby Karol Nawrocki sabotował kandydaturę Polaka. Ale smutna prawda jest taka, że to stanowisko w ONZ jest raczej poza zasięgiem Hołowni.

To nie jest „Mam Talent”, konkurs osobowości, podczas którego trzeba oczarować jury i publiczność. Nie wystarczy najlepiej wypełnić liczący dziewięć pytań rekrutacyjny formularz. To polityka, walka o wpływy, handel coś za coś.

Niels Annen, polityk niemieckiej socjaldemokracji, czy Anne Hidalgo, burmistrzyni Paryża od miesięcy prowadzą kampanię w tej sprawie. Jeżdżą do Nowego Jorku, spotykają się z dyplomatami i innymi wpływowymi postaciami w organizacji, robią sobie zdjęcia na tle błękitnej oenzetowskiej flagi. Wspierają ich dyplomaci z ich krajów.

Ambasady Francji i Niemiec przy ONZ są w porównaniu z polskim przedstawicielstwem potężne, a trzeba pamiętać, że każdy pracownik ONZ jest niejako ambasadorem swojego kraju i – jeśli trzeba – może dyskretnie lobbować za swoim kandydatem. Polaków pracujących w ONZ jest garstka i nie zajmują wysokich stanowisk.

Do tego Szymon Hołownia jako marszałek Sejmu nie złożył w ONZ ani jednej wizyty. Nie zna organizacji i nikt go w niej nie zna... To także problem Niemca i Francuzki. W ONZ nadchodzi zmiana warty, rok 2026 będzie ostatnim rokiem kadencji obecnego sekretarza generalnego Antonio Guterresa. Ludzie z jego otoczenia będą szukać nowych posad, zwalniające się stanowisko Wysokiego Komisarza to ciekawa opcja.

Szkoda, bo można było zorganizować to inaczej. Hołownia mógł zachować się jak profesjonalista, spędzić ostatnie pół roku szukając w ONZ i w Europie dla siebie sprzymierzeńców. Ale wtedy musiałby porzucić mrzonki o zostaniu prezydentem.

Ale mam dla niego dobrą wiadomość. Jeśli nie uda się ze stanowiskiem wysokiego komisarza, może skorzystać z banku talentów ONZ. W ten sposób organizacja „wyszukuje pracowników spełniających najwyższe wymagania dotyczące wydajności, kompetencji i uczciwości na różne stanowiska w różnych częściach świata”. Zarejestrować można się przez internet. ●

Bartosz T. Wieliński

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34399068

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ” DODATEK SPECJALNY

ŻYĆ LEPIEJ

- Czy zdrowie psychiczne da się oddzielić od ciała? Pytamy psychiatrę prof. Piotra Gałeckiego
- Jak budować odporność psychiczną dzieci?
- Nieszczęścia odbijają się na szczękach. Pytamy Agnieszkę Borowiec, neurologopedkę, o wpływ emocji na zęby
- W kryzysie uratuje nas las - mówi dr. Sławomir Murawiec

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

GRA W RAKA

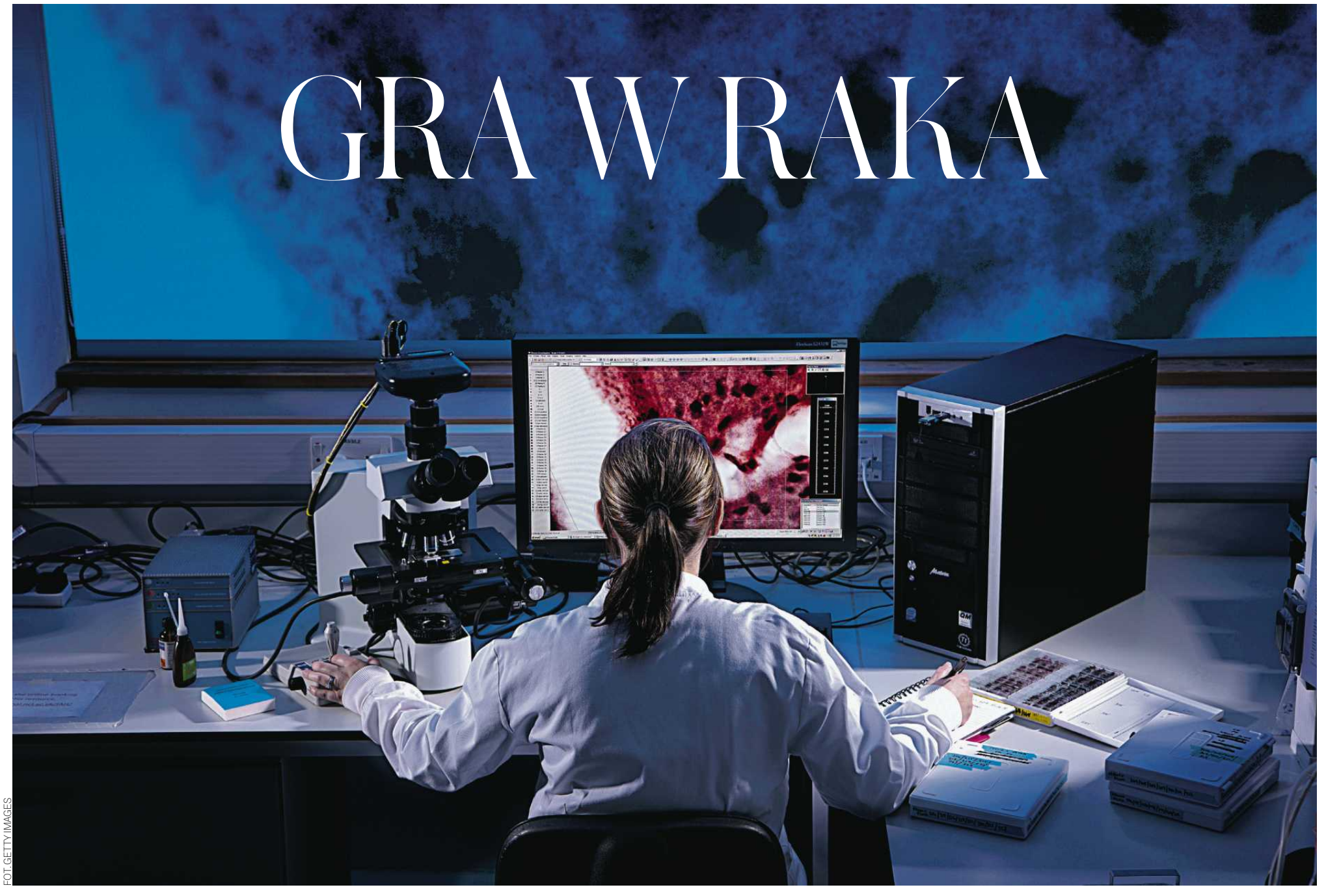

FOT. GETTY IMAGES

Jana i Piotra łączy wiek i choroba, dzieli kod pocztowy.
I to on zdecyduje, który z nich ma większe szanse na wyleczenie

Katarzyna Staszak

Ta historia w dużej mierze toczy się w szpitalnych podziemiach. To zazwyczaj tu – między kotłownią a pralnią – mieszczą się zakłady patomorfologii. Pracują w nich lekarze, których nie widujemy, choć są kluczowi dla leczenia każdego raka. Badają wycięte tkanki i stawiają rozpoznanie. Lekarze, których spotkamy na wyższych piętrach szpitala, dopasowują do tego opisu odpowiednie leczenie.

Najczęstszym nowotworem w Polsce jest rak płuca. Co roku 23 tys. osób dowiaduje się, że ma tę chorobę. Połowa z tych osób już na wstępie straci szansę na najlepsze możliwe terapie, bo kartka z podziemi szpitala będzie niedostatecznie zapisana. Informacji będzie za mało, żeby działać od razu. Rak zyska czas, pacjent straci.

– Osoby, które mogliśmy wyleczyć, stają się osobami, którym możemy tylko wydłużyć życie – mówi prof. Dariusz M. Kowalski, sekretarz generalny Polskiej Grupy Raka Płuca, onkolog kliniczny z Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie.

O leczeniu decyduje kod pocztowy

Co sprawia, że człowiek trafia do grupy z większymi lub mniejszymi szansami na wyleczenie?

– O skuteczności leczenia decyduje w Polsce kod pocztowy – podpowiada dr hab. Artur Kowalik, kierownik Zakładu Diagnostyki Molekularnej w Świętokrzyskim Centrum Onkologii.

Żeby dobrze wyjaśnić, co dr Kowalik ma na myśli, opiszę historię dwóch osób – Jana i Piotra. To postacie fikcyjne, ale w ich losach zawarłam opowieści, które zebrałam od prawdziwych pacjentów, ich bliskich i lekarzy.

Jana i Piotra łączy wiek i choroba, dzieli miejsce zamieszkania. Mają 60 lat, są nauczycielami w liceach. Piotr mieszka w Warszawie. Jan – w małym mieście w województwie lubuskim. Nie podaję nazwy miasta, bo jest tu tylko jeden szpital. Nie chcę skupiać się na konkretnym szpitalu i sprawiać wrażenia, że źle dzieje się tylko w tym jednym miejscu. To, co spotka Jana, spotyka równocześnie tysiące pacjentów w całej Polsce, w wielu szpitalach.

Jan i Piotr od dawna kaszlą. Raz nawet odkaszlnęli krew. W Boże Narodzenie bliscy mówią im, że schudli. Muszą obiecać, że po Sylwestrze zapiszą się do lekarza.

Jan dzwoni do kuzynki, która jest pielęgniarką w szpitalu powiatowym. Słyszy, że powinien iść od razu do poradni onkologicznej i że do onkologa nie potrzebuje skierowania. Idzie do szpitala i dostaje termin wizyty za cztery dni.

Piotr zastanawia się, który szpital wybrać. Mieszka blisko Narodowego Instytut Onkologii, ale „to miejsce dla tych co już na pewno mają raka” – myśli. Lekarz rodzinny doradza mu Instytut Gruźlicy i Chorób Płuc.

Piotr na tym wyborze nie straci. W obu szpitalach, które brał pod uwagę, pracują najlepsi eksperci od raka płuca w Polsce. Zależy im na wynikach leczenia, dlatego utworzyli nieformalne konsorcjum. Jeśli jakiejś terapii nie ma w „płucnym”, chorzy przejmowani są przez „onkologię”.

Piotr o tym nie wie. Na razie jest niezadowolony, że na wizytę w szpitalnej poradni musi czekać trzy tygodnie.

Weekend w formalinie źle wróży

Pierwsza wizyta w przychodni wygląda podobnie u Jana i u Piotra. Lekarz wypisuje skierowania na RTG i tomografię klatki piersiowej. Jan czeka na tomografię 10 dni, Piotr – 12.

Badanie wymaga opisu – interpretacji obrazu przed radiologa. Czekanie na opis zajmuje kolejne dwa tygodnie.

Gdy opis jest gotowy, Jan i Piotr wracają do swoich lekarzy. Ta druga wizyta zaważy na dalszym życiu Jana i Piotra. Jeden z nich wyjdzie z gabinetu z większą liczbą skierowań na badania.

Najpierw jednak w obu gabinetach zdarzy się to samo – lekarze informują mężczyzn, że mają podejrzane zmiany w płucach. To zła wiadomość. Dobra jest taka, że zmiany dotyczą tylko jednego płata płuca. Więcej pokażą dalsze badania.

Jan i Piotr dostają skierowanie na bronchoskopię z biopsją. To znaczy, że chirurg lub pulmonolog wprowadzi do ich płuc cienki, giętki teleskop – przejdzie przez gardło i tchawicę. Z miejsca zmienionego przez nowotwór pobierze materiał do badania.

I Jan, i Piotr mają bronchoskopię w piątek. Cieszą się z tego terminu – przez weekend będą mogli dojść do siebie po zabiegu.

Lekarze pobierają materiał z płuc Jana i Piotra, zabezpieczają formaliną. Jest już godz. 15:30. O tej porze lekarze, którzy zaczęli pracę rano, idą do domu. Dotyczy to też zakładów patomorfologii, które powinny przejąć pobrane tkanki.

W szpitalu powiatowym próbka od Jana musi poczekać na patomorfologa do poniedziałku. W weekend przychodzą do szpitala tylko lekarze, którzy mają dyżury.

W Instytucie, gdzie diagnozuje się Piotr, zakład patomorfologii ma sobotni dyżur, żeby zająć się materiałem pobranym w piątek po południu.

– Kiedyś uważaliśmy, że materiał z biopsji może poczekać w formalinie przez weekend i nic się nie stanie. Dziś walczymy o jak najlepszą jakość pobranych tkanek, bo to istotne chociażby dla badań genetycznych. Materiał z biopsji musi być zabezpieczony w zakładzie patomorfologii najpóźniej w ciągu doby od pobrania. To chroni DNA i RNA przed uszkodzeniem – tłumaczy prof. Renata Langfort, szefowa Zakładu Patomorfologii

eprasa.pl 71cea234a7

w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie.

Dodaje, że jeśli szpital nie jest w stanie zająć się próbką z piątku, nie powinien tego dnia w ogóle pobierać materiału do badania.

– To dotyczy też większych tkanek wycinanych w czasie operacji. Jeśli guz jelita czy guz piersi zostaną w formalinie do poniedziałku i nie zostaną wstępnie zabezpieczone przez patomorfologa, to ich wartość diagnostyczna będzie bardzo słaba. A prawidłowe zbadanie guza, określenie jego ewentualnych mutacji genetycznych jest kluczowe dla ustalenia najlepszej ścieżki leczenia – zaznacza prof. Langfort.

Patomorfolodzy twierdzą, że nawet w Warszawie dochodzi do skandalicznych sytuacji, gdy wycinek pobrany np. z szyjki macicy, dociera do zakładu patomorfologii dwa tygodnie później. Dotyczy to głównie prywatnych ośrodków, które nie mają własnych zakładów patomorfologii.

Kobiety, które korzystają z prywatnej opieki ginekologów, decydują się na biopsję prywatnie, myśląc, że tak będzie lepiej. Tymczasem płacą za gorszą jakość usługi niż ta w ramach NFZ.

– Uczciwiej byłoby dać pacjentce ten jej wycinek i wysłać ją do nas tramwajem – mówi patomorfolog.

Lekarz zlecił badanie czy badania?

Zanim patomorfolodzy zajmą się wycinkami pobranymi z płuc Jana i Piotra, przeczytają skierowanie wystawione przez lekarza. Lekarz Jana, ten z powiatowego szpitala, zlecił podstawowe badanie histopatologiczne.

Nie napisał nic o konieczności wykonania badań predykcyjnych, które mogłoby otworzyć drogę do immunoterapii i nic o badaniach molekularnych, które szukają w komórkach nowotworowych mutacji i wariantów genetycznych. Nie wziął też od Jana zgody na badania molekularne.

Trzy tygodnie później Jan dostanie więc wynik badania histopatologicznego z bardzo krótkim opisem: rak niedrobnokomórkowy płuca, gruczołowy.

Te same określenia widzi na swoim wyniku Piotr. Nic dziwnego – rak niedrobnokomórkowy stanowi około 80 proc. wszystkich przypadków raków płuca.

Jednak na opisie badania u Piotra jest dużo więcej informacji. Ma potwierdzoną wysoką ekspresję białka PD-L1. To znaczy, że jego nowotwór może dobrze zareagować na immunoterapię, czyli leczenie, które odblokowuje układ odpornościowy do walki.

Z badania wiadomo też, że w jego nowotworze jest obecna mutacja w genie EGFR. Rozszerza to możliwości leczenia. Możliwa jest tzw. terapia celowana, personalizowana, która zatrzyma wzrost nowotworu.

Piotr słyszy to wszystko od swojego lekarza, dostaje skierowanie na pozytonową tomografię emisyjną (PET), która sprawdza, czy w organizmie są już jakieś przerzuty, np. w kościach, mózgu czy wątrobie. Przerzutów nie ma. Piotr czuje, że ma szczęście.

Ma nowotwór w III stadium zaawansowania – zaatakował już lokalne węzły chłonne i ma ponad 7 cm wielkości. Ale wciąż ogranicza się do jednego płuca. Nie da się przeprowadzić operacji, która usunęłaby cały guz, ale można połączyć chemioterapię z radioterpią. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, a guz się zmniejszy, możliwe będzie zastosowanie terapii celowanej.

Takie leczenie jest możliwe, gdy lekarze wielu dyscyplin ustalają je wspólnie. Terapię Piotra omówili: onkolog, radioterapeuta, torakochirurg i patomorfolog.

1 kwietnia Piotr zaczyna terapię.

A na początku wydawało się, że to Jan szybciej zacznie leczenie. Jednak gdy jego lekarz zobaczył potwierdzenie nowotworu, powiedział, że lokalny szpital, nie jest w stanie Janowi pomóc. Nie ma specjalistów i programów lekowych, czyli nie ma dostępu do najnowszych terapii.

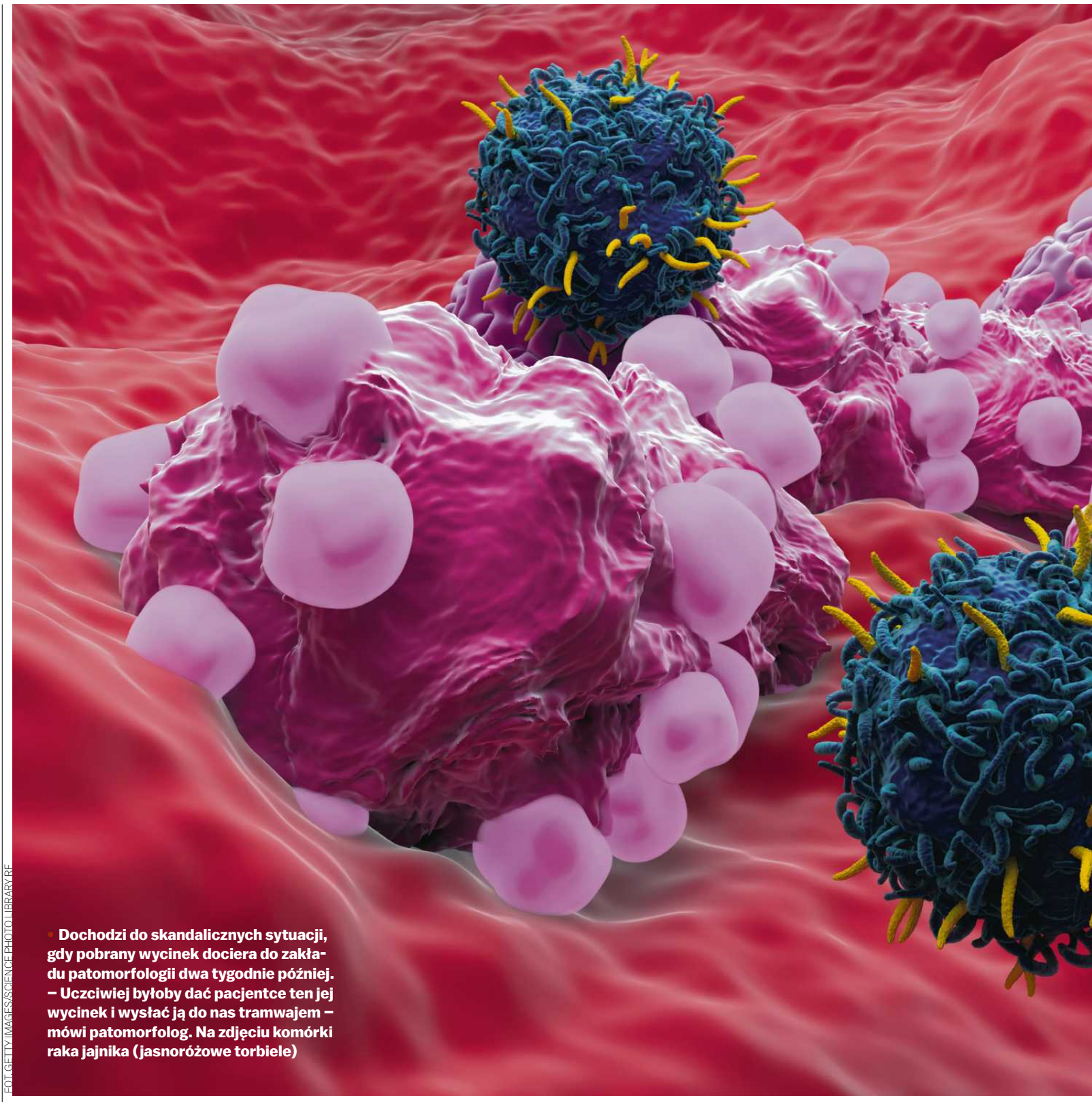

FOT. GETTY IMAGES/SCIENCE PHOTO LIBRARY RF

Dochodzi do skandalicznych sytuacji, gdy pobrany wycinek dociera do zakładu patomorfologii dwa tygodnie później. – Uczciwiej byłoby dać pacjentce ten jej wycinek i wysłać ją do nas tramwajem – mówi patomorfolog. Na zdjęciu komórki raka jajnika (jasnoróżowe torbiele)

Wiele do poprawy

• W Polsce żyje
ponad milion osób
z rozpoznaną chorobą nowotworową.

• Rocznie
185 tys. osób
dowiaduje się, że ma raka
100 tys. osób
z tego powodu umiera.

• Sukcesy w leczeniu onkologicznym mierzy się przeżywalnością w ciągu pięciu lat od diagnozy.

W Polsce przez taki okres żyje
ok. 50 proc. pacjentów.
W Europie Zachodniej
70-80 proc. pacjentów

Poradził Janowi, żeby zabrał z zakładu patomorfologii materiał pobrany z płuca i pojechał z nim do Warszawy. Do Narodowego Instytutu Onkologii.

Jan podziękowała za tę radę. Nie jest zły. Nie wie jeszcze, że jego badania i wycinek z płuca są mało warte.

Leczenie według dwóch prędkości

Dlaczego jedna osoba na tym samym etapie diagnostyki dowiedziała się o swojej chorobie dużo i może zacząć leczenie, a druga wie mało i stoi w miejscu?

Materiał pobrany od Piotra w Warszawie zbadał zakład patomorfologii z akredytacją „Jednostki Diagnostyki Patomorfologicznej". Wycinek z płuca Jana zbadał zakład bez akredytacji.

Akredytacja sprawia, że zakład patomorfologii może zrobić wszystkie dostępne w Polsce badania, jakie zleci lekarz i dostanie za nie pieniądze z NFZ. – Zakład bez akredytacji nie rozlicza się samodzielnie. Jest dla szpitala tylko kosztem. A kosztów się pilnuje – mówi prof. Langfort.

Akredytację ma dziś 40 zakładów z ponad 100 działających w całej Polsce. Akredytacja oznacza, że zakład pracuje zgodnie z standardami Polskiego Towarzystwa Patologów. Jakość badań udało się w Polsce kilka lat temu podciągnąć dzięki unijnym pieniądzom.

Teraz wiele zakładów patomorfologii chciałoby przejść proces akredytacji – dostać certyfikat i gwarancję finansowania badań, które pomagają leczyć raka. Niestety, mimo ciągłych apeli patomorfologów i onkologów, Ministerstwo Zdrowia nie daje zakładom takiej możliwości. Po prostu nie zajmuje się tym tematem.

To zaniedbanie dotyczy ministrów obecnego i poprzedniego rządu. Zmniejsza to szanse na nowoczesne leczenie wielu różnych nowotworów. Mówimy więc o problemie, który dotyczy dziesiątek tysięcy osób rocznie.

Ponad połowa zakładów patomorfologicznych w Polsce dostarcza tylko podstawowe badania, bo bardziej szczegółowych ich szpital nie rozliczy. Z tych skromnych badań muszą korzystać onkolodzy, a jeśli mogą, kierują pacjenta na powtórne badania do innych ośrodków.

System utrzymuje tę konstrukcję dla oszczędności, ale ostatecznie wydaje przez to więcej pieniędzy. Powtórne badanie to przecież dodatkowe koszty. A pacjent, który w tym czasie staje się coraz bardziej chory, będzie wymagał droższego leczenia.

– Nasze państwo lekką ręka wydaje miliardy na terapie onkologiczne. Koszt leczenia jednego pacjenta nowoczesnymi lekami to około milion złotych. O leczeniu immunoterapią decyduje badanie za 300 zł. A ktoś w małym ośrodku się cieszy, że zaoszczędził te 300 zł, albo że nie musiał ich wydać od razu. Opóźnienie rozpoczęcia leczenia kosztuje podatnika o wiele więcej niż badanie – podsumowuje dr hab. Artur Kowalik.

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

Czy terapia osoby z nieuleczalnym rakiem płuca naprawdę kosztuje milion? Ma zatrzymać postęp choroby i wydłużyć życie. Nie trwa miesiące, ale lata. Widać to choćby w nowym serialu „Scheda" na HBO, który zaczyna się od pogrzebu. Potem cofamy się w czasie, do dnia, gdy bohater oznajmia dzieciom, że ma raka płuca i nic nie da się już zrobić, bo ma przerzuty w wielu miejscach ciała. Twórcy serialu informują nas, że zdarzyło się to trzy i pół roku wcześniej. 10 lat temu taka scena byłaby medycznie niewiarygodna.

Dziś oferujemy chorym lata terapii, a ceny poszczególnych dawek leków kumulują się. Przykładowo: lek wycelowany w mutację EGFR, która ma Piotr, kosztuje w aptece ok. 18 tys. zł. To dawka na miesiąc. Średnio pacjenci biorą go dwa lata. A to tylko jedna z wielu terapii, którą dostaje jeden chory.

Rak to nie jest tania choroba. Milion wydany na jednego człowieka w onkologii nikogo nie dziwi.

Niestety, wiele osób, które mogłyby skorzystać z nowoczesnych leków, w ogóle o tym nie wie. Lekarze nie zlecają im badań, które sprawdzają szczególne cechy raka. Nie można więc w nie uderzyć specjalnymi terapiami.

Tylko co czwarty pacjent z rakiem płuca w Polsce miał wykonane badanie molekularne. A według europejskich zaleceń aż 75 proc. chorych powinno korzystać z nowoczesnego leczenia, do którego takie badania są niezbędne.

W dostępie do badań molekularnych są ogromne różnice między województwami – wynika z raportu Modern Healthcare Institute. Najgorzej jest w województwie lubuskim, bardzo słabo w województwie kujawsko-pomorskim. Co szczególnie dziwi, bo działa tu duże Centrum Onkologii, które w kilku nowotworach robi najwięcej operacji w Polsce.

Jan cofa się na planszy. Rak jest w drugim płucu

Opisuję tu sytuację pacjentów, ale skierujmy na chwilę uwagę na lekarzy. Jak czuje się patomorfolog, który wie, że mógłby zrobić lepsze, szczegółowe badania i pomóc chorej osobie, ale mu nie wolno? Jak czuje się onkolog, który ma leczyć zgodnie z najnowszymi standardami, a nie ma dostępu do podstawowych badań?

Czy naprawdę chory człowiek powinien sam szukać innego szpitala dla siebie? I czy powinien jeździć po Polsce z wycinkiem ze swojego raka?

Nie powinien, ale Jan nie narzekał, działał. Poszedł do zakładu patomorfologii, żeby zabrać wycinek ze swojego płuca. Na wypożyczenie parafinowego bloczka czekał trzy dni robocze. Tyle czasu ma zakład na ściągnięcie materiału z archiwum i przygotowanie do wydania.

Żona Jana umówiła go na wizytę w poradni Narodowego Instytutu Onkologii. Termin: za dwa tygodnie.

W Warszawie Jan zatrzymał się u syna. Razem poszli na wizytę. Lekarz obejrzał tomografię z połowy stycznia i powiedział, że warto ją powtórzyć. Minęły już przecież dwa miesiące.

Jan zostawił bloczek z wycinkiem z płuca i zgodził się na badanie mutacji genetycznych nowotworu. Jednak trzy dni później odebrał telefon z Instytutu Onkologii. Usłyszał, że materiał, który przywiózł, nie nadaje się do badań molekularnych, jest zbyt słabej jakości. Jan nie wie, dlaczego tak jest. My wiemy – chodzi o weekend w formalinie.

Co teraz? Jan dostanie skierowanie na ponowną bronchoskopię z biopsją. Jak tylko lekarz obejrzy opis jego aktualnej tomografii.

Jan ma wrażenie, że zaczyna od początku. Jakby cofnął się o wiele pól w grze planszowej. Podłamuje się.

Kilka tygodni później badanie materiału pobranego z płuca pokazuje, że Jan ma taki sam nowotwór jak Piotr. Zanim zacznie leczenie, czeka go jeszcze badanie PET, które sprawdza, czy nie doszło do przerzutów.

Jest końcówka maja, gdy Jan dowiaduje się, że ma raka także w drugim płucu. Tej zmiany nie było na tomografii zrobionej w styczniu. Zmiana jest niewielka, ale przez nią Jan ma już raka w IV stadium zaawansowania. Przez ostatnie tygodnie schudł, szybko się męczy. Nie może dostać immunoterapii, bo jego organizm jest zbyt słaby by zmobilizować się do walki.

Konsylium lekarzy różnych specjalności – m.in. onkolog kliniczny, chirurg, radioterapeuta – stwierdza, że na tym etapie trzeba zadbać o jakość życia Jana. Kierują go na radioterapię paliatywną. Ta nazwa oznacza, że terapia nie potrafi wyleczyć choroby, może ją jednak na jakiś czas zatrzymać na danym etapie. To leczenie objawowe, ma poprawiać komfort życia.

Jest koniec maja, gdy Jan zaczyna leczenie. Jeśli stan Jana się poprawi, możliwa będzie immunoterapia.

Jan czyści scyzoryk, Piotr planuje powrót do pracy

W czerwcu Piotr dostaje dobrą wiadomość – jego guz się zmniejszył. Dostanie lek wycelowany w mutację genetyczną raka. Przyjmie go w ramach badania klinicznego. Właśnie w tak duże szpitala mają szybszy dostęp do najnowszych terapii.

Gdyby Piotr był po operacji, dostałby taki lek w zwyczajny sposób – w ramach NFZ. Bez operacji refundacja na tym etapie choroby nie była możliwa. Jednak Ministerstwo Zdrowia zajęło się właśnie tą luką w przepisach i od października refunduje lek takim osobom jak Piotr.

Jan w tym czasie ma kolejny wlew chemii. Na szczęście w szpitalu koło swojego domu. Takie podstawowe leki są tu dostępne. Na radioterapię dojeżdża do Zielonej Góry.

Wyczyścił swój szwajcarski scyzoryk. Zastanawia się, czy może go dać 11-letniemu wnukowi, żeby miał na pamiątkę po dziadku. A może powinien poprosić żonę, żeby dała go Antkowi po jego śmierci. Tylko że ona nie pozwala mu mówić o śmierci.

Piotr planuje powrót do pracy. Zaprasza dzieci i wnuki na niedzielny obiad. Najstarszemu wnukowi obiecuje, że w grudniu, w czasie przerwy świątecznej, zabierze go na trzy dni do Zakopanego na narty.

Jan uważa, że nie ma prawa niczego planować.

> Bez oporów wydajemy milion złotych na terapię osoby z nieuleczalnym rakiem, ale wcześniej żałujemy 300 zł, żeby tę osobę wyleczyć

Lista rzeczy do zrobienia

Narzekania na polski system zdrowia zazwyczaj dotyczą braku pieniędzy czy dostępu do terapii. W tym wypadku brakuje chęci, żeby naprawić coś, co nie działa. Z punktu widzenia całego leczenia raka w Polsce to właściwie drobiazgi.

– W raku płuca mamy jeden z najlepszych w Europie programów lekowych. Do tego najnowsze sprzęty do radioterapii i świetnych chirurgów. Ale w dostępie do tych terapii mamy blokady, które przed pacjentami stawia system – ocenia prof. Kowalski.

Zdawałoby się, że rozwiązanie jest proste – szanowani onkolodzy mogą poinformować Ministerstwo Zdrowia, co trzeba naprawić. – Robimy to od lat i nic się nie zmienia – zaznacza prof. Kowalski.

Polska Grupa Raka Płuca, która gromadzi specjalistów walczących o zmiany, punktuje, co należy zrobić:

• – Ministerstwo Zdrowia powinno przeprowadzić proces akredytacyjny dla kolejnych zakładów patomorfologii, żeby mogły wykonywać wszystkie konieczne badania i je rozliczać z NFZ. Pacjenci i lekarze dostawaliby szczegółowe informacje, z jakim rakiem mają do czynienia. Więcej osób mogłoby korzystać z leków celowanych i immunoterapii, które są już refundowane w Polsce – tłumaczy prof. Langfort.

• – Musimy skończyć z rozdrobnieniem diagnostyki i leczenia. Zajmuje się tym wiele ośrodków w Polsce. Są szpitale, które mają podpisane z NFZ umowy na realizację programów lekowych w raku płuca, a leczą rocznie dwie lub trzy osoby. Pozostali pacjenci są tu leczeni w sposób konwencjonalny, nienowoczesny – mówi prof. Kowalski.

Tłumaczy, że w określonych typach raka płuca leczenie bez badań molekularnych i immunologicznych nie powinno być zaczynane, bo odbiera chorym szansę na wyleczenie albo na lepszą jakość życia.

– Ośrodki, które prowadzą konsylia lekarskie i pogłębioną diagnostykę, mają o 20-30 proc. lepsze wyniki leczenia – zaznacza prof. Kowalski. Lekarze z całej Polski mogą konsultować się z lekarzami z Narodowego Instytut Onkologii. – Nie damy rady leczyć wszystkich. Oddamy wam waszych pacjentów. Mogą leczyć się koło domu. Chcemy tylko być pewni, że są leczeni właściwie – podkreśla prof. Kowalski.

W Narodowym Instytucie Onkologii pacjent od momentu zakończenia szczegółowych badań, czeka około tygodnia na konsylium lekarskie, które ustali jego ścieżkę leczenia. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku osób, którym lekarz z innego szpitala doradził zmianę miejsca leczenia. Takie osoby od momentu zakończenia diagnostyki w pierwszym szpitalu czekają średnio 80 dni zanim zbierze się konsylium w ich sprawie. To dane z analizy wykonanej na podstawie kart pacjentów w warszawskim Instytucie. Pokazują, że badania, które przywożą pacjenci trzeba w Warszawie powtarzać, co wydłuża czas do rozpoczęcia leczenia.

• Gdyby finansowana była tzw. płynna biopsja, można by z niej skorzystać, kiedy materiał z klasycznej biopsji jest złej jakości – zniszczył się lub jest go zbyt mało. Skróciłoby to pacjentom drogę do leczenia. Płynna biopsja to zaawansowane badanie z krwi – wyszukuje DNA nowotworu i bada markery związane z mutacjami raka. Płynna biopsja sprawdza się też, gdy zrobienie biopsji przez chirurga nie jest możliwe. Tę metodę można też wykorzystywać w innych rodzajach nowotworów.

• Receptą na problemy pacjentów mają być Centra Kompetencji Diagnostyki i Leczenia Raka Płuca – Lung Cancer Units. Ośrodki, które zdobędą ten tytuł będą gwarantować kompleksową diagnostykę i najlepsze terapie. Pacjent wiedziałby, że z rakiem płuca zajmują się właśnie te miejsca. – Każdy, niezależnie od miejsca zamieszkania i statusu społecznego, ma prawo otrzymać leczenie dobrej jakości i leczenie skoordynowane. Powinno to przełożyć się na skrócenie czasu diagnostyki i rozpoczęcia leczenia. Szacujemy, że w ciągu 10 lat zwiększyłoby to pięcioletnią przeżywalność z 14 proc. do 20 proc. pacjentów – mówi prof. Kowalski.

W całej Polsce działają od lat Breast Cancer Units, czyli centra leczenia raka piersi. Kobiety wiedzą, że mogą tu liczyć na kompleksowe leczenie. Mniejsze szpitale też mogłyby zdobyć status Lung Cancer Unit dzięki tworzeniu konsorcjów z większymi. Diagnostyka i leczenie byłyby skoordynowane.

Analizy potrzebne do wprowadzenie Lung Cancer Unitów i wymagania dla szpitali, leżą w Ministerstwie Zdrowie od dawna. Brakuje tylko decyzji Ministerstwa Zdrowia.

Prof. Tadeusz Orłowski, wiceprezes Polskiej Grupy Raka Płuca podsumowuje: – Dziś skierowanie z jednego szpitala do innego ośrodka oznacza poradę: „Pan sobie wejdzie do internetu i poszuka". Pacjent powinien iść po ścieżce leczenia jak po sznurku. Teraz chory czuje się jakby błądził w labiryncie. ●

Ministerstwo Zdrowia nie odpowiedziało na nasze pytania o nierówności w dostępie do badań i nowoczesnego leczenia raka.

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

Zbiorowy gwałt ludzi Ziobry

Dlaczego człowiek, który nagrywał kolegów na studiach chce, żebyśmy komisję do sprawy Pegasusa traktowali jak Fame MMA

Marcin Matczak

TV Republika nadaje: „Samolot z Ziobrą na pokładzie startuje z Brukseli", „Były minister sprawiedliwości w drodze na komisję śledczą", „Ziobro już nad Kutnem", „Ziobro już nad Warszawą". Jak film sensacyjny i wizyta papieża w jednym. Nagranie z zatrzymania na lotnisku, z wnętrza policyjnego auta, które stało się mimowolną i darmową taksówką. A potem starcie na komisji, bon moty i oczywiście po wszystkim publikacja „The Best of..". Przyzwyczailiśmy się, że życie publiczne jest teatrem, i to takim, który częściej gra komedie i farsy niż poważne sztuki z katharsis na końcu. Ale ten cyrk pod tytułem „Ziobro kontra komisja" jest po prostu strategią obronną.

Jego zwolennicy robią wszystko, żeby sprawę wykpić. Dlaczego? Bo wtedy, w natłoku emotek xD, jest nadzieja, że zagubi się prosta prawda: oto niemal 40 lat po upadku komunizmu, minister rządu, który był niby aż do trzewi antykomunistyczny, zainstalował w demokratycznej Polsce elektronicznego ubeka.

Ten cały propagandowy wysiłek mediów wspierających Ziobrę ma jeden cel – chce dać rozrywkę pokoleniu smartfona, które coraz rzadziej rozumie abstrakcyjne zasady, a coraz chętniej nurza się w konkretnych emocjach. Po wygranej Koalicji Obywatelskiej w 2023 roku nagle miliony ludzi zaczęły oglądać TV Sejm nie z powodu nagłego zainteresowania polskim parlamentaryzmem, ale z powodu atrakcyjnej słownej nawalanki między marszałkiem i posłami. Teraz też włącza się sejmowe Fame MMA, proceduralne walki w klatce, i ludzie znów mają igrzyska. Kibicują, wytykają palcami pokonanych i zmasakrowanych, klawiatury już się grzeją od robienia kolejnych memów. A propagandyści zacierają rączki – znowu dało się ten naród ogłupić i spowodować, że patrzy nie tam, gdzie powinien.

Cel jest jeden – zapomnieć o tym, jak parszywej rzeczy dopuścili się Ziobro i spółka. Pokazać obrzydlistwo opakowane w ładny papierek żartu, zbagatelizować, zamazać jak tło w czasie rozmowy przez Zoom czy Teams. No bo co zrobią? Znowu zaczną wykrzykiwać to boomerskie „Konstytucja, konstytucja..."?

A co mamy zapomnieć? To, że ludzie Ziobry, który z lubością nagrywał kolegów w czasie studiów, weszli nam do sypialni, do konfesjonałów, w naszą intymność, poznali nasze plany i lęki, nasze problemy i zmagania.

Dlaczego nasze? Bo nie wiadomo do końca, kogo podsłuchali. Przecież władowali się z buciorami w życie ludzi, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, żeby podsłuchiwać i nagrywać nie tylko ich, ale też ich bliskich. Ślinili się i przebierali nóżkami, kiedy poznawali kolejne sekrety i już sobie wyobrażali, jak je wykorzystają.

Mamy zapomnieć, że, robiąc to, dokonali zbiorowego gwałtu na Polsce i Polakach. I mamy się z tego śmiać.

Pegasus jest bezprawny, bo jest totalny – i nie zmieni tego żadna decyzja sądu, który wydał zgodę na inwigilację zwyczajną, a nie totalną. To tak, jakby sąd zgodził się na osobiste przeszukanie osoby, a ten, który dostał tę zgodę, publicznie rozebrałby człowieka, sfotografował każdą część jego ciała i rozesłał do niekontrolowanej grupy osób w internecie. I nadal twierdził, że przecież klepnął mu to sędzia. Inwigilacja legalna to inwigilacja ludzi podejrzanych o przestępstwa, a nie polityków, adwokatów czy działaczy społecznych, nie ich dzieci, żon, kochanek i kierowników duchowych. Europejski Trybunał Praw Człowieka mówi wyraźnie: inwigilacja musi być przewidywalna i kontrolowana. A Pegasus jest nieprzewidywalny – zbiera wszystkie dane z urządzenia, łącznie z mikrofonem i kamerą, bez możliwości realnego nadzoru sądowego i bez wiedzy, gdzie i jak te dane są przekazywane.

Inwigilacja totalna obnaża wszystko, bez żadnych zahamowań – dlatego bardziej przypomina zboczenie niż działanie państwa. I z tego zboczenia mamy razem z TV Republika się śmiać.

Mówią, że prawa człowieka są jak prawa fizyki – nie przejmujemy się nimi, dopóki nie walniemy samochodem w drzewo. A w sprawie Pegasusa przecież większość z nas nie poczuła uderzenia. Więc wielu ogląda te urywki z komisji, bawi się nieudolnością jednej czy drugiej strony. Ale gdzieś tam wiedza i o nich jest, gdzieś się czai, jak jeszcze mały nowotwór, który urośnie, kiedy będzie trzeba.

TV Republika pyta: czujecie ten leciutki ucisk w dole brzucha, kiedy oglądacie te przezabawną komisję? To nie efekt śmiechu. To pan Ziobro trzyma was za genitalia, tylko jeszcze tego ucisku nie rozpoznajecie. Trzyma was, na razie grając szeryfa przed kamerami, ale w głębi duszy śmiejąc się z Polaków do rozpuku, bo zamienił Polskę w państwo PiS, z dużą szafą na haki, kupioną zresztą za nasze ciężko zarobione pieniądze. My w TV Republika uważamy, że nasze genitalia są bezpieczne. Ale kto wie – jeśli tylko przestaniemy tańczyć, jak nam każą, może i nas dosięgnie ziobrowa pieszczota.

Ten człowiek, któremu przypadkiem wpadł do wanny laptop z ważnymi informacjami, mówi często, że „niewinni nie mają się czego bać". Niestety mają. Bo jeśli ktoś zna plany niewinnego człowieka, jego marzenia i normalne słabości, to może zniszczyć mu życie, zamienić w niewolnika, sprzedać komuś nielegalnie zbierane informacje.

Jak w Meksyku, gdzie Pegasusem śledzono dziennikarzy i prawników, uzyskując dane o ich informatorach i klientach. Później te dane dzięki państwowo-przestępczym aliansom trafiły do karteli, powodując groźby, ataki i morderstwa. Albo jak w sprawie Jamala Khashoggiego – dziennikarza zabitego i poćwiartowanego w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Stambule. Pegasusem śledzono jego partnerkę i przyjaciół. Ale przecież jeśli był niewinny, nie miał się czego obawiać.

Ale to nie u nas, prawda? U nas jedynie minister sprawiedliwości potraktował swoich obywateli jak terrorystów i uznał za świetny pomysł, by narzędziem należącym do obcego państwa zdradzić światu dokładnie wszystko o ich życiu. A my mamy się z tego śmiać do rozpuku, czytając paski TV Republiki, gdzie w danej chwili znajduje się Ziobro.

Nie potrzeba nam tej informacji – on i jego ludzie znajdują się już od wielu lat mentalnie nie nad Kutnem, ale nad Moskwą. Przecież im udało się przebić komunistów w podsłuchiwaniu swojego własnego narodu. ●

Krowa namacalna

Nazywanie zmiany atakiem czy „piekielnym planem" jest wpisaniem się w długą tradycję antynaukowych teorii spiskowych, którymi, jak się zdaje, dr Ciborowska – mimo tytułu naukowego – nie gardzi.

Michał Rusinek

Od czasu do czasu zaglądamy na stronę internetową „Naszego Dziennika" chociażby po to, żeby przeczytać felietony dr. Aldony Ciborowskiej – „doktora nauk prawnych i publicysty" oraz „naszego rycerza", jak bywa przedstawiana na różnych prawicowych łamach i w różnych prawicowych eterach. Ostatnio dr Ciborowska, zapewne na skutek rycerskiego przydomka, opublikowała felieton zatytułowany „Pewność zwycięstwa". Warto go przeczytać jako swego rodzaju gimnastykę umysłową.

●

Zaczyna się on tak: „Trudno sobie wyobrazić życie bez pól uprawnych, pastwisk i wypasanego na nich bydła, bez domów z kominem, własnych ogródków [...]. Trudno sobie wyobrazić życie bez fabryk produkujących okna i dachówki, farby i śruby, kable i blachy, rury, pompy i hydrofory". Zdania te uruchamiają w nas zawstydzającą nostalgię za literaturą realizmu socjalistycznego, bo są godne pióra najwybitniejszych, choć słusznie zapomnianych przedstawicieli i przedstawicielek tego nurtu. Poza ogródkami, które w prozie socrealizmu byłyby raczej wspólne niż własne, jest tu wszystko, co być powinno: nie tylko lud pracujący miast i wsi, może i nawet sojusz robotniczo-chłopski, ale także zastępowanie trudnych do zrozumienia abstrakcyjnych idei za pomocą obrazowych i namacalnych konkretów (np. „bydło", „rura"), które w dodatku układają się w finezyjny, enumeracyjny ciąg środków produkcji związanych z domem: od dachu po – wyraźnie fascynującą dr. Ciborowską – piwniczną hydraulikę.

Polska mogła być nadal agrarno-industrialną krainą dobrobytu, ale pojawił się nie tyle – jakbyśmy się spodziewali – kapitalizm, ile neomarksizm, a ściślej idea „zrównoważonego rozwoju". Według dr. Ciborowskiej jest to „plan zakładający pozbycie się milionów ludzi i odebranie im środków i miejsc do życia", mający na celu powołanie do istnienia: „kosztem wielu istnień – społeczeństwa informatycznego". Już chyba woleliśmy socrealizm dr. Ciborowskiej, bo od opisu tego planu kręci nam się w głowie.

●

Zrównoważony rozwój to pewna globalna doktryna ekonomiczna, zakładająca, że „na obecnym poziomie cywilizacyjnym możliwy jest taki rozwój, w którym potrzeby obecnego pokolenia mogą być zaspokojone bez umniejszania szans przyszłych pokoleń na ich zaspokojenie" [raport Światowej Komisji ds. Środowiska i Rozwoju]. Chodzi o to, by wzrost gospodarczy nie szkodził środowisku, by ograniczać zanieczyszczenia i skutki zmian klimatycznych odpowiedzialnie gospodarując zasobami naturalnymi oraz by zapewnić równy dostęp do owych zasobów, redukując nierówności społeczne i wykluczenia. Owszem, ostatnie zmiany polityczne na świecie powodują, że ta szlachetna i rozsądna idea staje się coraz bardziej utopijna – i to jedyne, co ją łączy z utopią marksizmu.

Natomiast „społeczeństwo informatyczne" to raczej lapsus pani doktor, bo chodziło jej zapewne o „społeczeństwo informacyjne", pojęcie wprowadzone i rozwinięte w latach 70. XX wieku przez Daniela Bella, amerykańskiego socjologa badającego społeczeństwa postindustrialne. Bell analizował zmiany zachodzące w społeczeństwach i doszedł do wniosku, że kluczowymi towarami przestały być dobra materialne, a stała się informacja. Dzięki rozwojowi technologii informacyjnych powszechny stał się dostęp do informacji, kluczową rolę w gospodarce zaczął odgrywać sektor usług związanych z informacją, rozwinął się kapitał intelektualny i społeczny, a także zmienił się styl naszego życia, którego integralną częścią stały się technologie informatyczne. Owszem, społeczeństwo informacyjne ma też mroczne strony, ale jego rozwój wpłynął przecież pozytywnie na rolnictwo i przemysł, nad którymi łzy leje dr Ciborowska.

Przyznaje ona, że na razie nie mamy do czynienia z milionowymi ofiarami, ale zauważa, że doszło do „uprzedzającego ataku" na „społeczeństwo tradycyjne, którego funkcjonowanie jest związane z kulturą rolną jako podstawą codziennego życia i przeżycia". Był to atak „na wartości rodzinne, tj. szacunek wobec seniorów rodu, wobec ziemi jako źródła utrzymania i miłości Ojczyzny (od »ojcowizna«), czyli na wszystko, co dawało podstawy utrzymania i obrony własnej podmiotowości". Pomijając fakt, że wyraz „ojczyzna" pochodzi od słowa „ojciec", a nie „ojcowizna", którą pierwotnie oznaczał, wygląda na to, że dr Ciborowska traktuje zmiany społeczne jako atak. Etap industrializacji był jej zdaniem „pomyślany jako przejściowy", po nim powinien nastąpić powrót do społeczeństwa rolniczego, a tu – zamiast tradycyjnego społeczeństwa – pojawia się jakieś nowe, informacyjne, które z sobie tylko znanych powodów utożsamia dr Ciborowska ze „społeczeństwem zrównoważonego rozwoju".

●

Język, którym autorka się posługuje, sam zresztą stawia jej opór i pokazuje aberrację myślenia. Czytamy bowiem, że „dokonał się systemowy atak na społeczeństwo tradycyjne". Atak nie może „się" dokonać; ktoś go musi dokonać, a nawet przypuścić. Jeśli dokonał „się", to nie był atakiem, tylko zmianą. Nazywanie zmiany atakiem czy „piekielnym planem" jest wpisaniem się w długą tradycję antynaukowych teorii spiskowych, którymi, jak się zdaje, dr Ciborowska – mimo tytułu naukowego – nie gardzi. Wiedzę nazywa przecież „tzw. wiedzą", a informację – „tzw. informacją". Ubolewa, że to one mają się stać „podstawowym przedmiotem obrotu, nie zaś namacalny konkret, tj. np. okno, drzwi, krowa".

Postawiła nas tym zdaniem dr Aldona Ciborowska w obliczu podwójnego paradoksu.

Po pierwsze, przeczytaliśmy właśnie w internecie, a więc w szatańskim wytworze społeczeństwa informacyjnego, jej felieton o tym, że społeczeństwo informacyjne jest neomarksistowskim projektem, który zresztą upadnie zanim zostanie w pełni zrealizowany, co triumfalnie ogłasza autorka w tytule felietonu. Kiedy jednak upadnie, to gdzież będziemy mogli czytać felietony dr. Ciborowskiej? Ewentualnie pozostanie nam wersja papierowa.

Po drugie, przedmiotem obrotu, czyli przedmiotem, który nabywamy czy to w postaci dostępu do cyfrowych wydań „Naszego Dziennika", czy to w postaci papierowego wydania gazety, jest nienamacalna „tzw. wiedza" dr Ciborowskiej, a nie, jak należy, namacalny konkret w postaci na przykład krowy. Gdybyśmy jednak nabyli krowę, nie dowiedzielibyśmy się od niej tego wszystkiego, na co nas uczula dr Ciborowska. Cóż, czytanie jej felietonów jest gimnastyką umysłową, ale w tym przypadku – ostrzegamy – tylko dla zaawansowanych. ●

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

WYBORY TO NIE KONIEC ŚWIATA

Nie wrócimy już do świata sprzed pandemii, sprzed wojen, sprzed sztucznej inteligencji. Ale możemy nauczyć się w tym świecie żyć

Błażej Lenkowski

Jesień 2025 roku nie daje nam wytchnienia od „czasu niepewności". Począwszy od pandemicznego roku 2020, pogrążamy się w kolejnych kryzysach – a w efekcie w ogólnym, narastającym, wszechogarniającym poczuciu zagrożenia. Świat, który znaliśmy jeszcze dekadę temu, wydaje się odległym wspomnieniem. I coraz częściej zadajemy sobie pytanie: czy tak będzie już zawsze?

„Koniec historii" został zastąpiony przez „Czas niepewności". Choć z racjonalnego punktu widzenia obie narracje hiperbolizują rzeczywistość społeczno-polityczną, to nie można przejść obojętnie wobec tej przemiany. O ile „Koniec historii" usypiał naszą czujność, to „Czas niepewności" powoduje, że lęki, niepokój, obawa przez nieznanym potęgują w społeczeństwie podatność na manipulację, szukanie pozornie łatwych rozwiązań, ucieczkę w ręce „silnych", obiecujących złudne poczucie bezpieczeństwa. „Czas niepewności" może potęgować podatność społeczeństw na tendencje autorytarne i radykalizm. Dlatego to moment szczególnego wyzwania dla demokratów i ich strategów, którzy muszą znaleźć drogę do skutecznej odpowiedzi na społeczne lęki i realne zagrożenia i pogodzić je z ochroną wartości demokracji liberalnej i praw człowieka. Nasza przyszłość nie jest zdeterminowana, to my musimy być niezwykle zdeterminowani, aby odpowiednio ją ukształtować.

W obliczu tylu niepokojów – od wojen po transformacje technologiczne – naturalne staje się pytanie o nasze miejsce w tej skomplikowanej rzeczywistości. Czy jeszcze potrafimy reagować mądrze i odpowiedzialnie, czy damy się pochłonąć nieracjonalnemu szaleństwu? Czy jesteśmy gotowi, by bronić wartości, które uczyniły Zachód względnie bezpiecznym, wolnym i otwartym przez ostatnie dziesięciolecia?

Świat płonie nie tylko w przenośni. Wojna w Ukrainie nadal trwa, kolejne ogniska konfliktów wybuchają na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Zmiany klimatu przestały być ostrzeżeniem przyszłości – stają się teraźniejszością. Równolegle rozwija się sztuczna inteligencja, z której korzystają już nie tylko innowatorzy i firmy technologiczne, ale też machiny dezinformacyjne i propagandowe. Do tego dochodzą kryzysy gospodarcze, inflacja, napięcia społeczne, migracje na niespotykaną wcześniej skalę. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich zagrożeń. Ale możemy budować systemy odporności, które pozwolą nam lepiej reagować, gdy niepewność zamieni się w kryzys. Państwa, które przeznaczają środki nie tylko na zbrojenia, ale też na edukację, opiekę zdrowotną, infrastrukturę cyfrową i energetyczną, mają znacznie większe szanse, by utrzymać stabilność.

Tę odporność budujemy też na poziomie wspólnoty: poprzez zaufanie do instytucji, silne społeczeństwo obywatelskie, ekonomiczną wolną kooperację, zdolność do dialogu, ale także dzięki wartościom, które łączą, a nie dzielą.

W erze polskiego totalnego konfliktu politycznego to brzmi jak pusty frazes. Lecz właśnie dlatego, właśnie dziś poziom politycznego sporu powinien pozostać na kontrolowalnym poziomie. I szereg kwestii dotyczących bezpieczeństwa, kluczowych długofalowych inwestycji czy relacji z sojusznikami powinno zostać wyjęte z brutalnej walki politycznej. To szczególnie ważne w czasach, gdy autorytarne reżimy zyskują na sile i coraz śmielej testują granice Zachodu – zarówno militarne, jak i ideowe.

Państwa, które przeznaczają środki nie tylko na zbrojenia, ale też na edukację, opiekę zdrowotną, infrastrukturę cyfrową i energetyczną, mają znacznie większe szanse, by utrzymać stabilność

Jeszcze nie tak dawno liberalna demokracja wydawała się zwycięzcą historii. Dziś musi odpierać ataki również od środka. Radykalni populiści, umiejętnie wykorzystujący lęki społeczne i algorytmy platform społecznościowych, niszczą tkankę wspólnoty politycznej. Dzielą społeczeństwa, podważają autorytet instytucji, manipulują faktami. W takim klimacie szczególnie łatwo o uproszczone narracje, oparte na emocjach i lękach. W niewystarczający sposób zdajemy sobie sprawę z propagandowej i hybrydowej wojny, jaką prowadzi wobec nas Rosja. Świetnym przykładem jest gigantyczna kampania nakręcania w Polsce nastojów antyukraińskich. Musimy nauczyć się skutecznie takim zjawiskom przeciwdziałać. Powinniśmy dysponować arsenałem środków i obronnych, i ofensywnych w tym zakresie.

Dziś obrona demokracji to zadanie wielowarstwowe, w którym politycy odgrywają tylko częściowo istotną rolę. To zadanie kulturowe, edukacyjne i obywatelskie. Musimy nieustannie przypominać sobie, że wolności osobiste i ekonomiczne, państwo prawa i swobodna wymiana myśli nie są nam dane raz na zawsze. Trzeba o nie zabiegać każdego dnia – zwłaszcza wtedy, gdy wydają się trudne do utrzymania. A pokusa, by je poświęcić w imię fałszywie rozumianego bezpieczeństwa lub uniknięcia konfliktu, może znacząco rosnąć.

Niepewność sprzyja radykalizmowi, a osłabione społeczeństwa łatwiej ulegają dezinformacji. Dlatego jednym z najważniejszych wyzwań jest walka o fakty – w przestrzeni publicznej, w debacie politycznej, w mediach. Musimy nauczyć się rozpoznawać manipulacje, nie ulegać panice i nie powielać fake newsów. To zadanie nie tylko dla dziennikarzy, ale dla każdego obywatela.

Równie ważna jest umiejętność ochładzania emocji politycznych. W ostatnich latach widzieliśmy, jak elity – i konserwatywne, i liberalne – reagują w sposób skrajny: euforia po zwycięstwie, depresja po przegranej. Tymczasem demokracja potrzebuje stabilności emocjonalnej. Wybory to nie koniec świata. To element cyklu, który wymaga cierpliwości, pokory i ciągłego zaangażowania, niezależnie od wyniku.

Jak trudne to zadanie, udowodnił nam czas smuty i depresji, jaki ogarnął siły liberalno-demokratyczne w Polsce po porażce Rafała Trzaskowskiego. Przykro mi, ale jesteśmy w sytuacji, w której nie stać nas na stany depresyjne. Trzeba przeformować szyki i bezustannie działać dalej, nie oddając pola wrogom wolności.

Wspólnoty nie budują się jedynie wokół wspólnych interesów. Potrzebują też narracji, które łączą emocjonalnie, budują poczucie sensu i celu. Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy nowej opowieści – niekoniecznie utopijnej, ale takiej, która odpowiada na realne potrzeby i lęki. Inaczej pozostaniemy rozproszeni, sfrustrowani i bezsilni wobec kolejnych wyzwań. Ta opowieść nie musi być napisana od zera. Można ją odnaleźć w kulturze, nauce, refleksji filozoficznej i społecznej. To właśnie tam, w głębszym namyśle nad światem i człowiekiem, znajdujemy antidotum na powierzchowność, pośpiech i uproszczenia.

Nie wrócimy już do świata sprzed pandemii, sprzed wojen, sprzed sztucznej inteligencji. Ale możemy nauczyć się w tym świecie żyć – nie w strachu, lecz w odpowiedzialności. Nie w zamknięciu, lecz we wspólnocie. Nie w iluzjach, lecz w dojrzałości.

Dojrzałości wymaga na przykład spojrzenie bez lęku na sztuczną inteligencję. Jak każda nowa technologia, może być wykorzystywana do celów dobrych i złych. Odpowiedzią nie jest pozostawienie jej rozwoju w rękach państw autorytarnych i pozwolenie na przyszłą supremację technologiczną reżimów. Przeciwnie, demokracje muszą zrobić wszystko, aby przewaga technologiczna pozostawała po naszej stronie. To w perspektywie lat może być kwestą decydującą o naszej niepodległości i suwerenności. Dziś świat wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby to III Rzesza lub Cesarstwo Japońskie pierwsze opracowały i użyły broni jądrowej. Tamten wyścig technologiczny wygrały Stany Zjednoczone i były w stanie użyć straszliwej broni i poświęcając życie niezliczonej liczby cywili, aby ostatecznie złamać zbrodniczy blok totalitarny i dać światu szansę na bezprecedensowy okres rozwoju i wolności. W wyścigu o zapewnienie ludziom praw i wolności nie zawsze na stole leżą proste, łatwe i jednostronne moralnie decyzje.

W świecie, który coraz częściej mówi krzykiem, warto stworzyć przestrzenie, gdzie znów można mówić głosem rozsądku. Taką przestrzenią są Igrzyska Wolności – cykliczne wydarzenie, które od lat odbywa się w Łodzi. Od piątku do niedzieli 24–26 października spotkają się tam intelektualiści, politycy, biznes, artyści i aktywiści, by wspólnie zastanowić się nad przyszłością demokracji, wolności i odpowiedzialności.

To nie będzie zjazd tych, którzy mają gotowe łatwe, odpowiedzi. To będzie forum tych, którzy potrafią zadawać trudne pytania i szukać rozwiązań w dialogu. I właśnie w tym – w namyśle, rozmowie i refleksji tkwi największa siła wolnych społeczeństw. Dziś potrzebujemy nie tylko liderów, ale również przewodników mądrości. Tych, którzy nie obiecują prostych rozwiązań, ale pomagają oswoić złożoność. Bo właśnie w niej, paradoksalnie, tkwi nasza największa szansa.

IGRZYSKA WOLNOŚCI

Igrzyska Wolności

- to spotkanie ludzi ciekawych świata i głodnych nowych idei, od 11 lat gromadzące przedstawicielki i przedstawicieli świata kultury, biznesu i życia publicznego z kraju i zagranicy oraz szeroką publiczność wokół wspólnej idei: wizji świata opartego na wolności i dialogu. Hasło przewodnie tegorocznej edycji to „Czas niepewności". W tych dwóch słowach zawiera się wszystko, co nas trapi: wojna, kryzysy gospodarcze, zmiany klimatu, presja migracyjna, zagrożenia związane z AI.

- Udział w dyskusji o tym, jak budować systemową odporność, która pozwoli nam mierzyć się z aktualnymi wyzwaniami, potwierdziły takie osobowości krajowej i światowej polityki, ekonomii, nauki, kultury i show-biznesu, jak George Clooney, Jerzy Owsiak, Marek Kondrat, Megan Nolan, Szczepan Twardoch czy Joanna Kuciel-Frydryszak.

eprasa.pl 71cea234a7

ŚWIAT

ZDRADZENI PRZEZ BRACI POLAKÓW

Ci imperialistyczni Polacy, sługusy Ameryki, oszukani i wykorzystani przez ukraińskich faszystów. Jak i czym z nami walczą szturmani rosyjskiej wojny hybrydowej

Z **KATARZYNĄ CHAWRYŁO,** ANALITYCZKĄ W ZESPOLE ROSYJSKIM OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH, ROZMAWIA **DAWID KRAWCZYK**

Jak rozpoznać, czy jakaś kłótnia w komentarzach na Facebooku to działanie kremlowskich trolli?
– Kiedyś wystarczyło przeanalizować konstrukcje językowe – gołym okiem było widać kalki z rosyjskiego. Dziś to trudniejsze zadanie, a promowane tezy nie muszą być wprost związane z Rosją. Polacy są wyczuleni i nie przyklasną raczej poglądom, że Rosja jest wspaniałym państwem, a Putin sprawiedliwym przywódcą. W Polsce operacje wpływu są prowadzone subtelniej – wykorzystują napięcia w społeczeństwie i problemy polityczne, koncentrują się na podważaniu naszego zaufania do instytucji państwowych i unijnych czy porządku demokratycznego, wzbudzają rozczarowanie bądź gniew wobec określonych grup. Uderzają w Ukrainę i odwołują się do teorii spiskowych. Wskazówką może być zatem temat.

Czyli nie ma co przejmować się jawnie prorosyjskimi grupami czy forami otwartych przeciwników NATO?
– Ile jest w Polsce grup wielbicieli Putina? W rosyjskim dyskursie Polacy mają łatkę „głównych rusofobów". Zasłużenie, bo u nas poziom krytycznej wiedzy o Rosji jest relatywnie wysoki, a towarzyszy temu większa czujność na rosyjskie przekazy. W Polsce propaganda musi być lepiej zamaskowana, podstępna. Zazwyczaj wykorzystuje narracje, które odnoszą się do tematów ważnych dla społeczeństwa – takich, które polaryzują i budzą emocje.

W rankingu najbardziej polaryzujących tematów wysoko są: aborcja, prawa osób LGBTQ i Ukraińców.
– Pierwsze dwa tematy raczej nie są priorytetem dla rosyjskiej propagandy. Polskie społeczeństwo i część elit politycznych są postrzegane w Rosji jako dość konserwatywne i w tym aspekcie bliskie Rosji. Te kwestie wykorzystuje się przede wszystkim w narracjach krytycznych wobec Unii Europejskiej czy szerzej Zachodu. W interesie Rosji leży, by obrzydzić nam inicjatywy integracyjne i doprowadzić do rozpadu zachodnich sojuszy.

A coraz popularniejsze ostatnio antyukraińskie narracje?
– Kreml eksploatował ten temat od pierwszych dni wojny, a przekazy są proste i emocjonalne – że uchodźcy z Ukrainy w Polsce dostają więcej wsparcia niż Polacy, że odbierają nam pracę i świadczenia socjalne, że mają pierwszeństwo w kolejkach do lekarza, a przy tym zachowują się niewdzięcznie. Takie tezy trafiają na

Sopot. Solidarni z Ukrainą – wiec wsparcia dla Ukrainy walczącej z armia rosyjską (26.02.2022)
FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

podatny grunt, bo niektóre z tych kwestii rzeczywiście budzą wśród obywateli obawy. Główny cel jest jasny: Moskwa liczy, że jeśli od Kijowa odwróci się Warszawa, która była jednym z jego najaktywniejszych sojuszników, to reszta Zachodu pójdzie w ślad za nią.

Drugim sprawdzonym polem są kwestie historyczne. Zwłaszcza rzeź wołyńska, tematu wyjątkowo wrażliwego dla Polaków, są systematycznie podsycane. Pojawiają się też narracje bardziej absurdalne, jak ta o imperialnych aspiracjach Polski wobec Ukrainy i tajnych planach odzyskania Kresów czy o „polskiej winie" za wybuch II wojny światowej.

O tym nie słyszałem!
– W rosyjskich przekazach od kilku lat przewija się teza, że to Polska kolaborowała z Hitlerem, a nawet namawiała go do Holokaustu. Oskarżenia tego typu wracają przy kolejnych rocznicach czy sporach międzynarodowych.

Ale do kogo adresowane jest zakłamywanie historii? Bo przecież nie do Polaków. Do innych mieszkańców UE?
– Jest wykorzystywane i w Rosji, i na polu międzynarodowym. Cel to podważyć wiarygodność Polski jako partnera i sojusznika i usprawiedliwić wrogą politykę wobec niej. Moskwa potrafi wracać nawet do tematów, które wydawały się już dawno zamknięte – po latach od uznania winy ZSRR rosyjskie media znów lansują tezę, że Katyń to dzieło Niemców. Odwracanie kota ogonem nawet w tej sprawie pokazuje skalę cynizmu: nie chodzi o żadną prawdę, tylko o sianie wątpliwości. Na tym przykładzie widzimy też, że rosyjska propaganda nie ma ambicji, żeby przekonać do jednej wersji wydarzeń. Wystarczy, że podważy wiarę w fakty, rozbije spójność pamięci historycznej, zasieje zamęt.

Jeszcze dekadę temu trudno byłoby sobie wyobrazić, że rosyjska propaganda jest w stanie zapuścić korzenie w Polsce. Przecież w rankingach niechęci Rosja zawsze była i jest na pierwszym miejscu – w tym roku według CBOS deklaruje ją aż 72 procent.
– Lubimy postrzegać siebie jako odpornych, zaszczepionych wskutek trudnych doświadczeń historycznych z Rosją, które odcisnęły się na naszej zbiorowej pamięci tak głęboko, że są wpisane w nasze narodowe DNA. Coś w tym jest…

…ale?
– …ale Rosjanie mają niezwykłą zdolność adaptacji – potrafią dostosować strategie do specyfiki przeciwnika i wynajdywać bardziej finezyjne metody ingerencji. Polska jest przeciwnikiem szczególnym – państwem zintegrowanym z wrogim Zachodem, ale bliskim kulturowo sąsiadem. W rosyjskich badaniach opinii publicznej jesteśmy dziś oceniani niemal tak źle jak Ukraina – jako wróg, państwo nieprzyjacielskie, wręcz rusofobiczne.

Właśnie, w zasadzie to czym jest Polska w rosyjskiej propagandzie? Rozumiem, że to wróg Rosji – ale taki wróg poważny i silny czy raczej karykaturalny, podnóżek Zachodu i USA?
– Jest jednym i drugim – w zależności od potrzeb w danym momencie. W tym samym programie telewizyjnym można usłyszeć najpierw, że Polska to kraj o imperialnych ambicjach, kolonizator wschodnich ziem, państwo cierpiące na „fantomowe bóle imperialne", które chce podbić Ukrainę i Białoruś, i że w czasie Wielkiej Smuty polska załoga zajęła Kreml, a już kilka minut później padają stwierdzenia, że jesteśmy jedynie marionetką Waszyngtonu, „chodzimy na pasku" amerykańskiej administracji, a Warszawa to w istocie „rosyjskie miasto", które trzeba odzyskać.

Trudno byłoby być imperium i marionetką jednocześnie.
– W Rosji Polakom przypisuje się ambicje imperialne i agresywne plany na użytek wewnętrzny, bo to pozwala mobilizować własne społeczeństwo przeciw „zagrożeniu z Zachodu". Jednocześnie wobec Polski można łatwo prężyć muskuły, bo – jak to jest podkreślane – nie mamy broni atomowej. Z kolei w narracjach na zewnątrz Polskę przedstawia się jako kraj niegodny zaufania, słaby, pozbawiony samodzielności, którego głos w NATO i Unii liczy się wyłącznie dlatego, że wspierają go Stany Zjednoczone.

To wymaga to sporej elastyczności i od funkcjonariuszy propagandy, i od jej odbiorców.
– Każdy może wybrać to, co jest mu bliższe, co współgra z jego poglądami – na tym bazuje propaganda. Warto dodać, w rosyjskich mediach przewija się jeszcze jedna opowieść o Polsce: że polski naród jest podobny do rosyjskiego, że łączy nas słowiańska krew i potencjalnie nić porozumienia. Polska bywa też przedstawiana jako kraj, któremu udało się osiągnąć sukces gospodarczy i społeczny. To odwołanie do stereotypów sięgających jeszcze czasów sowieckich – Polska była wtedy „bliższym", dostępnym Zachodem.

Tego już nie rozumiem. Czyli jesteśmy jednocześnie lokalnym imperium, marionetką Waszyngtonu i jeszcze krainą miodem i mlekiem płynącą? Gdzie tu logika?
– Jeśli ktoś ma kompleksy, że mieszka w Polsce, to ja zawsze polecam wycinki z rosyjskiej telewizji, gdzie Polskę ukazuje się jako militarną potęgę. A poważnie, ten pozytywny obraz to tylko wstęp do narracji, że skoro Polacy tak się rozwinęli za amerykańskie i unijne pieniądze, to muszą teraz przeć do wojny i broni atomowej. Myślę, że w tej premedytacji jest trochę podświadomości. Rosjanie ekstrapolują na nas swoje własne intencje i logikę funkcjonowania.

Mówi się, że propagandowe narracje to efekt dobrze zaplanowanych i zdyscyplinowanych działań. A może takie wrażenie to przewrotny przejaw dzisiejszej tendencji do spiskowego postrzegania świata?
– Akurat ten temat jest dobrze zbadany – propaganda i dezinformacja stały się jednym z najpopularniejszych pól analiz Rosji. I choć rosyjskie życie wewnętrzne jest hermetyczne, informacje szczelnie chronione, a dostęp do danych ograniczony, to wiemy jedno: system dezinformacji jest centralnie sterowany i dobrze skoordynowany. Ma pionową strukturę zarządzania. Na szczycie piramidy stoi administracja prezydenta, kontrolę nad nim sprawują służby specjalne, dla których informacja jest jedną z kluczowych sfer działalności. W system wprzęgnięto instytucje państwowe, media, organizacje o różnym profilu – biznesowe, kulturalne i religijne.

A skąd to właściwie wiemy?
– Z analiz rosyjskich mediów, ze źródeł historycznych, z przecieków, na przykład instrukcji z Kremla dla mediów, czyli tzw. metodyczek. A także z materiałów zachodnich służb – choćby w ubiegłym roku Amerykanie opisali działania Rosjan przy okazji operacji „Doppelgänger". Ujawniono, jak profesjonalnie rosyjski system doskonali metody oddziaływania za granicą.

Operacja „Doppelgänger" polegała na tworzeniu fałszywych kopii portali znanych zachodnich mediów, w tym „Guardiana" czy „Bilda", gdzie publikowano zmanipulowane treści uderzające w Ukrainę, NATO i Europę. Po czym za pomocą botów i fałszywych kont masowo rozpowszechniano linki.
– To przykład, że rosyjska machina działa systemowo: wyznaczano cele, planowano kampanie, badano reakcje Zachodu, śledzono nawet raporty zachodnich think tanków na temat Rosji. A przy okazji, że jest innowacyjna. Rosjanie wracają do wzorców ZSRR, adaptując je do nowych warunków. Korzystają z najnowszych technologii, działają szybko i na wielką skalę, a gdy coś zawodzi, próbują korygować błędy i szukają nowych rozwiązań. Mamy do czynienia z przeciwnikiem niezwykle trudnym i elastycznym.

Ale chyba nikt na Kremlu nie wierzy, że ludzie na Zachodzie zakochają się w Rosji? Może za czasów zimnej wojny to było możliwe na zasadzie: „na przekór tym aroganckim Amerykanom odmrożę sobie uszy", ale nie dziś, kiedy Rosjanie niemal jawnie mieszają się do francuskiej czy brytyjskiej polityki, zakłócają GPS i tak dalej.
– Propaganda lubi opowieści o pojedynczych Amerykanach czy Europejczykach, którzy odkrywają Rosję i rzeczywiście się w niej zakochują. Dopiero tam mogą założyć tradycyjne rodziny, chodzić do kościoła, żyć „normalnie" w zgodzie z chrześcijańskimi wartościami. Kreml wie, że takie historie znajdą odbiorców za granicą – ludzi rozczarowanych Zachodem, szukających prostych rozwiązań. Bez trudu można znaleźć kanały w serwisach społecznościowych poświęcone promowaniu takiej wizji Rosji. Ale to nie jest główny nurt działań.

Moskwa przez lata próbowała grać kartą *soft power*, inwestując w pozytywny obraz Rosji za pośrednictwem kultury i przyrody, organizacji religijnych, inicjatyw społecznych. Ale to się nie udało. Rzeczywisty model – autorytarny, skorumpowany, obojętny wobec ubóstwa i problemów obywateli – dla Zachodu nie mógł być atrakcyjny. Zamiast przyciągać, budził niepokój. A później symbolem rosyjskich realiów stały się obrazy nagłaśniane przez Ukraińców: żołnierze wywożący z Ukrainy pralki czy telewizory, informacje o braku toalet w rosyjskich domach. Trudno mówić o wizji życia, którą masowo na Zachodzie chciałoby się naśladować.

Dlatego Kreml odszedł od miękkiej siły i przeszedł na twardą – *hard power*, czyli wybrał wojnę i destrukcję. Zawsze łatwiej jest burzyć, niż budować, a rosyjska propaganda niszczy po mistrzowsku wszystko, co napotka na swej drodze, nawet relacje międzyludzkie w samej Rosji. Dziś nie chodzi już zatem o oczarowanie Zachodu obrazem Rosji.

To o co w takim razie?
– O zastraszanie, destabilizowanie i niszczenie przeciwnika, narzucenie mu swojej woli. Putinowski reżim uważa demokrację za zagrożenie – dlatego im bardziej państwa demokratyczne będą wewnętrznie osłabione, tym lepiej. Propaganda kierowana na zewnątrz nie zawsze ma jasno zdefiniowany cel w rodzaju doprowadzenia do dymisji konkretnego polityka. Często działa metodą prób i błędów: sprawdza, gdzie uda się wzbudzić chaos. Każde osłabienie zachodniego państwa, każdy podział i wewnętrzny kryzys Kreml traktuje jako sukces. Moskwa uważnie obserwuje – nie wymyśla kryzysów od zera, lecz ingeruje tam, gdzie napięcia już istnieją i możliwy jest jakiś uzysk.

A celów Rosja ma wiele. W państwach otwarcie krytycznych wobec Moskwy propaganda ma podsycać chaos i polaryzację. W krajach neutralnych czy przychylnych Rosji – wzmacniać narracje antyamerykańskie i antyzachodnie. Ale najważniejszym odbiorcą pozostaje samo społeczeństwo rosyjskie. Propaganda to dla Putina narzędzie utrzymania władzy. Agresja na Ukrainę była nie tylko próbą podporządkowania jej Moskwie i zmiany porządku bezpieczeństwa w Europie, ale też sposobem na zakonserwowanie własnych rządów.

Schodząc na poziom bieżący i konkretów, to dziś działania na froncie informacyjnym służą temu, by zniechęcać Zachód do wspierania Ukrainy.

Czyli propaganda jest bronią jak dron.
– Zdecydowanie. Mam wrażenie, że zdarza nam się o tym zapominać, również w Polsce. Propaganda w rosyjskim podejściu należy do arsenału wojny hybrydowej, tak zwanych środków aktywnych, na równi z sabotażem, dywersją, próbami infiltracji przez agentów, cyberatakami.

Czy w tej skomplikowanej maszynerii są w ogóle jakieś słabe punkty?
– Szczególnym problemem dla propagandy są niepowodzenia na froncie – odbicie Chersonia w 2022 r., wejście wojsk ukraińskich do obwodu kurskiego, ataki dronów na Moskwę, uderzenia w most Krymski, ostatnio na obiekty infrastruktury energetycznej w głębi Rosji. W takich sytuacjach propaganda próbuje milczeć. A gdy tematu nie da się ukryć, publikuje sprzeczne wersje wydarzeń. Wtedy rosyjscy odbiorcy zaczynają narzekać w internecie na władzę i szukać niezależnych źródeł informacji.

Rosyjska propaganda raczej nie wykorzystuje tematu aborcji czy praw osób LGBTQ, bo nasze społeczeństwo i część elit politycznych są postrzegane jako dość konserwatywne i w tym aspekcie bliskie Rosji

FOT. X.COM/CHAWRYO

Katarzyna Chawryło

• analityczka w Zespole Rosyjskim Ośrodka Studiów Wschodnich, zajmuje się kwestiami społecznymi w Rosji oraz dezinformacją i propagandą. Na kanale OSW na YouTubie prowadzi serię na temat rosyjskiej propagandy. Autorka raportu „Urwać łeb hydrze. Jak walczyć z rosyjską dezinformacją".

eprasa.pl 71cea234a7

Czy my – w Polsce, w NATO, w UE – jesteśmy w stanie wykorzystać te pęknięcia?
– Zachód podejmuje wiele kroków, by się bronić. Powstają instytucje monitorujące, analizy, raporty, rekomendacje. Śledzimy narracje, które Rosja próbuje wprowadzać do naszego obiegu, rozpracowujemy ich cele. Wszystko to jest oczywiście bardzo ważne, bo dzięki temu wiemy, że nie mamy do czynienia z chwilową akcją, tylko z długofalową strategią państwa – i powoli na Zachodzie zakorzenia się świadomość, że to konfrontacja na dekady, a nie na chwilę. Ale potrzebna jest również systemowa odpowiedź. Aktywna obrona.

Czyli? Mamy budować farmy trolli pod Warszawą, które będą rozpuszczać plotki o sobowtórach Putina?
– Nie skupiajmy się na biernym reagowaniu na działania Rosji, ale przeciwdziałajmy zagrożeniu, zanim osiągnie cel, zakłócajmy działania przeciwnika w trakcie, zmuszajmy Rosję do reakcji. Musimy mieć własną spójną narrację o wojnie i Rosji. Powinniśmy przewidywać ataki informacyjne. Ogromne znaczenie ma szybka komunikacja ze społeczeństwem.

Oddzielny temat to próba wchodzenia w rosyjską przestrzeń informacyjną, by przejmować inicjatywę i zmuszać Rosjan do reakcji.

A to w ogóle możliwe?
– Ukraińcy od początku wojny traktują wojnę informacyjną tak samo poważnie jak tę na froncie. Powinniśmy wspierać ich informacyjne kontrataki, bo tak przesuwamy front na rosyjskie terytorium. Próbując dotrzeć do Rosjan, nie musimy sięgać po kłamstwa czy manipulacje. Sama prawda jest dla Kremla wystarczająco niewygodna. Musimy tylko podać ją w odpowiedni sposób i do właściwych odbiorców. Co do trolli. Słyszałam, że w rosyjskiej diasporze powstawały grupy „elfów", które działały podobnie jak rosyjskie farmy trolli, tylko że w służbie prawdy. Próbowały wchodzić w dyskusje z Rosjanami na platformach społecznościowych, przytaczając ważne dla obywateli fakty o wojnie, które reżim próbował ukrywać. Czemu nie mielibyśmy ich wspierać?

Czyli po następnym sukcesie militarnym Ukrainy powinniśmy zalogować się na VKontakte – największym serwisie społecznościowym w Rosji – i tam wrzucać informacje o skutkach wojny?
– Nie zalecam. Ale możemy wspierać rosyjskie media opozycyjne i Ukraińców, którzy znają rosyjskie realia i problemy oraz próbują docierać do Rosjan z alternatywnym przekazem. Chodzi o to, by odbierać Rosji inicjatywę. Cała logika ich działań polega na tym, że to oni chcą zaskakiwać, narzucać narrację, kontrolować bieg wydarzeń. Spróbujmy wytrącać ich z tej równowagi.

A widzi pani jakieś przykłady aktywnej obrony, które już działają?
– Najskuteczniejszy przykład jest oczywisty – wspieranie Ukrainy. Każdy sukces Kijowa na froncie to problem dla rosyjskiej propagandy. Kiedy armia się potyka, komentatorzy tracą grunt pod nogami, narracja „o nadchodzącym zwycięstwie" przestaje się spinać. Dlatego zachodnia pomoc militarna i finansowa nie tylko wzmacnia obronę Ukrainy, ale też uderza w machinę propagandową Kremla.

Jak jeszcze można aktywnie się bronić?
– Musimy wychodzić poza własną bańkę informacyjną. Rosjanie mieszkają nie tylko w Rosji – to także ogromne diaspory w Europie, Izraelu, Turcji czy Azji Centralnej. Są tam osoby, które mają kontakt z rodzinami w kraju i mogą im przekazywać informacje objęte cenzurą. Warto docierać do nich z odpowiednio dobranymi przekazami – bo ich świadomość i sceptycyzm mogą rezonować dalej, do środka Rosji. Możemy wspierać niezależne media, które musiały opuścić Rosję, ale wciąż potrafią docierać do kraju. Stawką takich działań nie powinno być przekonanie Rosjan do demokracji i wolnych wyborów – to raczej mało prawdopodobne. Chodzi o to, by utrudniać życie propagandzie, wskazując na miejsca, gdzie społeczeństwo rosyjskie i tak odczuwa trudności. Wiele problemów potęgują wojna i decyzje władz, co powinno być podkreślane.

Nie wspomina pani o fact-checkingu. Nie wierzy pani w prostowanie kłamstw rosyjskiej propagandy?
– To dobra metoda dementowania kłamstw, ale bardzo reaktywna. Badania pokazują, że jej skuteczność jest ograniczona. Rosjanie rozumieją, jak to działa, i od lat się dostosowują. Stosują np. fałszywy *fact-checking:* kiedy Zachód obala ich manipulacje, oni zaraz produkują materiały, które rzekomo obalają nasze dementi. Klasyczny przykład dotyczy Buczy – rosyjska propaganda zasypała internet pseudodowodami mającymi sugerować, że zbrodni dokonali Ukraińcy. Sprawstwo Rosji od ujawnienia masakry na Zachodzie nie budziło wątpliwości, ale Rosjanom chodzi nie o przekonanie do swojej wersji, ale o stworzenie chaosu, w którym prawda przestaje być rozpoznawalna.

A co robić, gdy z tekstami żywcem ściągniętymi z rosyjskiej propagandy spotykamy się w realu. Kiedy taksówkarz nadaje całą trasę na „tych banderowców", a w kolejce w dyskoncie słyszę, że „w Polsce to już niedługo trzeba będzie po ukraińsku mówić"?
– Nie mam łatwej odpowiedzi. Z jednej strony milczenie to zgoda na kłamstwo. Inne osoby w takim codziennym otoczeniu powinny usłyszeć, że nie każdy zgadza się z takimi poglądami. Z drugiej strony reagując, powinniśmy być pewni, że nie staniemy się obiektem agresji. Jeśli sytuacja wydaje się bezpieczna, warto zaoponować, delikatnie i z szacunkiem – podać w wątpliwość usłyszaną wypowiedź, przytoczyć fakt podważający tezę, zadać umiejętnie pytanie. Czasem to wystarczy. Na pewno nie pomoże kategoryczny sprzeciw, zdeprecjonowanie, gniew czy zwyzywanie rozmówcy.

Zdecydowanie większe pole manewru mamy w gronie bliskich, kolegów z pracy czy znajomych, tam jest miejsce na dłuższą dyskusję, przytaczanie faktów. Warto je mieć na podorędziu. To jest wysiłek, który powinniśmy podjąć, wręcz nasz obywatelski obowiązek.

Mam jeszcze jedną sugestię. Jeśli naprawdę zależy nam na tym, by skutecznie walczyć z rosyjską dezinformacją, nie powinniśmy upolityczniać tego tematu.

Ale przecież to jest polityczny temat.
– Chodzi mi o to, żeby nie szafować zarzutami o działanie na korzyść rosyjskiej propagandy w codziennej walce politycznej. Nie każda krytyczna opinia to „długa ręka Moskwy". Nadużywanie tego pojęcia działa trochę jak w bajce Ezopa o chłopcu, który wciąż krzyczał: „Wilk!". W końcu, gdy naprawdę wilk przyszedł, by zjeść owce, nikt mu już nie uwierzył. Jeśli wszędzie słyszymy, że „to rosyjska dezinformacja", w końcu przestajemy być uważni. A Kreml ma ułatwione zadanie. To, że jesteśmy i będziemy celem ataków, jest więcej niż pewne. ●

• **Cała rozmowa na Wyborcza.pl/magazyn**

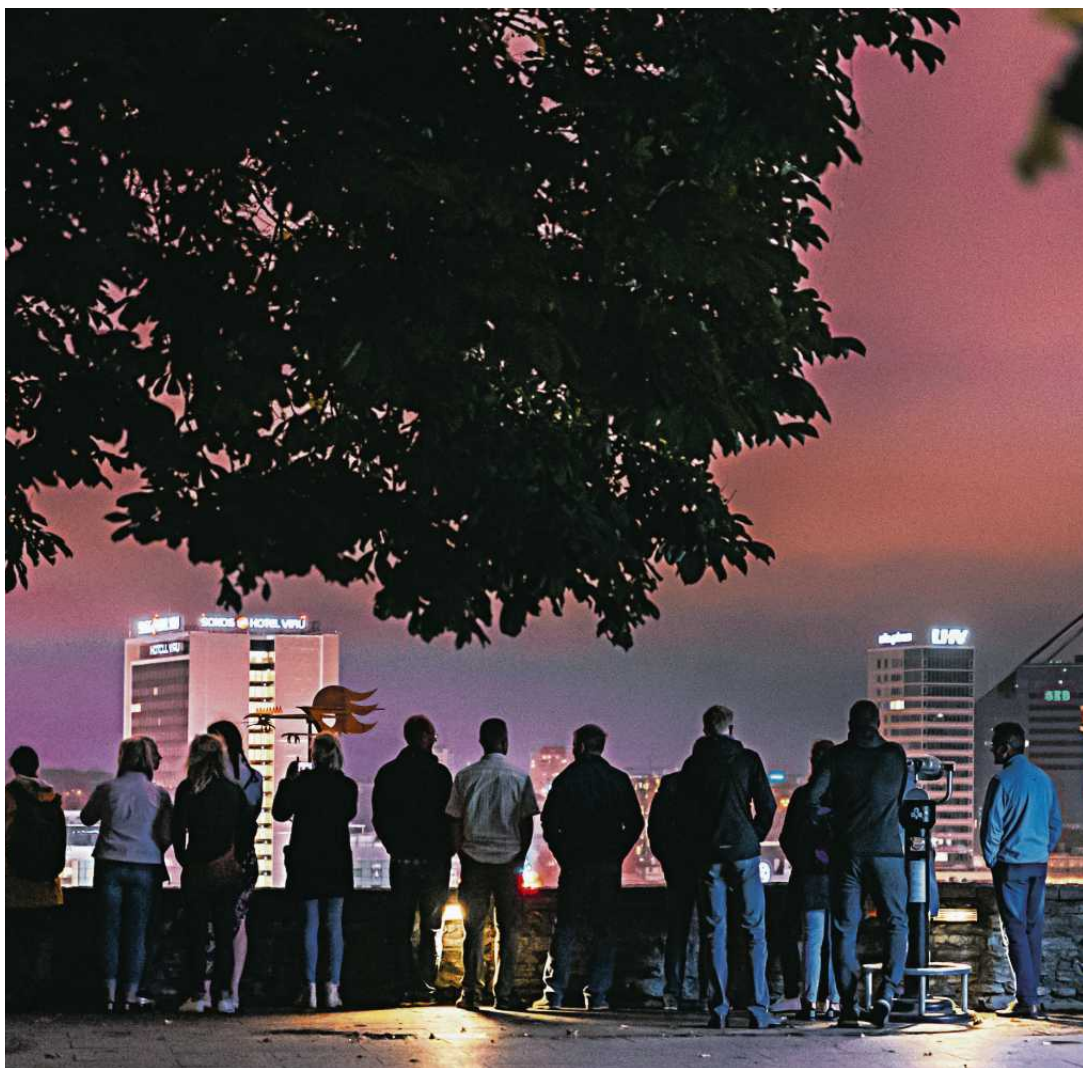

ZAPASOWA KOPIA PAŃSTWA

W razie rosyjskiego cyberataku dzięki ambasadzie danych w Luksemburgu możemy nadal świadczyć usługi publiczne w trybie online, zdalnie

Z **ALLANEM ALLMERE,** DORADCĄ DS. ARCHITEKTURY SIECI I INFRASTRUKTURY IT W ESTOŃSKIM MINISTERSTWIE SPRAWIEDLIWOŚCI I CYFRYZACJI ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

Estonia podkreśla, że jest pierwszym w pełni cyfrowym państwem na świecie, ze wszystkimi usługami publicznymi dostępnymi online, 24/7, bez biurokracji. Czy są jeszcze sprawy, których nie da się załatwić online, gdzie trzeba wrócić do tradycyjnej, papierowej administracji?
– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

A rozwód? Estończycy rzeczywiście mogą się rozwieść przez internet?
– Tak. To była ostatnia brakująca usługa, którą wprowadziliśmy dla naszych obywateli w zeszłym roku. W praktyce, żeby się rozwieść, wystarczy parę kliknięć. Istnieją oczywiście pewne ograniczenia, ale wynikają z przepisów prawa, a nie z barier technologicznych.

Rozwód nie może nastąpić natychmiast. Po złożeniu wniosku obowiązuje miesięczny okres buforowy, po którym sąd pyta obie strony, czy rzeczywiście chcą się rozstać. Małżonkowie mogą się pokłócić jednego wieczoru i podjąć decyzję o rozwodzie, a następnego dnia się pogodzić i zmienić zdanie. To zabezpieczenie wpisane w ustawę, a nie ograniczenie systemu cyfrowego.

Ten niespotykany stopień cyfryzacji Estonii zgrabnie opisała wasza poprzednia prezydent Kersti Kaljulaid: „Estonia jest ze mną wszędzie. Bez względu na to, czy podpisuję państwowe dokumenty na Antarktydzie, czy głosuję w wyborach, jadąc autobusem w Luksemburgu – niezależnie od miejsca nigdy nie czułam się odcięta jako obywatelka". Dobrze rozumiem, że nawet w przypadku wojny czy poważnego cyberataku, niezależnie od miejsca pobytu Estończycy z dostępem do sieci nadal mogą głosować w wyborach, wziąć ślub, rozliczyć podatki, założyć albo zamknąć firmę, zarejestrować samochód i mają dostęp do dokumentacji medycznej czy aktów własności?
– Taki jest nasz cel i w tym kierunku zmierzamy, choć nie osiągnęliśmy go jeszcze w pełni. Wszystkie te sprawy, które wymieniłeś, a nawet więcej, można załatwić online już dziś, ale w razie poważnej katastrofy naszej cyfrowej infrastruktury nie bylibyśmy w stanie od razu jednym ruchem przełączyć wszystkich systemów. To nasza ambicja, ale wciąż jesteśmy

eprasa.pl 71cea234a7

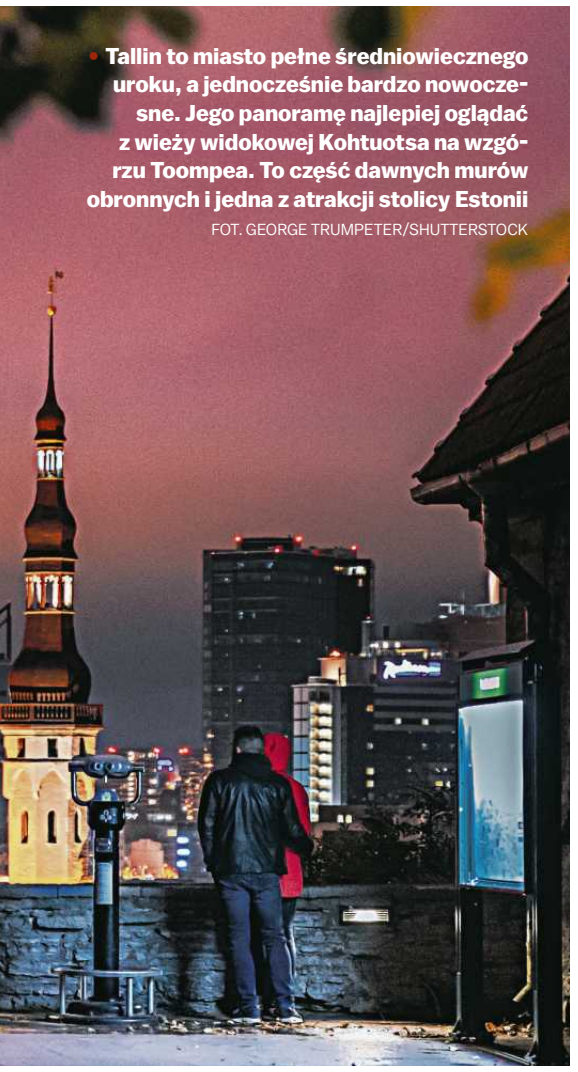

Tallin to miasto pełne średniowiecznego uroku, a jednocześnie bardzo nowoczesne. Jego panoramę najlepiej oglądać z wieży widokowej Kohtuotsa na wzgórzu Toompea. To część dawnych murów obronnych i jedna z atrakcji stolicy Estonii
FOT. GEORGE TRUMPETER/SHUTTERSTOCK

jeszcze w połowie tej drogi. Część systemów można już przełączyć natychmiast, inne trzeba byłoby odtwarzać z kopii zapasowych, co wymaga czasu.

Ważnym krokiem w tym kierunku była nasza ambasada danych.

Czym ona właściwie jest i jak wpadliście na ten pomysł?
– Na początku wyglądało to dość trywialnie. Nasi dostawcy IT robili kopie państwowych rejestrów na dyskach twardych, a estońscy dyplomaci dosłownie latali z nimi po świecie i deponowali je w naszych ambasadach. W pewnym momencie pomyśleliśmy:
mamy przecież XXI wiek, musi być jakiś mądrzejszy sposób, aby przenosić dane wirtualnie, z wykorzystaniem nowoczesnych technologii, zamiast przenosić fizyczne nośniki.

Zaczęliśmy więc od pytania, gdzie moglibyśmy bezpiecznie przechowywać te dane poza granicami Estonii. Cały pomysł wziął się natomiast ze świadomości zagrożenia naszego bezpieczeństwa, jakie stwarza jeden wyjątkowo kłopotliwy sąsiad.

Federacja Rosyjska.
– Otóż to. To był powód numer jeden. W razie ataku całe nasze cyfrowe dziedzictwo znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Potrzebowaliśmy dodatkowej warstwy zabezpieczenia.

Nasi decydenci uznali, że zamiast polegać na prywatnych firmach IT, powinniśmy znaleźć sojuszniczy kraj, który sam kontroluje centra danych najwyższej klasy i nimi dysponuje. Niewiele państw było w ogóle skłonnych rozważyć taką współpracę. Zainteresowane były Wielka Brytania i Luksemburg, ale to Luksemburg okazał się wyjątkowo otwarty na nasze pomysły. Podszedł do sprawy naszej ambasady danych jak do start-upu. Może dlatego, że podobnie jak my jest krajem małym i elastycznym, a nie ogromnym państwem, w którym procesy decyzyjne potrafią trwać latami.

Luksemburg posiada państwowe centra danych w najwyższym standardzie pod względem odporności i zabezpieczeń Tier IV. Z takich samych korzysta NATO. To było dla nas szczególnie ważne, bo na wczesnym etapie sami jeszcze nie wiedzieliśmy, jakie dokładnie systemy zdecydujemy się tam umieścić, a zapewniając sobie dostęp do infrastruktury na absolutnie najwyższym poziomie, zyskaliśmy swobodę późniejszego wyboru. Mieliśmy pewność, że cokolwiek zdecydujemy się hostować, będzie to niezawodne i w pełni zgodne z międzynarodowymi standardami bezpieczeństwa.

Wszystkie elementy złożyły się ostatecznie w spójną całość: Luksemburg był położony wystarczająco blisko, ale nie zbyt blisko, był gotów wejść w ten międzynarodowo-prawny eksperyment i dysponował światowej klasy zapleczem technologicznym.

Na tej podstawie Estonia i Luksemburg w 2017 roku podpisały traktat dwustronny, częściowo inspirowany konwencją wiedeńską o stosunkach dyplomatycznych z 1961 roku, w myśl którego wynajmujemy zabezpieczoną przestrzeń w luksemburskim centrum danych, a wszystko, co się w niej znajduje, jest własnością Estonii. Luksemburg nie ma do niego dostępu. W tym sensie działa to jak klasyczna ambasada, kawałek Estonii na terytorium obcego państwa.

Ukraina również przeniosła znaczną część swojej infrastruktury cyfrowej na serwery za granicą, m.in. do nas. Polska zbudowała i obsługuje centrum danych ukraińskiej administracji podatkowej, a także zapewnia zapasowe zaplecze dla ministerstwa sprawiedliwości Ukrainy, gdzie przechowywane są kluczowe systemy. Różnica polega jednak na tym, że wiele serwerów obsługują amerykańskie big techy. Tymczasem Luksemburg zaoferował wam infrastrukturę całkowicie należącą do państwa, zgadza się?
– Tak, to zasadnicza różnica. Zaatakowanej Ukrainie na pomoc ruszyły takie firmy jak Amazon, Microsoft czy Google. Problem polegał jednak na tym, że w ukraiński sektor publiczny w tamtym czasie nie dysponował jeszcze wystarczającymi kompetencjami, by w pełni zarządzać tymi platformami. Powstało więc wąskie gardło.

My opieramy się wyłącznie na centrum danych zlokalizowanym w Luksemburgu. Ale trzeba też jasno powiedzieć, że nie korzystamy z luksemburskich serwerów czy zasobów. Wszystko, co znajduje się w naszej wydzielonej przestrzeni, jest w całości własnością Estonii. Luksemburg nie ma do tego dostępu. I właśnie to fundamentalnie odróżnia ambasadę danych od prywatnej chmury. My po prostu wynajmujemy przestrzeń i płacimy za prąd oraz chłodzenie. Cała reszta, w tym obsługa sprzętu, pozostaje po naszej stronie.

Dla przykładu: kiedy kilka miesięcy temu mieliśmy drobny problem techniczny w ambasadzie danych, natychmiast wysłaliśmy tam naszych inżynierów i to nasi ludzie go rozwiązali. Luksemburg nie robi tego za nas, nie wolno im nawet wejść do tego pomieszczenia.

Czytam, że również Bahrajn zaczyna się promować jako hub dla ambasad danych innych państw. Konsultowali się z wami w tej sprawie?
– Opowiadałem o naszej ambasadzie na wielu międzynarodowych forach, ale nie przypominam sobie, by Bahrajn zwracał się do nas bezpośrednio po know-how. Trzeba zrozumieć, że istnieją różne scenariusze, w których jakiemuś państwu może być potrzebna ambasada danych. Dla jednych ważne jest, by była bardzo daleko. Dla innych, by była jak najbliżej. Wszystko zależy od konkretnych potrzeb wynikających z położenia geograficznego, uwarunkowań geopolitycznych, a nawet wielkości danego państwa.

W naszym przypadku nadrzędną motywacją było ograniczenie ręcznej pracy przy kopiowaniu i zabezpieczaniu danych. Drugim, fundamentalnym powodem była nasza historia. Estonia była wielokrotnie najeżdżana, a za każdym razem w chaos popadała dokumentacja państwowa. Dlatego bezpieczna kopia państwowych rejestrów poza granicami to dla nas gwarancja administracyjnej ciągłości i przejrzystości. Technicznie rzecz biorąc, kopiowanie danych za granicę nie jest trudne. Wyzwanie polega na tym, by te dane pozostały użyteczne również w przyszłości, gdy zmienią się obsługiwane formaty plików i oprogramowanie. To wymaga przemyślanych strategii archiwizacji.

Inny scenariusz to cyberatak. Jeśli część danych zostanie uszkodzona, możemy odtworzyć wcześniejszą, nienaruszoną wersję, korzystając z naszej ambasady danych. Nawet kosztem utraty kilku miesięcy zapisów zachowujemy integralność i wiarygodność systemu.

Jest też wariant totalnej awarii systemów informatycznych na terenie całego kraju. Dzięki ambasadzie danych w Luksemburgu nawet w takim przypadku możemy nadal świadczyć usługi publiczne w trybie online, zdalnie. To pójście o krok dalej niż proste kopie zapasowe, które mieliśmy wcześniej. Dziś część usług działa w czasie rzeczywistym z Luksemburga.

Oczywiście rodzi to też nowe wyzwania. Nazywam naszą ambasadę danych start-upem, bo mierzymy się z problemami, których nikt wcześniej nie rozwiązywał. Weźmy choćby kwestię opóźnień (ang. latency). Aby usługi online mogły działać sprawnie, systemy w Estonii i w Luksemburgu muszą
być zsynchronizowane. A im dalej położona jest druga lokalizacja, tym większe opóźnienie. Takie są prawa fizyki, nie da się ich obejść.

Dlatego gdybyśmy mieli zakładać kolejną ambasadę danych, nie mogłaby ona powstać w Australii czy Portugalii. Tam moglibyśmy przechowywać kopie zapasowe, ale uruchamianie usług na żywo byłoby już niemożliwe, bo fizyczna odległość jest po prostu zbyt duża.

Czyli geografia wciąż ma znaczenie. Można sobie łatwo wyobrazić doktrynę bezpieczeństwa opartą na ambasadach danych, w której państwa sojusznicze przechowują nawzajem swoje zasoby. Teoretycznie zwiększałoby to efekt odstraszania: gdyby Luksemburg hostował krytyczną infrastrukturę Estonii, Tallin nie miałby powodu atakować Luksemburga i odwrotnie. Czy toczą się na ten temat jakieś dyskusje?

Estonia jest teraz ze mną wszędzie. Bez względu na to, czy podpisuję państwowe dokumenty gdzieś na Antarktydzie, czy głosuję w wyborach, jadąc autobusem w Luksemburgu

– To nie takie proste. Weźmy przykład Ukrainy. Ma coś, czego nie ma Estonia: ogromne terytorium. Gdyby rosyjskie czołgi przekroczyły naszą granicę, dotarcie do Tallina zajęłoby im kilka godzin. Moglibyśmy stawiać opór dzień czy dwa, ale nie mamy tej głębi terytorialnej Ukrainy.

Zapytałem kiedyś naszych architektów IT, czy Ukraina mogłaby założyć ambasadę danych w trakcie wojny. Odpowiedzieli, że jeśli zaczynasz robić to w momencie, gdy wojna już trwa, to przegrałeś.

Wolumen danych jest zbyt duży. Administracja publiczna chce ratować swoje zasoby, biznes swoje, a każdy obywatel chce ratować swoje prywatne pliki. W trakcie zbrojnego konfliktu nie ma przepustowości ani czasu, żeby to wszystko przenosić.

Ale też sama Estonia nie jest najlepszym miejscem, w którym można by ulokować ambasady danych innych państw. Gdyby Rosja zdecydowała się zaatakować któryś z krajów bałtyckich, uderzyłaby pewnie we wszystkie trzy kraje naraz. Nie da się wtedy po prostu załadować serwerów na ciężarówki i przewieźć je bezpiecznie przez Łotwę czy Litwę do Polski. Drogi morskie też niewiele by pomogły, bo bylibyśmy prawdopodobnie odcięci od Finlandii i Szwecji.

Dlatego geopolityka w tak dużym stopniu kształtuje nasze myślenie o bezpieczeństwie danych. Naszą jedyną realną opcją jest przygotowanie się zawczasu. Jeśli kopie zapasowe są już gotowe i czekają w bezpiecznym miejscu, w chwili zagrożenia pozostaje tylko zdecydować, w którym momencie przełączyć systemy.

Jakieś dwa lata temu koledzy z Argentyny pytali mnie, dlaczego Estonia nie oferuje platformy ambasady danych innym państwom. Odpowiedziałem im: „Przecież mamy agresywnego sąsiada. Nikt nie chce trzymać tutaj swoich danych. To po prostu niestabilny region”.

A gdyby udało się namówić, powiedzmy, USA albo Niemcy, aby przechowywały swoje dane w Estonii? Wtedy rosyjski atak uderzałby również w ich infrastrukturę krytyczną, zwiększając potencjalne koszty takiej agresji.
– W teorii, ale w praktyce wątpię, by ktokolwiek się na to zgodził. Liczę jednak, że sam koncept się rozpowszechni. Luksemburg już promuje się jako gospodarz chętny do przechowywania krytycznych danych innych państw. Moim życzeniem jest, by kolejne kraje przyjęły ten model. Wtedy, gdy Estonia będzie chciała otworzyć drugą ambasadę danych, na przykład w Niemczech czy Hiszpanii, idea będzie już znana i zrozumiała. Będziemy mogli się skupić na szczegółach technicznych, a nie na tłumaczeniu całej koncepcji od podstaw.

Czy inne państwa też mają już swoje ambasady danych? W kwietniu 2022 roku działająca przy polskim Ministerstwie Cyfryzacji Rada ds. Cyfryzacji rekomendowała utworzenie „cyfrowej ambasady Rzeczypospolitej Polskiej”, ale nie mam pewności, jak potoczyło się to dalej.
– Wiem, że Monako ma swoją ambasadę danych w Luksemburgu. Natomiast z punktu widzenia bezpieczeństwa rozsądniej jest nie ogłaszać takich planów publicznie. Im mniej wie twój wróg, tym lepiej. Estonia była absolutnym pionierem, pierwszym krajem, który zdecydował się na taki krok, dlatego staliśmy się modelowym przykładem, który otwarcie promował tę koncepcję. Na samym początku deklarowaliśmy nawet, jakie rodzaje danych przechowujemy za granicą.

Przestaliśmy to robić w ubiegłym roku, gdy rozszerzyliśmy zakres zbiorów. Bo jeśli potencjalny agresor dokładnie wie, co i gdzie jest przechowywane, samo to staje się ryzykiem. Oczywiście nie jest żadną tajemnicą, że najbardziej krytyczne dane państwowe muszą być chronione. Zapytaj dowolną sztuczną inteligencję, jakie informacje są niezbędne do funkcjonowania państwa, odpowiedź zawsze będzie ta sama.

Nie polegamy jednak wyłącznie na naszej ambasadzie danych. Korzystamy też z chmur prywatnych dostawców: Amazon Web Services, Microsoft Azure i innych. W obecnej sytuacji geopolitycznej nieustannie analizujemy i aktualizujemy nasze opcje. Dbamy o to, by nie stawiać wszystkiego na jedną kartę, to zmniejsza potencjalne ryzyko.

Nasze podejście zawsze opiera się na dywersyfikacji. Nigdy nie opieramy się na jednym dostawcy. I zawsze kierujemy się zasadą, że jeśli korzystamy z chmury, to jednocześnie przechowujemy bezpieczną kopię we własnej infrastrukturze. Dzięki temu, jeśli chmura zostanie naruszona, będzie to bolesne, ale część usług nadal będziemy mogli odtworzyć niezależnie.

A jakie są dalsze plany w związku z waszą ambasadą danych?
– Rozważamy utworzenie kolejnego ośrodka. To po prostu rozsądne, dodatkowa gwarancja bezpieczeństwa. Gdyby coś stało się
z naszą ambasadą w Luksemburgu, drugi ośrodek pozwoli nam pozostać online i utrzymać ciągłość działania instytucji państwowych. ●

eprasa.pl 71cea234a7

• **Rok 1931. Studentki w tradycyjnych brytyjskich strojach akademickich (toga i biret) pozują przed Royal Albert Hall w Londynie**

F OT. DAILY HERALD ARCHIVE/NATIONAL SCIENCE & MEDIA MUSEUM/SSPL VIA GETTY IMAGES

SKARPETKI Z LOGO UCZELNI

Polska, Szwecja, Wielka Brytania, Francja. Uniwersytet wszędzie choruje na to samo

Monika Kostera

Wyobraźmy sobie zakon kontemplacyjny, gdzie mniszki nie noszą habitów ani symboli religijnych nawet podczas ceremonii, tylko biznesowe kostiumy i buty na obcasach wydających głośny stukot. Gdzie uległy zanikowi tradycyjne tytuły, a „osoby zakonne" zwracają się do siebie tylko cywilnym imieniem i nazwiskiem. Gdzie przeorysze rekrutowane są przez firmy zatrudniające menedżerów, a regułę powoli zastępują procedury i komisje – od programowej do antymobbingowej.

Osoba niewierząca nie miałaby większego problemu z wyobrażeniem sobie takiej organizacji. Bo co jest szczególnego w zakonie? Ale już w następnym kroku taka osoba miałaby trudności z określeniem, po co taki zakon istnieje. W świecie, gdzie brak na wszystko środków, twory pozbawione sensu nie powinny być wspierane przez państwo czy finansowane przez podatników. Jeśli jakieś osoby lubią śpiewać razem religijne piosenki, to mogą stworzyć sobie fundację, w której wolontariat będzie zbierał zrzutki i organizował eventy.

Ba, same mniszki w tym zakonie są raczej niewierzące. Zajmują się głównie ochroną marki zakonu i promowaniem własnych wybitnych indywidualnych osiągnięć modlitewnych. Siostry szczycą się publicznie, ile która zdobyła koralików różańcowych za ekstraszybkie odmawianie zdrowasiek. Atomowe konflikty wybuchają z regularnością, co nie dziwi ani nie gorszy już nikogo – mniszki wzajemnie się obgadują, zwalczają. Muszą się przecież czymś zająć. W mediach chętnie zabierają głos i pouczają wiernych, zwracając uwagę, jak bardzo laicy są pozbawieni nowoczesnych cnót – a w wolnych chwilach narzekają na niskie wynagrodzenia, bo koleżanki z korporacji zarabiają więcej. Jeśli któraś z nich osiągnęła mądrość i stan uduchowienia, to wykazuje się mniejszą aktywnością i jest marginalizowana albo wypychana na zewnątrz. Może trudno się dziwić, że świeccy pozostają nieporuszeni tymi osiągnięciami. Czy jest jakiś sens w tym, co robią absurdalne mniszki?

Ale czy na pewno absurdalne? Czy czegoś nam to nie przypomina?

•

Co jakiś czas ostatnio w mediach dużych i społecznościowych pojawiają się rozmowy o sensie uniwersytetu i coraz częściej padają opinie poważnie weń wątpiące, wręcz pogardliwe. Na przykład ostatnio pod postem na Facebooku dotyczącym wprowadzenia przez pewien polski uniwersytet obowiązku noszenia przez pracowników identyfikatorów bez stopnia naukowego wybuchła dyskusja o tytułomanii, w której dominują komentarze zachwalające model anglosaski, jakoby jej pozbawiony. *„Zdecydowanie wolę model brytyjski, bez tytułomanii. Wszechobecny small talk jest męczący, ale nadrabiają to zupełny brak tytułowania, właściwie instant przejście na »ty«, brak konieczności sprawdzania na stronach, czy adresat jest prof. czy może dr hab., czy może dr".*

Jakoby, bo w krajach anglosaskich tytuły widnieją na wszystkich dokumentach, włącznie z prawem jazdy i rachunkiem bankowym.

Pojawił się także taki wpis, skierowany do kogoś, kto tytułów bronił: *„Przybije sobie pan nad łóżkiem, w łazience nad lustrem nad umywalką, w toalecie na drzwiach kartkę z informacją, że jest pan profesorem. Myślę, że pomoże to ukoić skołatane ego – no wszyscy goście, np. podczas dłuższego posiedzenia na pańskim klozecie – wbiją sobie wtedy tę informację do głowy".*

Pewna trzeźwa osoba podsumowała: *„Po przeczytaniu komentarzy zdałam sobie sprawę, jak trudno zarządza się uniwersytetem. Pozdrawiam wszystkich serdecznie".*

Tak, uniwersytetem trudno jest zarządzać, jeśli członkowie tej społeczności mają świadomość sensu i celu funkcjonowania tej organizacji, ale za to bardzo łatwo zarządzać – z niszczycielskim efektem – gdy tego poczucia zabraknie. Ponieważ to typ organizacji bliższy zakonowi niż korporacji.

Moi przyjaciele i studenci pracujący w korporacjach zwracają często uwagę, że tam ponosi się odpowiedzialność za to, jak się zarządza i co z tego wynika – w obecnej erze mniej, niż się powinno, ale jednak. W korporacji obraca się często naprawdę dużymi sumami, przy których budżety uniwersyteckie mogą się wydawać skromne. Ale w korporacji jest o wiele więcej mechanizmów rozliczania i konieczności uzasadniania przepływów finansowych. Na uczelni można stosować zarządczą wol-

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

noamerykankę w trzech sytuacjach. Gdy osoby zarządzane: 1. nie wierzą w jakiś nadrzędny cel; 2. zajmą się konfliktami i lansowaniem własnej marki; 3. nikt się nie zorientuje, bo organizacja straciła tożsamość.

Jednocześnie znajome pracowniczki korporacji zauważają, że nieraz najbardziej patologiczni szefowie z ich branży „idą zarządzać do" niektórych prywatnych uniwersytetów. A coraz częściej także do niektórych publicznych.

Gdy patologie akademickie splotą się z korporacyjnymi i uniwersytet z wszechnicy przepoczwarza w firmę usługową sprzedającą kapitał kulturowy, powstaje hybryda łącząca negatywne cechy obu modeli – akademii i korporacji. Kilka wymownych przykładów z anglosaskiego świata akademii, który tak często jest w Polsce przywoływany jako idealny i pożądany.

Wybitna uczona zatrudniona na nowoczesnym i doskonałym brytyjskim uniwersytecie poważnie zachorowała. W trakcie leczenia przez jakiś czas czuła się nieźle i chciała pracować, zwłaszcza z doktorantami, którzy jej potrzebowali i bardzo ją kochali. Jednak pracodawca pozbawił ją stanowiska i uniemożliwił zajęcia z doktorantami. Został jej tylko stopień doktora. Emerytowany profesor, wybitny uczony światowej sławy, protestował przeciwko złemu zarządzaniu na uniwersytecie, na którym przepracował dużą część życia zawodowego. Uniwersytet w rewanżu pozbawił go honorowego tytułu *professor emeritus.* Został mu stopień doktora. Na innym brytyjskim uniwersytecie na stanowisko profesora w trybie błyskawicznym awansowano ze stanowiska adiunkta człowieka bez dorobku naukowego, ale za to pozbawionego zahamowań ulubieńca nowych władz do specjalnych poruczeń.

Doktorat jest w tym systemie ostatnim stopniem należącym do uczonych, wszystko, co powyżej – należy do pracodawcy. Uzależnia to wykładowców i badaczy od zarządzających, którzy coraz rzadziej w „rynkowo zreformowanych" uczelniach mają wiedzę o akademii, jej specyfice, tradycjach.

Stopnie i tytuły – to akademickie środki produkcji. Odebranie akademikom władania nimi i potraktowanie tytułu naukowego jak stanowiska w korporacyjnej hierarchii – kierownik, dyrektor, specjalista do spraw… i tak dalej – które podlega awansowi lub degradacji, ma poważne konsekwencje dla tak zwanej swobody akademickiej. Jej sensem jest umożliwienie, by naukowcy wypowiadali się zgodnie z tym, co badania naukowe im wskazują jako prawdę, i by żadna władza nie mogła temu przeciwdziałać. W niegdysiejszym systemie samozarządzanym istnieją ku temu warunki, co oczywiście nie znaczy, że zawsze są automatycznie wykorzystywane właściwie. Ale gwarancji nie oferuje żaden system, a tradycyjny samozarządzający się przynajmniej daje taką szansę. Owszem, za nieprawomyślność na tradycyjnej polskiej uczelni można zdegradować pracowniczkę, stosować wobec niej ostracyzm, odebrać jej kierownictwo grantu, nawet ją zwolnić. Jednak nie można jej odebrać habilitacji i profesury tytularnej. W zreformowanym na wzór korporacji systemie utrata stanowiska oznacza utratę prawa do posługiwania się jego nazwą. Pozostaje doktorat. I skarpetki z logo uczelni.

•

Z drugiej strony, tak jak piętnowany przez papieża Franciszka jako grzech klerykalizm w Kościele generuje fałszywy elitaryzm i tworzy kulturę dworską – tak akademicka tytułomania tworzy zamknięte kluby przywilejów, układy wzajemnego popierania się i feudalne dwory. Władza staje się jedynym celem i wyznacznikiem celu dla osób zaangażowanych w taką kulturę. Taki uniwersytet nie ma sensu tak samo jak uniwersytet skorporatyzowany.

Obie patologie brutalnie wpisują się w schorzenie organizacyjne związane z punktem numer dwa. Bycie profesorem to służba czemuś większemu niż czyjekolwiek ego czy ambicje – to w najgłębszym znaczeniu oddanie. Warto pamiętać, że słowo „profesor" wywodzi się od łacińskiego czasownika *profiteri* oznaczającego wyznawać, oświadczać. Od niego pochodzi też słowo „profesja", które odnosi się do profesji zakonnej, czyli ślubów, ale także profesji takich jak lekarka czy naukowczyni. Idąc dalej, to kwestia nomen omen profesjonalizmu, czyli przyjęcia pewnego dobra wspólnego jako nadrzędnej wartości. W przypadku uniwersytetu – tym dobrem jest nauka.

I tu spotykamy się z pytaniem zasadniczym związanym z punktem pierwszym. Czy ktoś odróżnia dziś dobre badania od złych? Jest wokół mnóstwo złej, nieuczciwej nauki, dużo byle jakich badań, powszechna świadomość metodologiczna jest bardzo słaba i osoby z dobrą wolą nieraz robią naprawdę bezwartościowe badania i wyciągają z nich nieuprawnione wnioski. Pół biedy, jeśli chcą się uczyć, wyciągać wnioski, jak pracować dobrze. Ale jeśli nie mają dobrej woli, to wolą zaszczyty i pochwały niż informację zwrotną, która pomoże się rozwinąć naukowo i warsztatowo. Są też osoby wprost cyniczne, idące na skróty, nieraz wyjątkowo brutalnie, i bywa, że to one wyznaczają standardy i definiują, co jest nauką, dla całych społeczności, a nawet systemów instytucjonalnych.

Stąd tak piętnowany i męczący polskich ludzi nauki system punktowy jest z punktu widzenia tych patologicznych instytucji konieczny, bo trudno byłoby inaczej odróżnić prawomocne badania od byle czego – czy nawet od rażącego fałszu.

Diabelski krąg, bo przecież systemy kontrolne takie jak punktowy są same w sobie problemem i źródłem problemów – na wieść o publikacji koledzy reagują: „Za ile punktów?", zamiast: „Na jaki temat?", „Co tekst wniósł w wiedzę?". Punkty są nieskutecznym lekarstwem, które stało się trucizną. Fałszem same w sobie i źródłem oderwania od sensu pracy, bo ze stołu znikają jakość i rozwój, o które miały zadbać. O tym, co punktowane teksty wnoszą w wiedzę, system coraz częściej nigdy się nie dowiaduje – wiedza odbija się odeń jak woda od rozgrzanego betonu. Taki system rozliczania nauki, nie bez powodu zwany punktozą, to idealny odpowiednik betonozy naszych miast i wsi. Na tym gruncie nic nie wyrośnie.

•

A jednak rośnie. To, co tu opisuję, jest tylko widokiem najbardziej powierzchownym. To portret struktur i spisanych w instrukcji formalnych reguł gry. Wewnętrzna prawda jest całkowicie inna i w obcych krajach, gdzie mam koleżanki akademiczki, i w Polsce. Stale, codziennie, prowadzę rozmowy o ideach, o książkach, o badaniach naukowych z osobami w różnym wieku, zajmującymi różne pozycje w formalnej strukturze, z różnymi doświadczeniami, tytułami. Organizujemy seminaria, sympozja, warsztaty, protesty, nieformalnie wymieniamy się inspiracjami. Nie ma dnia, żebym nie uczestniczyła w takich żywych rozmowach. Często przedstawiam sobie nawzajem różnych ludzi w świecie mediów i sławy na ogół nieznanych, niewidocznych – niekiedy celowo, by mieć święty spokój do pracy, ale niepokojąco często z powodu wypchnięcia na margines. Robimy to dla siebie, dla nauki, nie dla nagród czy dla uznania. Jesteśmy wdzięczne za to, że możemy to robić, że mamy z kim.

To nie są tylko moje doświadczenia. Wyniki systematycznych badań prowadzone przez takich uczonych jak Alexandra Bristow, Janne Tienari czy Rebecca Lund wskazują na powszechne istnienie życia naukowego poza strukturami. To nie jest poza, gdy badacze i wykładowcy opowiadają o miłości do swojej pracy na przekór obowiązującym zasadom i definicjom.

•

Ten tekst nie dotyczy żadnego konkretnego uniwersytetu ani żadnego kraju, ani żadnego typu. Chodzi w nim o typ organizacji występujący na całym świecie i wszędzie przeżywający kryzys. Miałam wyjątkowe szczęście i nieszczęście – szczęście uczestniczyć od środka w uniwersytetach w kilku krajach od Polski przez Szwecję i Wielką Brytanię po Francję i widzieć uczelnie pełne życia, a potem nieszczęście obserwować, jak opuszczało je życie i następowała implozja struktur oraz menedżerskie przejęcie.

Dziarskie dziewczyny i przedsiębiorczy chłopcy ze świata korporacji przyszli na uniwersytet, pozbyli się starych solidnych budowli i postawili szklane zimne pałace, gdzie każdy jest na wiecznym widoku

Miałam też to szczęście, że nie wchodziłam nigdzie z projektów czy z wymiany ani przysłana odgórnie, wspierana przez zarządzających, tylko za każdym razem od dołu, przez proces recenzowania, nieraz poprzedzony wielokrotnym odrzucaniem mojej kandydatury. Nie byłam gwiazdą, celebrytką ani nikim szczególnym. Byłam zwykłą uczestniczką. Należałam do związków zawodowych prawie we wszystkich moich miejscach pracy i angażowałam się w życie zawodowe tak jak inne osoby zatrudnione w tych jednostkach. Dzięki temu przeszłam z koleżankami biblijną drugą milę. Brałam udział w protestach, strajkach, w próbach powołania uniwersytetu spółdzielczego.

Istnieją nadal miejsca, ba, całe instytuty i wydziały, gdzie życie akademii trwa, ale nie powiem gdzie, bo jest ono delikatne – na wsi mówiło się, że gdy chleb rośnie, nie wolno krzyczeć ani się kłócić. Tak samo jest z zaczynem akademii – on wymaga spokoju. Dlatego ten tekst nie jest o miejscach, w których ten zaczyn żyje, ale o tych wszystkich, gdzie – jak się wraził jeden z moich rozmówców, wysokiej rangi uczony, z którym prowadziłam wywiad, gdy przygotowywałam niedawno opublikowaną książkę o uniwersytecie: „Ducha tu nie ma". Naukowcy nie są już w strukturach akademii u siebie w domu, więc wyszli z nich. Opuścili jak rój ul.

Wyszliśmy, ale z czym? Boso i z gołymi rękami? Nawet bez naszych tytułów? Co znów skłania do refleksji nad ich znaczeniem. Pominę milczeniem, bo musiałabym użyć słów niecenzuralnych, co powiedzieliby ludzie wypisujący sarkastyczne komentarze o tytułomanii i przekonanych, że tytuły akademickie należy zlikwidować, gdyby im zabrać coś, na co pracowali nawet nie całe życie, ale jeden dzień.

Nie będę też rozpisywać się o tym, że wiele osób, które wybrało ścieżkę akademicką, to byli odmieńcy, kujony, dzieciaki nieznoszące wuefu, lecz spędzające przerwy w bibliotece. Ja na pewno byłam jedną z nich. Często koledzy śmiali się z nas, bo czytaliśmy na meczu Norwida, bo wszystko, co na siebie włożyliśmy, wyglądało jak ze starszego rodzeństwa. Dopiero w pracy naukowej byliśmy wreszcie wśród swoich, takich jak my troszkę przykurzonych okularnic i gości, którzy śmieją się z żartów matematycznych. I wtedy zaczęli wkraczać na nasze korytarze ci, którzy z nas drwili i wbijali nam w zaczytane plecy zaostrzone ołówki. Przyszli ze świata, który odrzuciliśmy, i zostali naszymi menedżerami rozliczającymi nas z naszej pracy. Produkujcie więcej, prezentujcie się, umiejcie się sprzedać! Potem pozbyli się starych solidnych budowli i postawili szklane zimne pałace, gdzie każdy jest na wiecznym widoku. Te dziarskie dziewczyny i ci przedsiębiorczy chłopcy ze świata korporacji w końcu zaczęli sami definiować, czym jest nauka. I okazało się, że to oni ją robią, nie my.

Więc o tym wszystkim nie będę już się więcej rozwodzić, przypomnę tylko, że słowa są ważne, jak doskonale wiedzą ci, którzy używają ich jako narzędzi polityki. To były kiedyś nasze słowa, przypisane do naszego naukowego rzemiosła, tak jak w cechach albo, jeszcze lepiej, we francuskim rzemieślniczym compagnonnage. Czy we wspólnotach monastycznych różnych wyznań.

•

Tu nie chodzi o tytuły, nie one są najważniejsze. Chodzi o struktury i zarządzanie rozumiane szerzej niż kwestie czysto organizacyjne i administracyjne. Chodzi o sens tego, co uniwersytet robi. Uniwersytet jest dla nauki i dla tych, którzy są skłonni oddać zawodowe życie poszukiwaniu jej i miłości do niej. Uniwersytet nie jest dla ambitnych, ale dla dziwaków. Dla tej, z której inni się śmieją, bo ciągle coś robi dla innych, a oni ją wykorzystują. Dla tego, który jest odludkiem i podczas obowiązkowych imprez służbowych chowa się za starą kserokopiarką.

Nie chodzi o powrót do żadnego złotego wieku, bo tego wieku nigdy nie było – a nawet jeśli był, to złoto było dostępne tylko dla niektórych. Nauka rozwija się i domaga się udziału grup, które wtedy nie były otwarcie dopuszczane, takich jak kobiety, klasa robotnicza, osoby homoseksualne. Ona wymaga różnorodności organicznej, nie zarządzanej, bo tak jak my jest żywa. Trzeba z żywymi naprzód iść – czyli razem z prawdziwą różnorodnością. Nie generować jej tam, gdzie jej nie ma, nie biec na przełaj w kierunku – dziś tym, jutro innym – gdzie nas poniosą martwe programy i algorytmy. Iść z życiem – a nie przeciwko niemu, surfując na fali entropii, która wiedzie do rozpadu i śmierci. Iść, nie dryfować – a więc przemieszczać się we właściwy dla uniwersytetu sposób, z jego misją, tożsamością i tradycjami. Powoli.

Tradycja to nie to samo co tradycjonalizm oznaczający zamknięcie w sztywnych ramach, lecz – jak wskazywała profesorka Elinor Ostrom, noblistka z dziedziny ekonomii – ważny warunek dla funkcjonowania organizacji samozarządzających się, organizacji dobra wspólnego. Tradycja wywodzi się wszak od łacińskiego słowa *tradere*, które oznacza „przekazywać, dawać". Jeśli przestaniemy sobie przekazywać sens naszej pracy, będziemy jak niewierzące mniszki z przypowiastki otwierającej ten tekst. ●

Monika Kostera

• socjolożka zarządzania, profesor tytularna nauk ekonomicznych i humanistycznych, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, profesor wizytująca Uniwersytetu w Rennes oraz Paris Nanterre (Francja), oraz Uniwersytetu Södertörn (Szwecja), członkini Komitetu Socjologii PAN. Była zatrudniona na etacie profesora z konkursu m.in. w Akademii Leona Koźmińskiego, Uniwersytecie Linneusza w Szwecji, brytyjskich Uniwersytetach w Leeds i w Durham oraz we francuskiej uczelni IMT-BS.

Autorka licznych artykułów naukowych (między innymi z listy Top 50 „Financial Times", takich jak „Organization Studies", „Journal of Business Ethics" czy „Human Relations") oraz przeszło 50 książek po polsku i angielsku – najnowsza to „The University of Hope" – opublikowanych przez takie wydawnictwa jak Oxford University Press, Polity, czy Edward Elgar. Współredaktor naczelna pisma naukowego „Tamara Journal for Critical Organization Inquiry" oraz współredaktor naukowa m.in. „Management Learning" i „Journal of Management". Zajmuje się zarządzaniem społecznym, etnografią organizacji, dezalienacją pracy i organizacjami dobra wspólnego.

eprasa.pl 71cea234a7

OCTOBERFEST
CZYSTA RADOŚĆ PICIA

To gruba przesada, że wczesną jesienią w Monachium, półtoramilionowej stolicy Bawarii, wszystko kręci się wokół Märzen za 15 euro. Można tu przecież robić tyle ciekawszych i zdrowszych rzeczy.

Bartosz T. Wieliński

Napisawszy powyższe słowa, czuję się trochę jak Janusz Rewiński, który w czasach siermiężnego PRL, ubrany w mundur skauta piwnego, przekonywał przed kamerą, że mleko to samo zdrowie. Ale krzywił się i sapał tak niemiłosiernie, że jego moralizatorski przekaz trafiał szlag. Bo skautowi piwnemu nie chodziło wszak o reklamę mleka...

Wprawdzie na myśl o Monachium krzywić się nie potrafię, bo to miasto, bez względu na porę roku, wciąż mnie fascynuje i mam wiele związanych z nim dobrych wspomnień, ale skoro zaczęliśmy mówić o piwie, to też puszczę do Państwa oko...

Tu bije serce Monachium

Przygoda z Monachium zaczyna się zwykle na głównym dworcu. Pociągi wjeżdżają do wielkiej hali, w której kończą się tory, i by ruszyć dalej, muszą z dworca wyjechać tyłem. Tory S-bahn, czyli kolei podmiejskiej, którą do centrum przyjeżdża się z monachijskiego lotniska – jazda trwa prawie 50 minut – biegną zaś pod ziemią. Z peronu wychodzi się na dworcowy plac, a dalej trzeba iść w dół, w kierunku kamienistego koryta rzeki Izary. Przez Karlstor, czyli Bramę Karola, jedną z kilku pozostałości po średniowiecznych fortyfikacjach, wchodzimy na starówkę.

W większości dużych niemieckich miast łatwo dojrzeć ślady po wojnie. Nie chodzi o ruiny czy poranione pociskami mury – z tym Niemcy uporali się pół wieku temu. Mija się smutne fasady plomb, czyli pospiesznie odbudowywanych po wojnie kamienic, które nie pasują do otoczenia. Albo budynki z lat 70. XX wieku, które nigdy nie pasowały do tego, co przetrwało bombardowania, albo – dotyczy to byłego NRD – bloki z wielkiej płyty.

W Monachium, choć alianckie bombowce atakowały je ponad 70 razy, a z nalotów na starówce ocalało niewiele budynków – tego dysonansu nie widać. Bawarczycy wiernie odbudowywali swoją stolicę, a architektów, którzy na ruinach chcieli tworzyć nową jakość, gnano do Hamburga czy Zagłębia Ruhry.

Nawet nowoczesna fasada centrum handlowego na rogu Neuhauser Straße i Esenmannstraße nie kłuje w oczy. Tym bardziej że naprzeciw stoi wspaniały kościół św. Michała, perła późnego renesansu, niegdyś centrum kontrreformacji w południowych Niemczech.

• **Dzień otwarcia. W największym z namiotów festiwalowych świętują znani w Niemczech piosenkarze: Jürgen Drews i Florian Silbereisen**

• **Precle to symbol festiwalu. Zwykły kosztuje 5 euro, ale np. z dodatkiem trufli 3 razy więcej. Tu precel-torebka, czyli wariant gadżet**

• **Lederhosen, krótkie skórzane spodnie na szelkach, to tutaj obowiązkowy strój festiwalowy**

Octoberfest w liczbach

• **rozpoczął się w Monachium 20 września, a zakończy w niedzielę 5 października. Wstęp jest bezpłatny z wyjątkiem (4 euro) za wejście na historyczny teren Wiesn.**

3,5 mln
• gości taka już była frekwencja w tym roku na półmetku imprezy

6,7 mln
• gości – taka była frekwencja na festiwalu w ubiegłym roku

14
• wielkich namiotów

21
• mniejszych namiotów

10 tys.
• osób może jednocześnie pić sobie piwo w największym namiocie

13 tys.
• ludzi obsługuje średnio 6, 5 miliona gościm

1,25 mld euro
• taki dochód przyniósł bawarskiej stolicy ubiegłoroczny festiwal.

414
• przestępstwa popełniono już w tym roku na festiwalu, a jeszcze się nie skończył.
W tej liczbie:
33 – miały charakter seksualny,
172 – to niebezpieczna jazda elektrycznymi hulajnogami po pijaku.

FOT. REUTERS/ANGELIKA WARMUTH (2), REUTERS/MARYAM MAJID (2)

eprasa.pl 71cea234a7

• 20 września, czyli pierwszy dzień tegorocznego już 190. festiwalu piwa, każdy świętował tak, jak lubi najbardziej

A trzy przecznice dalej widać mur jednego z największych kościołów na północ od Alp, Frauenkirche, katedry Najświętszej Marii Panny o dwóch wieżach, których kopuły przypominają kształtem czapki.

Wieże gotyckiego kościoła powinny być strzeliste, ale gdy pod koniec XV wieku budowano monachijską katedrę, zabrakło pieniędzy na jej wykończenie. Gdy kilkadziesiąt lat później pieniądze się znalazły, do Monachium dotarły już inne architektoniczne prądy. Dziś zgodnie z lokalnym prawem żaden budynek w mieście nie może być wyższy od tych wież.

Taka ciekawostka: w katedrze przy jednym z ołtarzy można podziwiać późnogotycki obraz Madonny pod płaszczem. To jedno z dzieł Jana Polaka, działającego w Monachium mistrza malarskiego pochodzącego prawdopodobnie z Krakowa. Artysta przybył do Bawarii w orszaku Jadwigi Jagiellonki, córki polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka, która w Landshut w 1475 roku poślubiła księcia bawarskiego Jerzego Bogatego.

Wchodząc do katedry – to ciekawostka numer dwa – warto spojrzeć pod nogi. Przy wejściu według legendy odcisk zostawił diabeł, który wściekł się, gdy został wyprowadzony w pole przez budowniczego Frauenkirche, któremu pomagał przy robocie.

Spod katedry droga prowadzi na Marienplatz, pod wielki ratusz, z którego długiej na 100 metrów fasady spoglądają rzeźby bawarskich książąt i królów. To już neogotyk, ratusz powstał na przełomie wieków XIX i XX, a jego budowa trwała dwa razy dłużej niż wznoszenie w średniowieczu Frauenkirche.

Tu bije dziś serce Monachium.
Gdzie iść dalej?

Galeria na galerii

Może do rezydencji bawarskich władców, czyli rozbudowywanego przez kilkaset lat w różnych stylach dworskiego kompleksu? Mieści się tam jedno z najważniejszych pałacowych muzeów w Europie. Można tu zwiedzić ponad 150 sal. Od ratusza to niespełna 300 metrów.

A potem można ruszyć do Starej Pinakoteki, gdzie na turystów czeka tworzona kilkaset lat przez kolejnych władców Bawarii kolekcja obrazów najwybitniejszych twórców średniowiecza, renesansu i baroku. Wystarczy z królewskiej rezydencji przejść przez Odeonplatz, obok Feldherrnhalle, czyli Portyku Marszałków, pomnika wystawionego w 1844 roku bawarskiej armii. Notabene 79 lat później to właśnie w tym miejscu wojsko zatrzymało pucz niejakiego Adolfa Hitlera.

Pół kilometra dalej jest Karolinenplatz (to najpiękniejsze rondo w Europie), a stamtąd już rzut beretem do neorenesansowego gmachu. Gdy w 1836 roku otwierano tę wielką galerię – a jej ekspozycja liczyła 2 tysiące obrazów – była to największe muzeum sztuki na świecie. Jest tu Madonna z goździkiem Leonardo da Vinci, są obrazy Dürrera, Van Eycka, Boscha, jest Rafael i Tycjan, Rubens, Rembrandt i Breughel. Obrazy twórców z XIX i XX wieku zgromadzono w sąsiedniej Nowej Pinakotece.

A może chcecie jeszcze głębiej zanurzyć się w historię? Prawie po sąsiedzku mieści się Gliptoteka z kolekcją sztuki starożytnej bawarskiego króla Ludwika I, który zafascynowany antykiem hojnie wspierał walkę Greków o niepodległość, a jego syn Otto został pierwszym greckim władcą. Ludwik chciał z Monachium uczynić duchową stolicę Europy, marzył o zbudowaniu nad Izarą nowych Aten. Planu nie zrealizował, ale powstało tu wspaniałe muzeum sztuki egipskiej, greckiej, rzymskiej.

Jeszcze poszedłbym do Deutsches Museum, czyli muzeum nauki i techniki, gdzie można zobaczyć na przykład trójpłatowego fokkera Dr 1. Takim samolotem latał podczas pierwszej wojny światowej słynny Czerwony Baron Manfred von Richthofen. Jest też messerschmitt Me 262, pierwszy odrzutowy samolot myśliwski w historii, a do tego mnóstwo zabytkowego sprzętu z najróżniejszych działów techniki.

Oktoberfest = 2 procent PKB

Uff. Pewno się Państwo, wędrując po mieście, trochę zziajali... A ja znowu czuję się jak Janusz Rewiński. Mleko jest zdrowe, a Monachium i jego zabytki jesienią wyglądają przepięknie. Ale co z tego, skoro w bawarskiej stolicy trwa Oktoberfest i piwo leje się strumieniami...

Te liczby robią wrażenie. Zeszłoroczny Oktoberfest odwiedziło 6,7 miliona gości. Ta liczba odpowiada połowie ludności Bawarii.

Zużyto 2,8 miliona kilowatogodzin energii elektrycznej, tyle prądu oświetlenie uliczne w Monachium zużywa przez dwa tygodnie.

W 16 dni wypito 7 milionów litrów piwa. Taką ilością napoju można zapełnić prawie trzy olimpijskie baseny pływackie.

Zyski? Grubo ponad 1,25 miliarda euro. Oktoberfest przekłada się na 2 procenty PKB bawarskiej stolicy.

Ta statystyka chyba najlepiej tłumaczy, dlaczego w czasach, gdy dziesiątki organizacji społecznych w Niemczech prowadzi przy wsparciu medycznych autorytetów i państwa antyalkoholowe kampanie, gdy nauczyciele i terapeuci załamują ręce nad praktykowanym na imprezach przez młodych ludzi piciem na wyścigi i do nieprzytomności, w jednym z najważniejszych miast kraju toleruje się trwające dwa tygodnie picie bez umiaru. I co więcej, chwali się tym na cały świat.

Po raz pierwszy na Oktoberfest przyjechałem w 2008 roku. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu pijanych ludzi. I tylu policjantów pilnujących, by nie zrobili sobie oni krzywdy. Wszystko to tłumaczy się bawarską tradycją.

Zaczęło się na Łące

Wróćmy do króla Ludwika I, który chciał Aten w Monachium. Miliony ludzi ściągają dziś na Oktoberfest na pamiątkę jego ślubu z księżną Teresą von Sachsen-Hildburghausen, który odbył się 12 października 1810 roku. Obchodzono go wyjątkowo hucznie, bo był to pierwszy od prawie stu lat celebrowany w Monachium ślub syna władcy. Życie w mieście przez kilka tygodni kręciło się wokół oficjalnych i prywatnych imprez.

By uczcić młodą parę, pięć dni po ceremonii, pewien major Gwardii Narodowej zorganizował wyścigi konne na sporej wielkości łące na zachodnich przedmieściach Monachium. Łagodny stok znajdującego się na jej krawędzi wzgórza był trybuną dla 40 tysięcy widzów, którzy obserwowali 30 jeźdźców. I choć główną atrakcją miały być gnające przez ponad 3 kilometry konie, w pobliże łąki ściągnięto też wozy z beczkami wina i piwa, które sprzedawano widzom.

Na cześć przyszłej bawarskiej królowej miejsce, na którym odbywały się wyścigi, na-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi kryzys migracyjny, wojna w Ukrainie czy walka z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji PE w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. PE nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 71cea234a7

zwano Theresienwiese, czyli Łąka Teresy. Ale tę pełną nazwę znajdziemy tylko w encyklopediach i oficjalnych dokumentach. Dla Monachijczyków to Wiesn, czyli Łąka. To słowo stało się też synonimem Oktoberfestu.

Chmielne dożynki

W 1811 roku wyścigi konne zorganizowano w tym miejscu znowu, a towarzyszył im festyn rolniczy. I znowu w okolicy sprzedawano bursztynowy trunek.

A w roku 1812 imprezę odwołano. Wielka Armia Napoleona, w skład której wchodziły także bawarskie wojska, ruszyła na Rosję i została tam pobita, w Monachium nie było komu się konno ścigać, nie było też atmosfery do świętowania.

W 1816 roku, dwa lata po przywróceniu imprezy na Theresienwiese, postawiono pierwsze kramiki, w kolejnych latach przybyły huśtawki, karuzele, widzów ściągały nie tylko konie, ale organizowane w trakcie wyścigów fantowe loterie. Oktoberfest stał się ludowym festynem. Jego początek przesunięto z połowy października na drugą połowę września, by korzystać z ostatnich ciepłych dni.

Sprzedaż piwa na Theresienwiese oficjalnie dopuszczono w 1880 roku.

Pierwsze namioty z piwiarnianymi ławami rozbito na łące dopiero 18 lat później. Bawarskie święto stało się wówczas największą tego typu imprezą Europy. Konie przestały odgrywać jakąkolwiek rolę, Oktoberfest stał się świętem piwa, chmielnymi dożynkami.

Święto pod swastyką i bez Żydów

Gdy w Niemczech do władzy doszedł Adolf Hitler, nazwę imprezy zmieniono na „Wielkoniemieckie Święto Ludowe".

Bawarczycy i zwożeni do Monachium Niemcy z innych krajów pili piwo pod symbolami swastyki i bacznym okiem SA-manów. Zgodnie z antysemickim prawem Żydzi na Wiesn nie mieli wstępu.

Ostatni przedwojenny piwny festyn w Monachium zorganizowano jesienią 1938 roku. Następny odbył się dopiero 10 lat później.

Oktoberfesty odwoływano w sumie 26 razy, nie tylko z powodów wojen, ale także epidemii: poza niedawną pandemią koronawirusa mieszkańcy Monachium dwukrotnie w XIX wieku zmagali się z epidemią cholery. W 1854 roku choroba zabiła 7,7 tysiąca osób, w tym królową Teresę. COVID-19 w Monachium zebrał o wiele mniejsze żniwo.

Dziś na Wiesn stoi 14 wielkich namiotów i 21 mniejszych. W największym piwo pić może jednocześnie 10 tysięcy osób. Gości – przypominam, że to ponad 6 milionów osób – obsługuje mniej więcej 13 tysięcy ludzi.

Przeglądam statystyki i aż nie chce mi się wierzyć, że tak olbrzymie przedsięwzięcie organizuje referat pracy i gospodarki z monachijskiego urzędu miasta (władze miejskie organizują uroczystości od 1819 roku). Referat zatrudnia 274 osoby. Ktoś jeszcze narzeka na niemiecką biurokrację?

Chłopomania i ludowy dress code

Bawarska tradycja Oktoberfest to także ubiór. Jechałem kiedyś do Monachium z Berlina pociągiem ICE (niemiecki odpowiednik naszego Pendolino). W Bambergu, pierwszej stacji na terenie Bawarii, pociąg zapełnił się młodymi ludźmi w ludowych strojach. Ekipa jechała na Wiesn. Mężczyźni niezależnie od wieku nosili krótkie skórzane spodnie na szelkach i koszule w kratę, kobiety spódnice z fartuchami.

Ten ludowy strój to obowiązujący podczas Oktoberfest dress code. Tak ubierają się i goście, i kelnerzy oraz kelnerki roznoszący piwo, i ludzie z obsługi.

Cofnijmy się do roku 1810. Zanim jeźdźcy pod wodzą majora Gwardii Narodowej rozpoczęli swój wyścig, by uczcić ślub następcy tronu, na podmiejską łąkę, późniejsze Wiesn, weszła procesja dzieci ubranych w różne stroje ludowe. 16 dziecięcych par noszących ubiory charakterystyczne dla poszczególnych części Bawarii. W ten sposób władcy podkreślali swoje przywiązanie do ludu. Odtąd święto zawsze rozpoczynano paradą, której uczestnicy nosili ludowe stroje. To tak zwane Trachtenzug.

FOT. REUTERS/ANGELIKA WARMUTH

• **Octoberfest rozpoczyna tradycyjna parada w strojach ludowych. 21 września br. przeszła ulicami Monachium ponad 7 km – od obrzeży starówki nad Izarą do Theresienwiese. Wzięło w niej udział ponad 9 tysięcy osób z całej Bawarii i innych części Niemiec**

W ciągu dwustu lat trasa parady wydłużyła się kilkanaście razy. W tym roku jej uczestnicy przeszli ulicami Monachium prawie 7 kilometrów – od obrzeży starówki nad Izarą do Theresienwiese.

Ponad 9 tysięcy osób z całej Bawarii i innych części Niemiec w strojach regionalnych defilowało w rytm ludowej muzyki. Przedstawiciele organizacji strzeleckich ubrani w tradycyjne uniformy i kapelusze na ramieniu nosili strzelby lub muszkiety. Broń – zgodnie z przepisami – nie była nabita.

Ludowość Oktoberfestu ugruntowała się sto lat temu, gdy Niemcy ogarnęło zjawisko, które w Polsce określamy mianem chłopomanii. W dobie industrializacji, gwałtownego rozrostu miast i technologicznego postępu zaniepokojeni zmianami ludzie zaczęli wracać do swoich ludowych korzeni i do ludowych tradycji, które uważali za zdrowe.

Skóra z bawarskich jeleni: lederhosen

Dotyczyło to także mody. Ten trend wykorzystało dwóch obrotnych kupców z Westfalii, którzy założyli w Monachium dom modowy oferujący rzekomo ludowe kobiece stroje. Rzekomo, bo ich sukienki i gorsety były co najwyżej inspirowane ubiorem bawarskich chłopek. Mieszczankom nie robiło to różnicy.

W 1910 roku – na setną rocznicę pierwszych dożynek – przedsiębiorcy z Westfalii za darmo ubrali cały Trachtenzug, reklama chwyciła, a ludzie dosłownie rzucili się na ich stroje. Tak w niemieckiej kulturze stałe miejsce zajął dirndl.

Za markową sukienkę, gorset i fartuch trzeba zapłacić nawet tysiąc euro. Wypożyczenie stroju na dzień kosztuje 50 euro.

Lederhosen są jeszcze droższe. Ceny spodenek szytych ręcznie ze skóry upolowanych w bawarskich lasach jeleni mogą dobijać do 2 tysięcy euro.

Lederhosen nie są wymysłem speców od marketingu sprzed stu lat. Taki skórzany strój przez wieki nosili mieszkańcy bawarskiej prowincji. Ale w połowie XIX wieku skórę zaczęła na wsi zastępować powszechniejsza i tańsza wełna, nogawki zaś stawały się coraz dłuższe. Badacze lokalnego folkloru z Monachium słali alarmujące listy na królewski dwór, gdzie postanowiono bronić tradycji. Lederhosen zakładał na polowania bawarski król, nawet watykański protokół dyplomatyczny pod presją z Bawarii zgodził się na taki ludowy ubiór podczas audiencji u papieża.

Lederhosen mają także polityczny wymiar. Po wojnie Bawaria była najbiedniejszym landem powstałej w 1949 roku Republiki Federalnej. Gospodarka opierała się głównie na rolnictwie, ewentualnie na alpejskiej turystyce. W Niemczech nastąpił jednak „cud gospodarczy", a zaniedbany land zaczął rozkwitać między innymi za sprawą wielkich koncernów samochodowych.

Ale choć Monachium stało się najbogatszym miastem w Niemczech, a Bawaria najbogatszym landem, nieustannie podkreślano przywiązanie do konserwatywnych tradycji między innymi propagowanym na całe Niemcy hasłem, że Bawaria to kraj „laptopów w lederhosen".

Angela Merkel bez dirnldu

Czy to znaczy, że Bawarczycy są bardziej konserwatywni niż reszta Niemców? Zdecydowanie. Wystarczy spojrzeć na wyniki wyborów – landem od dawna rządzi Unia Chrześcijańsko-Społeczna (CSU), czyli konserwatywna chadecja. Wpływy Kościoła katolickiego są duże, choć traci coraz więcej wiernych. Ludzie żyjący poza Monachium mają mniej progresywne poglądy. Wielu uważa się zresztą za lepszych niż reszta Niemców i pamięta, że katolicka Bawaria nigdy nie dała się zdominować protestanckim Prusom.

Politycy traktują Oktoberfest jako potwierdzenie wyjątkowości ich landu, a wizytę pod namiotem jako okazję, by skrócić dystans do obywateli. – W czasach kryzysu Oktoberfest to chwila wytchnienia. Panuje tu czysta radość życia – mówił tydzień temu premier Bawarii Marcus Söder chwytając pierwszy (litrowy) kufel piwa nalany podczas tegorocznego święta.

Chwilę wcześniej burmistrz Monachium Dieter Reiter otworzył pierwszą beczkę piwa i krzyknął „O'zapft is!". Ten tradycyjny okrzyk (Jest odszpuntowana!) oznacza początek festiwalu. Söder stoi na czele CSU, Reiter to socjaldemokrata (w Monachium SPD rządzi od 30 lat), na Oktoberfest politycy dwóch rywalizujących ze sobą od lat partii wygaszają spory i demonstrują jedność.

Dosiadają się do nich politycy innych partii, z wyjątkiem skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec, której politycy, choć partia rośnie w siłę, na piwnym festiwalu nie są mile widziani. Przyjeżdżają też kanclerze, politycy spoza Bawarii, bo mimo kilku prób jeszcze żaden Bawarczyk nie stanął na czele ogólnoniemieckiego rządu.

Poprzedni kanclerze nie ubierali jednak na tę okazję lederhosen, kanclerz Angela Merkel nie zakładała dirnldu pewnie dlatego, że mieszkańcy regionów, z których politycy pochodzą, odebraliby to jako podlizywanie się Bawarczykom, którzy z kolei taki gest uznaliby za sztuczny. Ale w tym roku kanclerz Friedrich Merz przyszedł na Wiesn w normalnych spodniach, ale w koszuli w drobną biało-niebieską kratę. To bawarskie narodowe barwy.

W głowie miał szumieć jedynie alkohol

Najważniejsze jest jednak piwo. Serwowane na Oktoberfest musi spełnić specjalne kryteria.

1. Piwo musi być warzone w browarze, który korzysta z wody czerpanej na terenie Monachium.

Ten warunek spełnia tylko siedmiu wytwórców marek: Augustiner-Bräu (najstarszy browar w mieście, założony w XIV wieku przy klasztorze Augustynów), Hacker und Pschorr, Hofbräu München, Paulaner Brauerei, Löwenbräu oraz Spatenbräu. Regularnie pojawiają się głosy, by listę dopuszczonych do Oktoberfest browarów rozszerzyć, ale jak na razie lista jest zamknięta.

2. Sama monachijskość nie wystarcza, piwo musi być uwarzone zgodnie z pochodzącym z XVI wieku Bawarskim Prawem Czystości.

Ten dokument regulujący pracę bawarskich browarów wymuszał na nich, by piwo przygotowywać wyłącznie z chmielu, słodu jęczmiennego i wody. Oznaczało to zakaz, pod groźbą kary, warzenia trunku z pszenicy czy żyta. W ten sposób władcy Bawarii pilnowali, by ziarno tych zbóż trafiało wyłącznie do piekarzy. Głód w ówczesnej Europie był powszechnym zjawiskiem. Zabraniano też dodawania do piwa ziół, które mogłyby podkręcać jego działanie. W głowie miał szumieć jedynie alkohol.

3. Przepis regulował też pory roku, w których wolno było warzyć piwo: dopuszczano to jedynie od listopada do marca, gdy panował chłód i ryzyko zepsucia piwa było niskie.

Podawane na Oktoberfest piwo o nazwie Märzen zgodnie z nazwą nastawiono w kadziach właśnie w marcu, a wczesną jesienią kończyło leżakowanie. Smak ma niepowtarzalny, ale kosztuje słono.

W tym roku za litrowy kufel trzeba zapłacić 15,80 euro, czyli ponad 67 złotych. Szaleństwo, ale chętnych do picia nie brakuje.

Ciemna strona pijaństwa

Skoro jednak Bawaria była i ciągle jest konserwatywną i bogobojną krainą, to skąd wziął się sukces Oktoberfestu?

Wynika on z poczucia wspólnoty, co niweluje zahamowania, uchyla społeczne zakazy. W towarzystwie raźniej. Skoro tysiące ludzi pije i podryguje na drewnianych ławach, śpiewając nieprzyzwoite piosenki – a dzieje się to za przyzwoleniem władz – to czemu się do nich nie przyłączyć. Oktoberfest to sposób na masowe rozładowanie emocji, takie współczesne igrzyska, tyle że zamiast chleba na Wiesn podają precle. Wróć, precle sprzedają. Zwykły kosztuje 5 euro, precel z dodatkiem trufli trzy razy więcej.

Ale właśnie dlatego Oktoberfest ma swoją ciemną stronę. Piwo w nadmiarze nie tylko szkodzi, ale staje się niebezpieczne. Trzy nieprzyjemne przypadki z zeszłego tygodnia: mocno wypitego gościa z Włoch złapano, gdy wkładał kobiecie telefon pod dirndl i robił zdjęcia. Wyszedł z aresztu za kaucją 2 tysięcy euro, czeka go proces. Za naruszenie stref intymnych grozi w Niemczech grzywna albo nawet dwa lata odsiadki.

Z kolei pijany 27-latek z Monachium próbował obmacywać nieznaną mu kobietę. Gdy jej koleżanka zwróciła mu uwagę, uderzył ją w twarz i uciekł. Policja prowadzi śledztwo w sprawie pobicia i molestowania. Z miejsca zdarzenia uciekł też mężczyzna, który rozbił kufel na głowie Bogu ducha winnego Norwega.

Do bijatyk i molestowania kobiet podczas Oktoberfestu dochodzi, niestety, regularnie. Kelnerki roznoszące kufle z piwem przyznają, że pod dirndl zakładają kolarskie spodenki. Gruby materiał chroniący siedzenie kolarza przed otarciami stanowi zaporę przed łapami podchmielonych „amantów".

Po tygodniu trwania tegorocznego Oktoberfestu monachijska policja zanotowała już 414 przestępstw. 33 miały seksualny charakter, a 172 dotyczyły jazdy elektrycznymi hulajnogami po pijaku. Cóż, skaut piwny Janusz Rewiński uczciwie przestrzegał, że piwo jest niezdrowe. ●

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nike
Nagroda Literacka

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką
„Nike" 2025?

UROCZYSTA GALA

niedziela
5 października, godz.20.30

TVP 2 wyborcza.pl

Tegoroczni nominowani:
Beata Guczalska, Ignacy Karpowicz
Eliza Kącka, Kora Tea Kowalska
Dorota Masłowska, Tomasz Różycki
Paweł Sołtys

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATT 20 NI
MECENAS: ORLEN
PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

PATRONI MEDIALNI: ams, GAZETA.PL, radio ZET, chillizet, tokfm

eprasa.pl 71cea234a7

KULTURA PSYCHOLOGIA

MNIE Ala ROZPOZNAJE ZAWSZE

Z **JUSTYNĄ,**
MAMĄ 27-LETNIEJ ALICJI
ŻYJĄCEJ Z PODWÓJNĄ DIAGNOZĄ
SCHIZOFRENII I UZALEŻNIENIA
ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ
ZDJĘCIE **ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Albo policja ją gdzieś namierzyła, albo sama się ze mną kontaktowała, jak miała lepszy dzień. Wtedy rzucałam wszystko, obiecywałam jej wszystko i jechałam, gdzie wskazała.

AGNIESZKA JUCEWICZ: Jak wyglądał twój dzisiejszy poranek?
JUSTYNA: Szybko. Logistykę mam opanowaną do mistrzostwa. O 6.45 pobudka. Kąpiel. Ubranie: góra – dół. Potem obudziłam moją wnuczkę Tosię, żeby się szykowała do szkoły. W tym roku poszła do pierwszej klasy. Spytała, czy może jeszcze troszeczkę poleżeć. Zawsze pozwalam na to „troszeczkę", bo to ważne.

Mieszkamy we dwie, z psem. Jestem dla niej rodziną zastępczą, praktycznie od początku.

Masz dwójkę swoich dzieci.
– Starszy Norbert ma 30 lat i od dawna mieszka sam. Ala, mama Tosi, ma 27.

Gdzie teraz jest?
– W psychiatrycznym Domu Opieki Społecznej w Pułtusku. I to była najlepsza decyzja, jaką lekarze podjęli po wielu hospitalizacjach, które nie przynosiły żadnych efektów ze względu na to, że Ala nie ma wglądu w chorobę.

Uważa, że jest zdrowa.
– Tak. I że jej życie jest dobre. Ala od dawna już nie mieszkała ze mną, tylko gdzieś po ludziach albo na ulicy. Czasem wracała na chwilę. Ma tak zwany przymus wędrowania. Potrafi wyjść tak, jak stoi. I to jest bezwzględne. Nie sposób jej wtedy zatrzymać.

W zeszłym roku znów zniknęła, na trzy miesiące. Policja odnalazła ją 15 września na Mokotowie i od razu przewiozła do szpitala tworkowskiego w Pruszkowie. Trafiła na oddział „czternasty", gdzie była już wcześniej pięć czy sześć razy. To oddział kobiecy, co jest istotne w przypadku Ali.

Dlaczego?
– Bo na oddziale mieszanym wchodziła w kontakty intymne z pacjentami, a zabezpieczenie jej przed niepożądaną ciążą jest niemożliwe. Ala nie wyraża zgody na antykoncepcję, na badania, na nic.

Na tym oddziale „czternastym" lekarze, którzy już znali Alę, w końcu stwierdzili, że ponieważ córka po wyjściu ze szpitala wielokrotnie doświadczała kryzysu bezdomności, a jej życie jest zagrożone, trzeba zadziałać kategorycznie. Stąd decyzja o skierowaniu jej do DPS-u.

Próbowała uciec ze szpitala?
– Ze szpitala jej się nie udało, natomiast wiele razy uciekała z domu, z różnych ośrodków. To, czy ją znalazłam, zależało od mojego szczęścia. Albo policja ją gdzieś namierzyła, albo ona sama się ze mną kontaktowała, jak miała lepszy dzień. Wtedy rzucałam wszystko, obiecywałam jej wszystko i jechałam, gdzie wskazała. Czasem tam była, ale często już nie, i kontakt znów się urywał.

Co to były za miejsca?
– Przeróżne. Ostatnio jej ulubionym były okolice placu Szembeka na Pradze-Północ. Znalazła tam środowisko, w którym – jak twierdziła – czuła się dobrze. Znalazła narzeczonego. W większości to również były osoby chore, często uzależnione, przeważnie od alkoholu i narkotyków. Ten świat był jej bliższy, tam znajdowała akceptację.

W ostatnich latach, kiedy tylko mi znikała, jeździłam tam. Kręciłam się po okolicy, pytałam, nawiązywałam znajomości. Jak ją znalazłam, próbowałam ją przede wszystkim namówić na hospitalizację. Bo ona była non-stop w psychozie.

Jaką Alicja ma diagnozę?
– F19.2, czyli uzależnienie mieszane, i F.20, czyli schizofrenia paranoidalna [w Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-10 kod F19.2 oznacza dokładnie zaburzenia psychiczne i zachowania spowodowane używaniem

eprasa.pl 71cea234a7

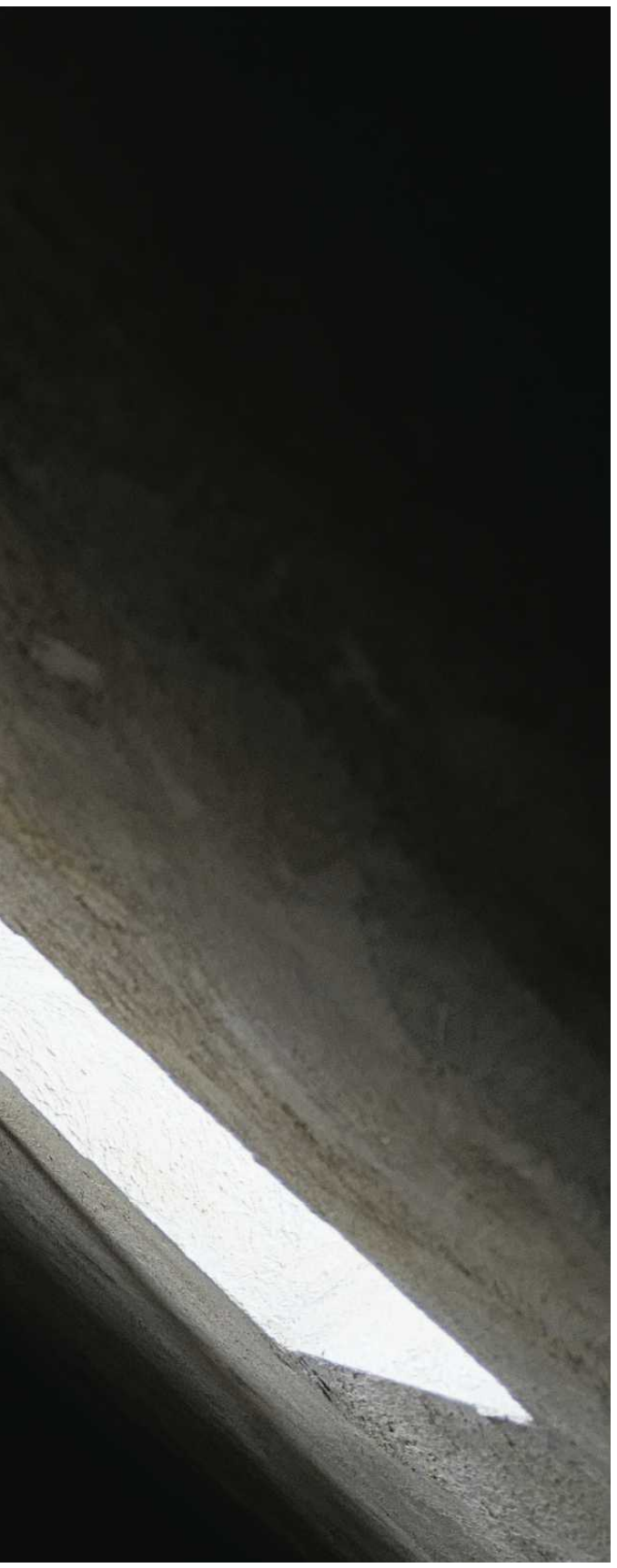

wielu substancji psychoaktywnych z zespołem uzależnienia].

Od czego jest uzależniona?
– Alkohol, amfetamina, metamfetamina i mefedron, czyli wszystko to, co „przyspiesza". Na szczęście opioidy nie.

Jak wygląda u niej psychoza?
– Ma różne oblicza. W ostrej psychozie pojawia się u niej postać Szatana, który wplątuje się jej w zwoje mózgowe albo wychodzi z pudełka po lodach. Potrafi się mnie wtedy spytać, czy też tak kiedyś miałam.

Co odpowiadasz?
– „Nie miałam tak, Alu". Zawsze ją próbuję urealniać w takich sytuacjach. Staram się to robić łagodnie, żeby nie wzbudzać w niej większego lęku. Bo ona jest głęboko przekonana, że ten Szatan jest, że musi przed nim uciekać. Chronić się, żeby jej nie zobaczył.

Dlatego na przykład bardzo często zmienia fryzury. Kilka razy w miesiącu podcina włosy, farbuje je, goli grzywkę. Zakłada peruki.

Ukrywa się w ten sposób przed nim?
– Ciągle zmienia tożsamość.

Nasi chorzy – pozwalam sobie tak powiedzieć, bo konsultowałam to z naszym stowarzyszeniem „My Bliscy", które właśnie założyliśmy, czyli z grupą bliskich osób żyjących ze schizofrenią – żyją w wiecznym poczuciu zagrożenia, które jest spowodowane tymi myślami wytwórczymi, głosami, które słyszą. Wiele i wielu z nich jest przekonanych, że ktoś ich notorycznie śledzi, chce ich zabić, że na dachu są terroryści. I to jest dla nich bardzo realne.

Przymus przemieszczania się u Ali jest bezpośrednią konsekwencją psychozy. Potężną.

W jakim sensie?
– W takim, że Ala może paść ofiarą różnego rodzaju przemocy, w tym seksualnej. Jest, jak to się brzydko mówi, łakomym kąskiem. Może zostać wykorzystana, porwana. Może zginąć.

To jej się przydarzyło? Wykorzystanie?
– Myślę, że tak...

Mówiła ci o tym?
– Ona nie, ale mówili mi jej znajomi, że być może tak się stało. Osoby chore są często wykorzystywane do takich celów. Podaje się im też narkotyki.

Myślisz, że Ala była wykorzystana do prostytucji?
– Podejrzewam, że był czas, kiedy mogła zostać zaciągnięta do agencji towarzyskiej w takich najgorszych podziemiach, jakie tylko istnieją. Biorąc pod uwagę okolice, gdzie widywali ją znajomi, którzy znają to miejsce, mogę tak przypuszczać. Choć nigdy sama jej tam nie znalazłam. Ale też nie jest prosto znaleźć taką osobę, bo to podziemie zajmujące się wykorzystywaniem ludzi chorych i bezdomnych jest bardzo dobrze zorganizowane.

Jak Ala wracała do mnie, to też nie tak po prostu. Na przykład któregoś dnia podjechałam pod dom i zobaczyłam, jak leży na kocu pod bramą. Albo sąsiedzi dzwonili, że widzieli ją śpiącą na jednym z przystanków autobusowych.

Mam takie wrażenie, że... O, tu mogę płakać.

Byłyśmy bardzo ze sobą związane. Bardzo. Ala od małego miała problemy, ale one nie były dobrze rozpoznane. Kiedy była mała, byłam dla niej takim zewnętrznym poczuciem bezpieczeństwa. I gdzieś wierzę, że to właśnie resztka tej emocji sprawiała, że kiedy traciła inne opcje, wracała do mnie. Myślę, że nie do końca wiedziała, co się dzieje. Po prostu się przytulała. Widać było, że chce do domu.

Rozpoznawała cię?
– Mnie rozpoznaje zawsze.

A kogo nie?
– Trudno powiedzieć, bo zostałam w tej walce sama. Ali tata zmarł w wieku 36 lat. Nagle, w łóżku, w nocy. Miał wylew. Ala miała wtedy osiem i pół roku.

Myślę, że to, co przeżywałyśmy i co dalej przeżywamy, było dla reszty rodziny tak trudne, że się stopniowo poodsuwała.

Kto ci towarzyszył na początku?
– Głównie syn, który poniósł bardzo duże konsekwencje tej walki. Bo czy chciał, czy nie chciał, nie dawałam mu odpocząć. Potrafiłam go budzić o pierwszej czy drugiej w nocy, jak już mieszkał z narzeczoną. Mówiłam: „Jadę po ciebie. Wiem, gdzie jest Ala. Pomóż mi, trzeba ją wyciągnąć".

Temat Ali był najważniejszy. Norbert zniknął. Nie pytałam go o jego życie, jego sprawy, o to, co myśli. Nawet jak się starałam przy nim być, to myślami byłam ciągle z Alą. To była taka fiksacja.

Masz wyrzuty sumienia w stosunku do syna?
– Wyrzuty sumienia i poczucie winy to były dominujące emocje, które towarzyszyły mi przez wiele lat. W stosunku i do jednego, i do drugiego dziecka.

Ciągle analizowałam, gdzie popełniłam błąd, czego nie zauważyłam, dlaczego tak się stało, co mogłam zrobić, a czego nie zrobiłam.

Uważałaś, że to twoja wina, że Ala jest chora?
– Oczywiście. Być może za dużo pracowałam? Po śmierci męża pokazywałam trochę fałszywe emocje dzieciom. Dzisiaj wiem, że to tak nie działa, że dzieci i tak wiedzą. Udawałam, że wszystko jest dobrze. Płakałam w nocy i uciekłam w pracę.

Miałam już wtedy swój biznes, myjnię samochodową, i postanowiłam rozkręcić drugi – restaurację. Typowa ucieczka. Nie sięgnęłam po terapię, bo byłam nauczona, że sama mam sobie radzić. A jeżeli sobie nie radzę, to znaczy, że za mało się staram.

Przyjaciele?
– Od nich miałam największe wsparcie. Być może też dlatego, że im więcej mówiłam. Rodzinie, czyli mamie, tacie, siostrze, szwagrowi, mówiłam dużo mniej, bo ich chroniłam.

Dla moich rodziców choroba Ali była ogromnie ciężka. Mama sobie trochę lepiej z tym radziła. Jest rocznikiem wojennym, przeszła różne historie i ma cudowną umiejętność wypierania. To jej bardzo pomaga w życiu.

Nie uznaje choroby Ali?
– Uważa, że „jakoś to będzie".

Tata, który zmarł w zeszłym roku, był przecudnym człowiekiem. Niezwykle empatycznym, skromnym, przyjacielem ludzi, zwierząt. Był pionierem odnawialnych źródeł energii, budował małe elektrownie wodne, za co został odznaczony Krzyżem Zasługi. Zupełnie natomiast nie radził sobie z chorobą Ali. Przeżywał to bardzo, a ponieważ był nauczony, żeby nie pokazywać emocji, nie mówił o niej w ogóle, jakby przestała dla niego istnieć. Bardziej chyba bał się o mnie.

Mówił ci o tym?
– Mówił, że się martwi. Pytał, czy mi wytrzyma głowa, czy dam radę, bo to kolejny cios.

Najpierw umarł mąż, niedługo potem mieliśmy w rodzinie czarną serię: tata zachorował na raka, potem mama. Syn, który grał w piłkę nożną, miał kilkakrotnie rekonstrukcję kolana. A przy tym wszystkim była Ala.

Najbardziej żal mi Norberta, który co chwila był czymś zaburzany. Bardzo przeżył śmierć taty. Miał wtedy jedenaście i pół roku, właśnie szedł do gimnazjum. Później się okazało, że jego siostra jest bardzo chora. A na początku studiów, już grając w reprezentacji uczelni, usłyszał, że po tych wszystkich kontuzjach z piłką koniec, a to było jego wielka pasja.

Wyprowadził się na pierwszym roku studiów. Najpierw zamieszkał z kumplami, potem z dziewczyną. To miał być najpiękniejszy okres życia, ale nie miał z tym nic wspólnego. I to, że ten związek się nie rozpadł, to cud.

Było takie zagrożenie?
– Przeze mnie. Bo kto wytrzyma takie szarpanie przez matkę? Ala była najważniejsza. I nie liczyło się to, że Norbert ma jakieś plany. „Teraz musimy jechać". Albo dzwoniłam: „Nie wiem, co robić", „Boję się".

Przestałam go traktować jak swojego syna, a zaczęłam jak partnera do rozmów. Zaserwowałam mu potężny ciężar gatunkowy. I to trwało latami.

Kiedy się skończyło?
– To się działo stopniowo. Ale był taki moment, kiedy ten proces przyspieszył. Byłam już w fatalnym stanie psychicznym. Ważyłam 42 kilo. Nie jadłam, nie spałam. Dziś wiem, że miałam depresję. Oczywiście dalej nie szłam do lekarza. Cały czas pracowałam. Chciałam udawać, że wszystko mam pod kontrolą, choć już dawno nic pod kontrolą nie było.

Jak Ala miała się lepiej, to i ja miałam się lepiej. Jak było z nią gorzej, znikała, ciach, wszystko było nie tak. Huśtałam się razem z córką. Powiem ci szczerze, że był taki moment, że miałam myśli samobójcze, że ja już tego nie zniosę.

Czego dokładnie?
– Tego ciągłego strachu o nią. Jak słyszałam sygnał karetki pogotowia czy wozu policyjnego, dostawałam paraliżu. Myślałam: czy to jest ten dzień, w którym dostanę TĘ wiadomość?

Że nie żyje?
– Że nie żyje. Albo że komuś coś zrobiła. Tego też się bałam.

Były takie sytuacje, że Ala komuś zagrażała?
– Kiedyś przydusiła mnie tak, że myślałam, że już się z tego uścisku nie wyciągnę. Uratował mnie nasz pies. Zaczął ją gryźć i udało mi się wydostać.

Wiesz, dlaczego cię zaatakowała?
– Trudno powiedzieć. Atak nastąpił w sekundę. Ala była wtedy w domu. Nie spałyśmy kolejną noc, bo nie mogła spać, i chodziła po domu. Robiła wtedy różne rzeczy. Potrafiła na przykład przenieść kuchenkę do pralni, bo w kuchni „dzieje się coś złego". Tak się może dziać, podkreślam, jeśli chory nie ma wglądu w chorobę, a psychoza jest nieleczona bądź niedoleczona. Chodzi się wtedy razem z chorym.

W pewnym momencie powiedziałam jej, że już nie daję rady, muszę się położyć. Wszędzie miałyśmy po-

Justyna

• mama Alicji i Norberta, babcia Tosi, współzałożycielka stowarzyszenia rodzin i bliskich osób z diagnozą schizofrenii „My Bliscy".

• **9 października** przedstawiciele stowarzyszenia wystąpią na Nadzwyczajnym Kongresie Zdrowia Psychicznego zorganizowanym przez środowiska pacjentów z udziałem lekarzy psychiatrów. Pilotaż reformy psychiatrii w duchu psychiatrii środowiskowej (leczenie jak najbliżej domu, we własnym środowisku), w ramach którego powstały Centra Zdrowia Psychicznego, miał trwać do końca grudnia 2025 r. Później centra miały się stać częścią systemu, ale nieznane są ich dalsze losy i sposób finansowanie.

• Wstęp na Kongres jest bezpłatny po zarejestrowaniu się. Więcej informacji **na: https://kongreszp.org.pl/**

eprasa.pl 71cea234a7

zapalane takie małe świeczki, więc zaczęłam je gasić, bo się bałam, żeby Ala nie zawadziła o nie kocem. Nagle zerwała się z łóżka, na którym się na chwilę położyła, usiadła cała sztywna, spojrzała na mnie takim nieobecnym wzrokiem i mnie zaatakowała. Wcześniej tego nie było, więc się nie spodziewałam.

Co po tym, gdy ją ugryzł pies?
– Doczołgałam się do drzwi wejściowych, chyba z nią na plecach. Ona odskoczyła, otworzyła je i wybiegła na boso. Myślę, że się czegoś bardzo przestraszyła, stąd ten atak.

Wróćmy do momentu, w którym było z tobą już bardzo źle, miałaś myśli samobójcze. Kiedy to było?
– Tosia ma siedem lat, więc to było jakieś osiem lat temu, w listopadzie. Wiele razy wyobrażałam sobie, co zrobię. Któregoś dnia zwierzyłam się przyjaciółce ze swoich myśli, a ona zadzwoniła z tym do mojego syna.

Przyjechał?
– Nigdy tego nie zapomnę. Przyjechał, usiadł i krzyknął: „Mamo, co ty robisz? Nie chcę tego słyszeć! Nigdy więcej tego nie mów!”. Powiedział też: „Mam dość!”. I to był ten przełom. Poczułam, jakby nagle mi się oczy otworzyły. Pomyślałam: „Co ja wyprawiam? Tak nie można!”. Wtedy się zaczęła u mnie wielka zmiana.

Co zrobiłaś?
– Najpierw znalazłam grupę wsparcia. To była grupa dla kobiet współuzależnionych. Adres znalazłam w internecie, spotykali się już następnego dnia. Trafiłam idealnie, bo grupę prowadziła terapeutka, która całe życie oddała ludziom chorym, w tym z podwójną diagnozą – uzależnienia i schizofrenii – czyli tak jak moja Ala. I nagle zobaczyłam, że nie jestem sama.

Wcześniej myślałaś, że jesteś jedyna taka?
– Która ma aż tak? Oczywiście. Tymczasem okazało się, że jest nas mnóstwo. Mnóstwo! I że to daje ogromną siłę. Nadzieję. Ulgę. Akceptację. Chęć życia. Tym ludziom nie za wiele musisz opowiadać, żeby zrozumieli, z czym się mierzysz. Ludzie, którzy nie mają takich doświadczeń, tego nie rozumieją. Ciągle słyszałam: „No, zrób coś z nią!”; „Co z ciebie za matka!?”; „Co z niej za człowiek?”; „Jak ona mogła swoją córkę porzucić?”.

Najpierw była grupa, a później?
– Psychiatra, który stwierdził, że mam poważną depresję i że potrzebuję leczenia farmakologicznego. W tamtym momencie te leki uratowały mi życie i sprawiły, że miałam siłę, żeby te zmiany dalej wprowadzać.

Jakie to były zmiany?
– Przede wszystkim zaczęłam jeść, spać. Wcześniej chodziłam jak zombi. Kładłam się, budziłam o drugiej i dalej już nie spałam.

Zanim podjęłam leczenie, zaczęły się już straty w pracy. Przemieszczałam się z jednego miejsca do drugiego, ale nie było ze mnie pożytku.

Kiedy wzięłam leki i trochę odbudowałam organizm, doszłam do wniosku, że muszę zrobić przerwę w pracy, żeby zadbać o to, co najważniejsze – czyli o syna, córkę, Tośkę, która się już pojawiła, i o siebie. Zrozumiałam, że nie jestem takim hero, żeby to wszystko dźwigać.

Sprzedałaś swoje biznesy?
– W sprawie restauracji zwróciłam się do człowieka, od którego się uczyłam, jak ją prowadzić, i powiedziałam mu: „Słuchaj, mam chorą córkę, którą chcę się zająć. Czy chcesz to ode mnie wynająć?”. Zgodził się. Z kolei z chłopakami z myjni, z którymi pracujemy już dwadzieścia kilka lat i niejedno razem przeszliśmy, umówiłam się, że ją ode mnie przejmą. Żyję z wynajmu.

Twoi pracownicy wiedzieli, że Ala choruje?
– Oczywiście. Byli świadkami wielu sytuacji. Ala czasami przychodziła do firmy. Bywało, że szła do pomieszczenia socjalnego, kąpała się tam, zjadała ich jedzenie. Zdarzało jej się spać na kanapie dla klientów. Potrafiła też przyjść z jakimiś ludźmi, którzy od niej wyciągnęli, co tam mama ma...

My, rodziny, często dostajemy rykoszetem. W tym sensie, że te nasze chore dzieciaki czy bliscy są często naciągani, padają ofiarą wymuszeń.

Brała pożyczki?
– Naturalnie. Mamy jeszcze z 80 tysięcy do spłaty.

A kto jej dał kredyt?
– Dobre pytanie. Ano dają. To są często chwilówki, parabanki, ale normalne banki też.

Do domu nieraz przychodzili komornicy. Na początku byłam tym przerażona. Wszystko bym oddała, żeby tylko ją chronić. Tłumaczyłam ją, wstyd mi było ogromnie. Ale jak już zaczęłam stawać na nogi, stałam się silniejsza. Przestałam ich wpuszczać. Pytałam: „Czy tu jest moje imię i nazwisko? Nie ma? To do widzenia!”.

Swoje długi spłacam. To też są konsekwencje 11 lat choroby mojej córki. Przez ten czas, skupiając się na szukaniu dla niej pomocy, nie byłam w stanie pilnować finansów. Pieniądze się rozchodziły – na gaszenie pożarów, na prywatnych lekarzy, na wynajmowanie mieszkań dla Ali, jeśli nie chciała wrócić do domu, na potrzeby Tosi, z którą zostałam sama.

Co jeszcze było częścią tego twojego stawania na nogi?
– Terapia indywidualna. Co rusz sobie na nią wracam, jak potrzebuję. Ta terapia pomogła mi też w końcu zaakceptować chorobę córki. Bo bardzo długo nie dopuszczałam do siebie, że ta moja wspaniała, mądra, ciepła, spokojna, wrażliwa i pełna marzeń córka jest chora.

Myślałaś, że któregoś dnia wróci i będzie już zdrowa?
– Chyba właśnie tak. Choć tak naprawdę trudno powiedzieć, co wtedy myślałam, i czy w ogóle. Bardziej walczyłam o przetrwanie. Jak i ona. Żyło się tak, że nie wiedziałaś, jak się dzień zacznie i jak się skończy. O żadnych planach nie było mowy. To był jeden wielki rollercoaster.

Długo nie chciałam uwierzyć, że Ala ma schizofrenię paranoidalną. Byłam pewna, że to musi być coś innego.

Bo uważałaś, że to taka ciężka diagnoza?
– Dzisiaj już tak nie myślę, ale wtedy wydawało mi się, że ta choroba zabierze mi dziecko. I że już Ali nie odzyskam. Często zresztą, patrząc na nią, zdawałam sobie pytanie: Gdzie jest moja córka? Bo ja jej nie mogę tu znaleźć za grosz.

Teraz, jak już akceptujesz Ali chorobę, widzisz w niej swoją córkę?
– Teraz już tak, ale najpierw musiałam przeżyć żałobę. Taki żal po stracie. Bo równocześnie z akceptacją choroby przychodzi też rozpacz, że to życie będzie już inne, że to, co sobie wyobraziłam na temat przyszłości mojej córki, będzie inne. Na początku trudno mi się było z tym pogodzić. „Inne” znaczyło „gorsze”. Dziś już oznacza po prostu inne. Widzę dużo plusów tej sytuacji.

Na przykład jakie?
– Choroba Ali zmusiła mnie do zatrzymania się. Wyrwała mnie z butów. Przedtem cały czas pędziłam, nie wiadomo gdzie i po co. Gubiłam różne ważne rzeczy po trasie. Dziś moje życie ma sens.

Co jest w nim sensownego?
– Każda chwila, każde drzewo, które mijam, każdy poranek, każdy uśmiech mojego syna, synowej, wnuczki, córki.

Kiedyś wydawało mi się, że ważne są osiągnięcia – w pracy, jakiś wynik finansowy, może nieruchomości. Reszta ma się układać i ta układanka ma być ładna: dzieci mają być czyste, dobrze ubrane, ładnie obcięte, wykształcone. Fajnie by było, żeby na zebraniach szkolnych były chwalone.

A dzisiaj?
– Jezu Chryste, a dzisiaj? Kocham brudną Tośkę! Uwielbiam, jak rzuca plecak, jak biega, bo to znaczy, że jest spontaniczna, że chce się bawić.

Potężnie się przewartościowałam. Nie potrzebuję żadnych fajerwerków. Każdy dzień daje mi dziesiątki powodów do radości. Moja zewnętrzna sytuacja się nie zmieniła, córka dalej jest chora, ale ja się zmieniłam.

Odwiedzasz ją w tym DPS-ie?
– Tak często, jak ona tego chce. Akceptuję, że nie zawsze ma ochotę na kontakt.

Wytłumaczysz, dlaczego w zasadzie Ala nie mogła dłużej zostać w szpitalu tworkowskim, gdzie trafiła ten ostatni raz?
– Wytłumaczę, bo to jest nasz – rodzin, bliskich, ale też pacjentów – dramat.

W naszym systemie obowiązują „zaczarowane” 72 dni. Tyle trwa w stu procentach refundowany pobyt pacjenta w szpitalu. Po upływie tego czasu niechętnie się go tam trzyma. Pacjent musi być w naprawdę beznadziejnym stanie, na przykład w katatonii, żeby ten czas został wydłużony.

Moja córka nigdy nie wyszła do końca z psychozy w trakcie tych 72 dni. Za każdym razem, jak opuszczała szpital, a była hospitalizowana dziewięć razy, wciąż była w objawach: słyszała głosy, uważała, że podglądają ją przez kamerę i tak dalej. Szpitale nie chciały jej zatrzymać mimo moich próśb, wiedząc, że jest młoda, ma dziecko. I w takim stanie wracała do domu.

W końcu przy tej ostatniej hospitalizacji trafiła nam się niezwykle empatyczna lekarka, która w imieniu szpitala wystąpiła do sądu o nakaz umieszczenia córki w DPS-ie w trybie zabezpieczenia bez zgody. To była jedyna nasza szansa. Jedyny przepis, którym mogłam ją zatrzymać na leczeniu.

W szpitalu brała leki?
– Tam ją skutecznie pilnowano. W domu nie potrafiłam jej do tego przekonać. Natychmiast je odstawiała. No i z czym ty zostajesz jako ten bliski? Z tym, że twoja wnuczka zaczyna się bać mamy?

Ala ma więź z Tosią?
– Nie było czasu, żeby sobie ją wyrobiły. Tośka urodziła się w czerwcu, a już w lipcu Ala miała rozpętaną psychozę. Powinna była od razu pójść do szpitala, ale nie chciała. Poszła dopiero na jesieni, z interwencji policji. Bo w domu były krzyki, powybijane okna, połamane meble.

My, bliscy, bardzo nie chcielibyśmy czekać na takie momenty, żeby móc skierować naszych chorych do szpitala. Ale nie mamy żadnych narzędzi.

Wtedy, kiedy jest psychoza, ale nie ma zagrożenia życia?
– Tak. Nasi chorzy „zawieszają się” wtedy w systemie. Kiedy nie zagrażają sobie albo innym – są za zdrowi na szpital, ale za chorzy na życie.

Oczywiście, często już wcześniej, zanim doszło do dramatu, dzwoniłam po karetkę czy po policję. Ale policja przyjeżdżała i mówiła, że to „konflikt rodzinny”. Pytali córkę: „I co, uspokoisz się teraz?”, na co ona odpowiadała: „Tak, uspokoję się”. Tłumaczyłam, że Ala jest chora, wymaga pomocy, na co oni: „Nie będziemy się wtrącać. Nie ma powodów do interwencji”.

To wołałam karetkę, a ratownicy to samo. „Jak masz na imię?”, „Alicja”, „A gdzie mieszkasz?”, „W Piasecznie”, „Jest dzień czy noc?”, „Noc”. I do mnie: „Proszę pani, ona jest dobrze zorientowana. Nie mamy tu nic do roboty”.

Pamiętaj, że w karetce jeżdżą ratownicy, nie lekarze psychiatrzy. A chorzy potrafią dysymulować.

Czyli przekonać, że jest już po kryzysie.
– Dawno rozgryźli system, bo nie są głupi, tylko chorzy.

Ogromnym problemem z mojego punktu widzenia jest brak współpracy z rodzinami – i służb, i lekarzy psychiatrów w szpitalach. To my najlepiej wiemy, czy ten nasz chory jest już „nasz”, czy jeszcze jest gdzieś w swoim świecie.

Czy ta psychoza niedługo po urodzeniu Tosi to była pierwsza psychoza Ali?
– Tak. Mówiła wtedy, że z materaca w jej łóżku wychodzi pazur i ją kłuje, odbijają się jakieś metalowe kulki i coś czarnego i kudłatego biega po domu.

Alicja od początku, już jako noworodek, była inna – bardzo spokojna, bardzo grzeczna. Jak podrosła, nie przejawiała takich emocji jak inne dzieciaki, czyli na przykład: „Wow, ale fajnie, mam nowy pokój”. Albo „Nie chcę tego sprzątać, nie podoba mi się!”. Dla niej wszystko było „okej”. W rodzinie przyjęło się mówić, że Ala jest taką enigmą. Nie wiadomo, co myśli i co czuje.

Byłaś już wtedy mamą starszego syna. Ala była różna od Norberta?
– Skrajnie. Szybko to wychwyciłam i zaczęłam chodzić po psychologach. Czułam, że coś jest nie tak. Brakowało mi w niej tego dziecięcego entuzjazmu, złości, focha.

Jak wyglądały jej relacje z rówieśnikami?
– Nie lubiła towarzystwa. Wybierała sobie jedną bądź dwie osoby. Znajomi, rodzina, przyjaciele mówili: „Boże, jakie to wspaniałe dziecko”. Nauczyciele: „Ona jest taka dobrze wychowana. Zawsze pamięta o magicznych słowach: „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”. Jest wzorem”.

Co mówili psycholodzy?

1 RP

To jest moje dziecko. Ona nie wybrała sobie tej choroby. To była, jest i będzie wspaniała osoba. Nie wstydzę się swojej córki. Nie wstydzę się swojej rodziny, wstydzę się systemu

eprasa.pl 71cea234a7

– Że Ala ma ponadprzeciętną inteligencję i lateralizację skrzyżowaną, czyli jest praworęczna, ale ma dominację lewego oka, co może prowadzi do kłopotów z koordynacją wzrokowo-ruchową. Trudno jej się było na przykład nauczyć jeździć na rowerze. W sumie nic wielkiego, ale żeby to wyrównać, przez cztery lata chodziłam z nią na zajęcia z integracji sensorycznej.

Dziś już wiem, że Ala była w spektrum, ale te 25 lat temu tego u niej nie zdiagnozowano. Była niezwykle uporządkowana, kredki musiały leżeć w pudełku równiutko. Codziennie pisała plan dnia. Jak się z nią umówiłaś na 17.00, to nie daj Boże, żebyś się spóźniła minutę. Musiało być perfekcyjnie.

Coś jej dała ta terapia?
– Dzięki niej przekonała się do uprawiania sportu w grupie, zaczęła tańczyć. Kochała to. Miała też swoją pasję. Jako jedyna w gimnazjum dostała szóstkę z biologii. Na warsztatach na SGGW prowadziła warsztaty dla młodszych dzieciaków, na których opowiadała im o robaczkach. Chciała zostać weterynarzem. Świat zwierząt był jej bliższy. I książki.

No i mama. Jak była mała, chciała jeździć ze mną do pracy. Proponowałam jej: „Alu, przyjdzie ciocia, gdzieś cię zabierze". „Nie". Wolała ze mną przesiedzieć te osiem godzin.

Nie pojechała na żadną wycieczkę klasową. Zdarzało się, że podchodziłyśmy już pod drzwi autokaru, spakowane. Wycofywała się w ostatniej chwili.

Martwiło cię to?
– Oczywiście, ale nie mogłam znaleźć odpowiedzi, dlaczego tak jest.

Kiedy miała 11 lat i 7 miesięcy wyjechałam służbowo. Została z ciocią i bratem na osiedlu zamkniętym. Tego dnia wzięła rower, nie założyła kasku, a zawsze zakładała, pojechała do sklepiku osiedlowego, gdzie kupiła delicje jagodowe, których nie znosiła, i dalej już nic nie pamiętała.

Ciocia znalazła ją siedzącą na chodniku obok roweru, zdezorientowaną. Natychmiast pojechali z nią do szpitala. Okazało się, że się przewróciła i uderzyła w głowę. Nie było poważnych strat, natomiast nic nie pamiętała od wyjścia z domu. Miała tak zwaną niepamięć wsteczną. Rzuciłam wszystko, przyjechałam do tego szpitala, siedziałam z nią tam, a ona po sto razy się ze mną witała: „O, mamusiu, jesteś", „O, cześć mamusiu", i tak w kółko.

Lekarze stwierdzili, że to był napad padaczki. Zostałyśmy skierowane do Centrum Zdrowia Dziecka na neurologię. Przeszłyśmy najróżniejsze badania, ale na nic jednoznacznie nie wskazywały.

Dostała jakieś leki?
– Nie. Nikt jej też nie zaproponował wizyty u psychiatry.

Później już nic takiego się nie powtórzyło, ale przez kilka miesięcy Ala się tak „zawieszała". Sztywniała, patrzyła przed siebie i była przez chwilę nieobecna. Potem trudno jej było wrócić do rzeczywistości. Potrafiła na przykład zjeść obiad, przyszła za pół godziny i pytała, czy może zjeść obiad.

Dziś wiem, że to mógł być taki pierwszy alarm.

Co byś zrobiła inaczej, mając tę wiedzę?
– Natychmiast bym poszła z nią do psychiatry. Uważam, że to był ten kierunek, że stres związany z moją nieobecnością mógł u niej odpalić pierwszy epizod psychotyczny.

Co było później?
– Przez jakiś czas wszystko było okej. Ala żyła swoim spokojnym trybem. Tańczyła, nie imprezowała. Miała marzenie zobaczyć ogród botaniczny na Krecie, to pojechałyśmy. Podchodzenie żółwi zaliczyłyśmy. Wyjeżdżałyśmy z pieskami, bo zawsze miałyśmy psy.

Gimnazjum skończyła z wyróżnieniem. I poszła do liceum, do Hoffmanowej, na profil biologiczno-chemiczno-fizyczny. Powiem ci, że to, co się tam działo, jeżeli chodzi o tempo nauki, było niewiarygodne. Pierwsze zebranie dla rodziców trwało trzy godziny. Już wtedy zastanowiły mnie słowa wychowawczyni, że w szkole jest dostępny psycholog, również dla rodziców. Jak zobaczyłam Ali zeszyt od chemii po pierwszym miesiącu nauki, to się załamałam. Trafiła im się nauczycielka – wykładowczyni akademicka – która nigdy wcześniej nie uczyła w szkole średniej. Ciśnienie było potworne. „Nie rozumiesz – to dostudiuj" – to było takie podejście.

Jak Ala sobie z tym radziła?
– Uczyła się do drugiej w nocy. Wstawała o piątej rano, bo „muszę się jeszcze douczyć". Idąc z podręcznikiem do szkoły, w drodze do metra potknęła się i złamała nogę. Wpadła w potworny stres. Nie tylko ona – jedna koleżanka się cięła, druga wpadła w anoreksję.

Na kolejnych zebraniach był przerabiany tylko temat chemii, sypały się pała za pałą. Ale rozmowa z nauczycielką była niemożliwa. Na nasze argumenty odpowiadała: „Tak, ale...".

Dzisiaj jestem inną osobą, silną. Mówię: „Proszę przyjąć zgłoszenie, to należy do waszych obowiązków". Ale wtedy na takim komisariacie bardzo łatwo mnie było zgiąć. Patrzyli na mnie jak na patologię.

Kiedy się domyśliłaś, że Ala bierze narkotyki?
– Po kilku miesiącach, pod koniec pierwszej klasy. Wiedziałam, że zaczęła pić, bo nieraz czułam od niej alkohol. Potem dopiero rozgryzłam, że dzieciaki stosują taki patent: najpierw biorą, a potem coś piją, żeby rodzice myśleli, że ich zmieniony stan jest po alkoholu.

Skąd miała narkotyki?
– Od uzależnionego sąsiada z bloku, którego przedtem omijała szerokim łukiem.

Od czego zaczęła?
– Z mojego późniejszego wywiadu wynika, że najprawdopodobniej od mefedronu, który uzależnia od razu i sprawia, że dziecko staje się kimś, kogo nie rozpoznajesz. Krzyczy, wyskakuje przez balkon, przeklina, jest agresywne. Ala w ciągu kilku miesięcy stała się kimś innym. Nie poznawałam jej.

Przychodzili komornicy. Na początku wszystko bym oddała, żeby tylko ją chronić. Potem pytałam: „Czy tu jest moje imię i nazwisko? Nie ma? To do widzenia!"

Czym się skończył ten stres?
– Po pierwszym semestrze zawsze wyjeżdżałyśmy w góry. Tym razem Ala powiedziała: „Mamo, nie jadę. Poproszę cię, żebyś załatwiła mi korki". Powiedziałam jej: „Alu, zostaw to, zmień tę szkołę. Nie możesz tak żyć, dzieciaku". Przekonywałam: „Nie po tej jednej szkole można się dostać na weterynarię. Jak trzeba będzie, to dociśniemy w trzeciej klasie". „To będzie dla mnie największa porażka" – odpowiadała.

No więc siedziała przez całe ferie w domu. Przyszedł wykładowca akademicki udzielać jej korepetycji i obroniła się na to pierwsze półrocze. Ale – myślę – już wtedy nie dawała rady. Nastąpiła w niej zmiana, którą dopiero po czasie byłam w stanie zrozumieć. Wtedy myślałam, że Ala ma depresję.

Co się zmieniło?
– Zaczęła być niechlujna, niedokładna. W jej przypadku to była drastyczna różnica. Przestała się uczyć. Zaczęła znikać z domu. Miała 16,5 roku i była już innym dzieckiem.

Gdzie znikała, wiedziałaś?
– Często nie. Na początku znikała na kilka godzin. Wychodziła, nie odbierała telefonu i wracała na przykład o drugiej w nocy. Ale szybko godziny przeszły w dni, a potem w tygodnie. Tłumaczyła się na przykład, że była u koleżanki, że rodzice koleżanki wyjechali. Dzwoniłam do takich rodziców i słyszałam, że nic o tym nie wiedzą. Oszukiwała.

Zawiadamiałaś policję?
– Wielokrotnie. Słyszałam: „Konflikt rodzinny", albo pytania: „A co to się w domu dzieje?". Często ze mnie drwili: „No, nastolatki znikają, niech się pani zastanowi czemu".

Skąd miała pieniądze?
– Ode mnie. Dawałam jej na ubranie, na przekąski, na wyjście z koleżankami na pizzę. Powiem ci, co mną powodowało nawet wtedy, gdy już się domyślałam, że ta kasa może iść na coś innego – strach. Lęk, że jeśli jej tych pieniędzy nie dam, to może ona sobie coś zrobi. No i długo chciałam jej wierzyć.

Jak przychodziła i opowiadała mi zacne historie, że na przykład „koleżanka miała oddać mamie 150 złotych, ale zgubiła, a ta mama taka nerwowa, czy mogę pomóc?" – to mówiłam: „Oczywiście, pomożemy". Nie mogłam się pogodzić z tym, że ona jest już inna, że kłamie. Tak było na początku, bo potem, gdy zaczęła mi znikać, gdy już się zrobiło hardcorowo – zaczęłam walczyć.

Jak?
– Przede wszystkim wyprowadziłyśmy się, żeby ją odciąć od tego środowiska. W wakacje, po pierwszej klasie liceum. W jeden dzień spakowałam cały dom. Pilnowałam jej. Myślałam, że w nowym miejscu będzie inaczej, ale nic nie było inaczej. Do drugiej klasy ledwo chodziła. Do trzeciej już nie zdała.

Nie dała się zaprowadzić do żadnego psychologa, psychiatry?
– Dała, do nie jednego, ale nic z tego nie wynikało. Przerabiałyśmy też ośrodki leczenia uzależnień, ale z nich uciekała. Najdłużej wytrzymała w Monarze, pół roku. To był kilkuletni straszny okres ganiania jej, błagania, wynajmowania detektywów, ciągania do terapeutów. I nic.

Tak było do czasu, aż przyszła i powiedziała, że jest w ciąży. Miała 20 lat.

Jak to przyjęłaś?
– Wystraszyłam się. Po pierwsze, czy będzie „czysta" w ciąży. Po drugie, czy nie zostanę z tym sama, czy to udźwignę. Więc moja reakcja nie była taka: „Wow!".

Mieszkaliśmy wtedy wszyscy razem: Ala z chłopakiem, Norbert ze swoją dziewczyną, ja i cztery psy. Najlepiej zareagował Ali brat. Przytulił ją i powiedział: „Siostra, super!". Potem usiedliśmy razem i wtedy już powiedziałam sobie: „A, będzie, co ma być".

Przez całą ciążę zachowywała się w porządku. Wydawało mi się, że nie bierze, choć syn z synową mówili, że chyba jakieś zioło się pojawia. Kiedy pytałam, zwalała to na swojego chłopaka.

On ćpał dalej?
– Tak. Zresztą już nie żyje.

W ciąży Ala wróciła do liceum, uczyła się zaocznie. Mój przyjaciel dał jej pracę, bo mówiła po angielsku, nieźle po hiszpańsku, a on kogoś takiego potrzebował. Nie przeszkadzało mu, że jest w ciąży.

Wszystko zaczęło się pięknie układać. Wiesz, jak doświadczysz tego, że nie masz pojęcia, gdzie jest twoje dziecko, że się boisz o jego życie, a potem już wiesz, gdzie jest i że jest bezpieczne, to masz inne standardy. To jest ta metoda na kozę. „To tylko ciąża, uf" – to było na tej zasadzie.

Pod koniec ciąży dzieciaki mi powiedziały, że chcą ten etap przeżywać same i czy pomogę im pomóc wynająć mieszkanie, więc im je wynajęłam. Nie wiem, czy to był błąd, czy nie, trudno to dziś ocenić. Zresztą już nie rozpatruję tego w takich kategoriach.

Jeszcze do porodu było w miarę okej. Chłopak Ali używał na pewno. Któregoś dnia wpadłam do nich, wyglądał nie najlepiej, zaczęłam szukać, no i znalazłam.

Narkotyki?
– Było tego tyle, że na pewno nie służyło tylko do użytku własnego. Dilował, o czym wcześniej nie wiedziałam. Chciałam to zgłosić na policję, ale jego mama mnie ubłagała, żebym tego nie robiła. I to są te potężne dylematy... Dzisiaj bym to zgłosiła.

Tosia się urodziła zdrowa?
– Tak, ale nasze szczęście trwało miesiąc. Potem już przyszła ta pierwsza psychoza.

Zaczęło się od tego, że Ala zaczęła przycinać włosy. Któregoś dnia poszłam do niej, patrzę, a ona ufarbowała je na fioletowo. Dwa dni później zadzwoniła, że jest u fryzjera, że znów musi się przefarbować, i czy mogę przyjechać. Pojechałam, spytałam: „Alu, co się dzieje?", a ona na to, że tamten kolor był nie taki. Coś już mi się nie zgadzało. No, a potem to już poszło...

Któregoś dnia zadzwoniła ich sąsiadka, że coś złego się dzieje u nich w mieszkaniu. Pojechałam. Ala miała pociętą rękę. Jej chłopak trzasnął drzwiami, szkło pękło i ją zraniło. Pojechała na szycie, ja zabrałam Tośkę. A potem powiedziałam jej: „Wracasz do domu. To tak nie może wyglądać".

Myślisz, że wtedy już wróciła do narkotyków?
– Jeszcze moim zdaniem się broniła, stąd ta awantura. Podejrzewam, że pokłócili się o to, że on bierze. Wytrzymała u mnie dwa tygodnie, po czym powiedziała: „Mamo, już się pogodziliśmy. Wracam". Potem to był już jeden wielki koszmar.

Kiedy Tosia miała dwa miesiące, Ala pojechała z nią nagle do mojej przyjaciółki. To było dziwne, bo wcześniej jej nie odwiedzała. Aneta zadzwoniła, żebym przyjechała. Pojechaliśmy z synem, siostrą i szwagrem. Ala była bardzo agresywna, krzyczała, wyzywała nas, groziła. Myślę, że wtedy miała już tę psychozę rozpętaną.

Wezwałam policję. Przyjechali i to, co zwykle: „Konflikt rodzinny. Nie będziemy się tym zajmować. Kiedy się nauczycie, żeby tej policji nie wzywać?". Próbowałam przekonywać, syn wtedy nie wytrzymał, coś tam przeklął.

eprasa.pl 71cea234a7

Skończyło się na tym, że policja jego goniła, a Alę zostawiła.

Wróciliśmy do domu: jedni z Tosią jednym samochodem, ja z Alą drugim. W domu Ala dalej krzyczała, groziła, pluła. Wezwaliśmy drugi raz policję, znów to samo. Wezwaliśmy karetkę. Ratownicy spytali Alę, czy już się może uspokoić, i tyle.

Nie mogę sobie przypomnieć sytuacji, kiedy zostałam przez służby potraktowana poważnie – dopóki nie nauczyłam się operować paragrafami.

Wiesz, nie chcę w takim kraju żyć… Nie chcę być do tego zmuszana. I bardzo się cieszę, że udało mi się stanąć na nogi, że się już nie wstydzę, że wiem, jakie prawa mam ja, a jakie moja córka. Jakie obowiązki mają służby. Ale uwierz mi, że w naszej grupie, w której jest kilka tysięcy osób, to są wyjątki. Ludzie nie mają siły, by zawalczyć o siebie.

Jakie masz prawo jako osoba bliska?
– Jeżeli czuję się zagrożona i wołam policję, to mam prawo do ochrony siebie.

Jeżeli wołam karetkę z artykułu 27 ustawy o zdrowiu psychicznym, który mówi, że przy zagrożeniach różnego rodzaju jest konieczna hospitalizacja, to ratownicy mają obowiązek odwieźć moją córkę na izbę przyjęć w szpitalu psychiatrycznym, bo tylko psychiatra może stwierdzić, czy ona jest w psychozie, a nie ratownik. W moim przekonaniu taka decyzja powinna zostać podjęta po kontakcie z osobą chorą, ale też z bliskim. Podkreślam to bardzo. Uniknęlibyśmy wielu nieszczęść.

W ciągu tych kilku miesięcy po urodzeniu Tosi, zanim udało się umieścić Alę w szpitalu, zaczęłam uciekać z wnuczką z domu – do mamy, znajomych, przyjaciół. Służby nie reagowały, a to naprawdę nie są żarty. I to nie jest tak, że chcemy się tych bliskich pozbyć. Chcemy im pomóc. Bardzo kocham moją córkę, w tej chwili mamy superrelacje, ale w momencie, kiedy Ala jest w ostrej psychozie i nie ma w nią wglądu, jak ma decydować o sobie?

Służby uwierzyły mi dopiero wtedy, gdy zobaczyły powybijane szyby i połamane meble. Dopiero wtedy zawieźli ją do szpitala w Pruszkowie.

Czy podczas tej pierwszej hospitalizacji Ala dostała diagnozę schizofrenii?
– Jeszcze nie. Wtedy to były „ostre wielopostaciowe stany psychotyczne”. Trudno za pierwszym razem postawić taką diagnozę, lekarze też nie chcą tego robić. Bo można mieć pierwszą, nawet drugą psychozę i potem już nigdy może się to nie powtórzyć.

Ważne jest natomiast to, że każda nieleczona czy niedoleczona psychoza powoduje potężne straty. Mózg ulega degradacji, a szanse na powrót do zdrowia maleją. Dlatego konieczne jest przeleczenie psychozy do końca.

Tę pierwszą psychozę udało się u Ali przeleczyć?
– Tak. Ze szpitala wyszła w dobrym stanie, dzięki czemu zgodziła się na Monar. Pojechała tam od razu i została pół roku. Jadąc, brała leki antypsychotyczne, ale na miejscu klasyk – stwierdziła, że już się czuje dobrze, że nic jej nie jest, że to był przypadek, a w ogóle to nie wiadomo, co to było. I odstawiała leki. Wyszła stamtąd już moim zdaniem w psychozie, wróciła do narkotyków, a potem było tylko gorzej.

Wiesz, nie wiadomo, co było u niej pierwsze. Czy jej problemy psychiczne spowodowały, że szukała ulgi w narkotykach, czy narkotyki wywołały u niej takie problemy psychiczne. Dziś to już nie ma znaczenia.

Przy okazji powiem tylko, że narkotyki są „pięknym” wlotem do psychoz i do rozwinięcia schizofrenii. Wystarczy zioło, to nie muszą być twarde narkotyki.

To zioło chyba musi być czymś „chrzczone”?
– Boże słodki, no przecież narkoświat chce zarobić! Towar ma się sprzedać, a klient ma wrócić, więc oczywiście, że jest chrzczone, czym się tylko da, żeby bardziej uzależniało.

Co się działo po wyjściu Ali z Monaru?
– Nie wiedziałam nawet, że wyszła. Nie mają obowiązku informowania rodziny. Dowiedziałam się z policji.

Ala była w Monarze pod Łodzią. Jak ją wypuścili, zamówiła w Łodzi taksówkę, przyjechała nią do Warszawy i uciekła, żeby nie płacić. Po czym poszła do zakładu fryzjerskiego i ukradła perukę. Policja ją złapała i poszła siedzieć – za kradzież i za niezapłacenie rachunku w taksówce.

To był jej pierwszy pobyt w zakładzie karnym. Później było ich jeszcze kilka – w związku z różnymi kradzieżami, agresją. Panie z MOPS-u założyły jej kiedyś sprawę o groźby karalne.

Nie brano pod uwagę tego, że jest chora?
– Ala jeszcze nie miała postawionej ostatecznej diagnozy, tylko te „wielopostaciowe stany psychotyczne” plus uzależnienie. Oczywiście, jeździłam, pokazywałam dokumenty, wypis ze szpitala, ale nikogo to nie interesowało. W zakładzie karnym na Olszynce Grochowskiej usłyszałam, że u nich też jest psychiatra.

Raz Ala zadzwoniła do mnie z więzienia i powiedziała, że bierze ślub w celi. Z hologramem. Ewidentnie była w psychozie, więc pobiegłam do dyrektora zakładu, prosiłam o lekarza. Dał Ali leki antypsychotyczne plus dodatkowo – co? Relanium, czyli „zamułę”, żeby spała i nie rozrabiała. I takie to jest leczenie. Moja córka wychodziła z takiego zakładu dwa razy bardziej chora.

Raz tylko się zdarzyło, że ktoś wpadł na pomysł, żeby przenieść Alicję na oddział psychiatryczny zakładu karnego, czyli na tak zwaną detencję. Ale stało się to dopiero wtedy, kiedy kogoś pobiła. Na detencji była pół roku.

Kiedy ją odbierałam, tamtejszy psychiatra powiedział mi: „Ala jest dalej w poważnej psychozie. Nie jestem w stanie jej z tego wyciągnąć. Zrób wszystko, żeby trafiła do szpitala”. To była moja najlepsza współpraca przez te wszystkie lata. Córka zgodziła się na szpital, bo była już w trochę lepszym stanie. Trafiła do Drewnicy, ale znów wypuszczono ją za szybko i prawie dziewięć miesięcy pracy poszło w plecy.

Kiedy Ala dostała oficjalną diagnozę schizofrenii paranoidalnej?
– Przy piątej hospitalizacji, w Drewnicy, w 2022 roku.

Nadal nie akceptuje choroby?
– Powoli zaczyna. Dwa miesiące temu powiedziała, że czyta książkę o schizofrenii. Teraz, po tych 12 miesiącach leczenia przymusowego, mamy pierwszą poprawę. Ruszamy małymi krokami do przodu. Cały czas słyszy głosy, ale one są już mniej nachalne. Ma lepsze i gorsze dni. Niedawno wzięłam ją na przepustkę, pojechałyśmy na plażę nad rzekę i świetnie się bawiłyśmy.

Wierzysz, że wyjdzie z tego DPS-u?
– Wierzę. Na razie wiem, gdzie jest. Wiem, że jest bezpieczna, że bierze leki, a to jest podstawa wyzdrowienia. Wiem, że zaczyna mieć wgląd w chorobę, że mówi: „Mamo, kocham cię. Dobrze, że jesteś”. Wracają jej uczucia, co jest bardzo dobrym znakiem. Ale wiem też, że długa droga przed nami. Będzie widać, jak Ala do nas wróci. Jeszcze nie wróciła do końca.

Może być w tym DPS-ie bezterminowo?
– Na razie tak, ale o tym na bieżąco decydują biegli psychiatrzy.

Powiem ci tak… To jest moje dziecko. Ona nie wybrała sobie tej choroby. To była, jest i będzie wspaniała osoba. I ma takie samo prawo do leczenia, uzyskania pomocy i godnego życia jak każdy z nas. Koniec. Kropka. Nie wstydzę się swojej córki. Nie wstydzę się swojej rodziny, wstydzę się systemu.

Co byś chciała, żeby się w nim przede wszystkim zmieniło?
– Żeby leczenie psychozy w szpitalu trwało tyle, ile to konieczne – to podstawa. Dla jednej osoby to będzie 30 dni, dla innej – 72, a dla jeszcze innej – więcej. Są osoby, które mają wgląd w chorobę. Potrafią rozpoznać, kiedy idą pierwsze objawy. Panują nad tym.

Znam osoby, które same zgłaszają się do szpitala, jeśli to konieczne.
– Ja też. Im być może wystarczy miesiąc. Ale osób bez wglądu jest więcej.

Chciałabym też, żeby słuchało się rodzin, bliskich, współpracowało z nimi. Paradoksem jest dla mnie to, że jeśli chory w psychozie nie zgadza się na dostęp rodziny do informacji, to rodzina nie jest informowana. Ja się już nauczyłam, że jak mnie wywalą drzwiami, to wchodzę oknem, podpieram się całą dokumentacją, ale w pojedynkę swoją miłością córki nie wyleczę. Raka miłość też nie wyleczy. Współpraca może.

> Norbert przyjechał, usiadł i krzyknął: „Mamo, co ty robisz? Mam dość!”. I to był ten przełom

Co jeszcze?
– Fajnie, gdyby nasi chorzy, zanim wyjdą ze szpitala, przeszli tak zwany trening lekowy. Żeby ćwiczyli, że rano biorą taki lek, po południu inny. Regularność przyjmowania leków to jest też duży wyznacznik tego, w jakim ten chory jest stanie. I szansa dla nas, bliskich. Takie treningi są w niektórych szpitalach za granicą i dobrze się sprawdzają.

Chciałabym też, żeby wszystkie służby – policjanci, ratownicy – przeszły edukację, czym jest psychoza, schizofrenia i tak dalej.

Niektórzy mają takie szkolenia.
– I to jest super! Ale ogólnie brakuje tej wiedzy plus nie ma żadnej koordynacji pomiędzy służbami a szpitalem. Ten nie ma czasu, tamten nie może, ten nie wie.

Jakiś czas temu wprowadzono scentralizowany program leczenia dla pacjentów onkologicznych. Bardzo to jest fajne. Moi rodzice przeszli przez raka, więc wiem, co to znaczy chodzić od Wicka do Wacka i tracić czas. A strata czasu to są mniejsze szanse na pełny powrót do zdrowia – częste hospitalizacje plus choroba całej rodziny.

Poza wszystkim to są ogromne koszty: depresja bliskich i ich leczenie, często niemożność pracowania, porzucone dzieci, straty robione przez chorych, w nieświadomości. Zadłużanie się.

Gdyby to jakiś ekonomista policzył, to by się okazało, że ten jeden ruch, czyli porządne przeleczenie psychozy tak długo, jak jest to konieczne, oszczędza kupę pieniędzy w innych okienkach tego systemu. U mnie cała rodzina chorowała, syn zawalił pierwszy rok studiów.

Poszedł po pomoc?
– Finalnie poszedł. Tak samo moja mama, siostra. Jak ja ruszyłam, to i oni ruszyli. Z młodym przegadaliśmy sobie wszystko, wyryczeliśmy się i już dzisiaj jest super.

Czy wtedy, gdy towarzyszyłaś córce w szpitalu, dostałaś kiedykolwiek propozycję skorzystania ze wsparcia dla siebie?
– Ani razu. Żadnej ulotki, żadnej informacji, gdzie mogę się zwrócić. Wszystko sama sobie wyszukiwałam.

Jedyną realną pomocą dla nas i naszych bliskich są Centra Zdrowia Psychicznego. Tam dostałam wsparcie.

Skąd się o nich dowiedziałaś?
– Z internetu. Okazało się, że takie centrum mam koło siebie, w Piasecznie, drugie w Konstancinie. Poszłam i dostałam od razu psychologa. Później w Szpitalu Wolskim znalazłam jeszcze grupę wsparcia dla rodzin.

Kolejna rzecz – chorzy, którzy wychodzą ze szpitala, wychodzą często w pustkę. A przecież można we współpracy z rodziną ustalić, że leczenie chorego jest kontynuowane w domu, ale z pomocą środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego właśnie, gdzie są psycholog, psychoterapeuta, asystent rodziny.

To jest trochę tak, jakbyś złamała kolano. Najpierw idziesz do szpitala na operację, a potem masz rehabilitację. A co ja mam zrobić, jak mi dziecku pół kolana naprawią, a z drugiej połowy będzie wystawać kość i w takim stanie je wypiszą? Jak ja mam je wyleczyć w domu tymi rękami? Dlatego potrzebna jest zmiana systemu, żeby chory miał szansę na ciągłość leczenia.

Zdrowienie to proces. Żeby być zdrowym, trzeba być w nim cały czas. Czasem do końca życia. Ja cały czas nad sobą pracuję. Nawet wczoraj dzwoniłam do Centrum Zdrowia Psychicznego i się umówiłam na wizytę podtrzymującą. Jestem w różnych grupach.

Otoczyłaś się ludźmi.
– Ale tymi, którzy dotknęli problemu. Tak jest łatwiej.

Wiesz, póki nasze dzieciaki, nasi bliscy żyją, piłka jest w grze. Wszystko da się zrobić. System da się zreformować, medycyna się rozwija. Trzeba wierzyć.

Masz nadzieję, że Ala wyjdzie – i co dalej?
– Możliwości są różne. Być może mieszkanie chronione, ale jest ich bardzo mało. Być może powrót do domu. Ale musiałabym go przeprowadzić bardzo ostrożnie, stopniowo. Nie mogę tego zrobić tak, jak robiłam na początku – na hura.

Poza tym rozdźwięk pomiędzy Tosią a mamą jest bardzo duży. Tosia trochę się jej boi. Nie bardzo chce wchodzić do jej pokoju.

Odwiedza Alę w DPS-ie?
– Nie. O mamie rozmawiamy wtedy, kiedy Tosia ma taką potrzebę. Ona ma mieć przede wszystkim spokojne dzieciństwo.

Jeśli jednak miałabym pewność, że u Ali ustąpiły objawy, że jest jakiś czas w remisji, do tego chodziłaby na przykład codziennie na psychoterapię w Centrum Zdrowia Psychicznego, dostałybyśmy asystenta rodziny, to oczywiście, że bym chciała, żeby była w końcu z nami.

Kiedyś mówiłam: „Boże, nie skończy szkoły, nie pójdzie na studia”. Dziś mam to gdzieś. Dla mnie może siedzieć i po prostu być, byleby tylko była spokojna i bezpieczna. Niczego więcej nie chcę i będę o to dalej walczyć. Jak nic, mamy opiekę siły wyższej, na szczęście.

Skąd to wiesz?
– Bo wciąż żyjemy? Bo się cieszymy? Bo się kochamy? Bo się nie rozpadliśmy jako rodzina? Bo Norbert z narzeczoną biorą ślub w dziesiątą rocznicę poznania? Bo idziemy po więcej w życiu? Bo wyjeżdżamy?

Z takiej dupy wyjść bez siły wyższej jest bardzo trudno. ●

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

ROZWODU Z CHOPINEM NIE BĘDZIE

– Unikałem konkursowej atmosfery. Żyłem spokojnie, skupiony na programie – wspomina zwycięzca Konkursu Chopinowskiego z 2005 roku.

Z PIANISTĄ **RAFAŁEM BLECHACZEM**
ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

ANNA S. DĘBOWSKA: Rozeszła się wieść, że przestał pan grać Chopina.
RAFAŁ BLECHACZ: To był primaaprilisowy żart z Facebooka. Zbliżały się moje 40. urodziny. To połowa życia, zwykle czas zmian, pomyślałem więc, że taka wiadomość może wyglądać na prawdopodobną. I sporo osób się nabrało. Do tego stopnia, że dwa dni później musiałem zamieścić drugi post, że rozwodu z Chopinem nie będzie.

Jestem w trakcie nagrywania kompletu mazurków Chopina na dwupłytowy album pod szyldem Deutsche Grammophon.

Nie ma Rafała Blechacza bez Chopina?
– W pewnym sensie Chopin definiuje moją osobowość. Recenzenci pisali nawet, że czuję się w tej muzyce jak u siebie w domu. Nie wyobrażam sobie, że miałbym w ogóle przestać ją grać.

Na Facebooku ogłosił pan również, że pisze autobiografię. To też żart?
– To prawda. Zwykle nie rozmawiam o swojej prywatności, a w tej książce otwieram się bardzo mocno. Niestety, nie zdążyliśmy z premierą na tegoroczny Konkurs Chopinowski w Warszawie, ale książka powinna się ukazać w przyszłym roku.

Muzyka już panu nie wystarcza? Potrzeba słów?
– Nie mam takiego poczucia, że muzyka mi nie wystarcza, ale mam świadomość, że nie trafia, niestety, do wszystkich. A chciałoby się czasem być w kontakcie z różnymi odbiorcami. Słowa są potrzebne do tego, żeby pewne rzeczy nazwać jasno i otwarcie. Muzyka jest bardziej wieloznaczna.

Pisze pan sam?
– Nie jestem pisarzem. I nie mam czasu na pisanie książek. Dlatego nad autobiografią pracuje ze mną druga osoba, autor widmo, by posłużyć się tytułem filmu Romana Polańskiego. Być może pozostanie w krainie duchów, a może z czasem się ujawni. W każdym razie książka powstaje na podstawie wywiadu rzeki, który ze mną przeprowadził. Ale niektóre rozdziały napisałem sam.

Rozdziałów jest 80.
– Na szczęście nie są długie. Każdy dotyczy wybranego zagadnienia, sprawy, która jest istotna w moim życiu. Sam wskazałem tematy.

Kilka wypisałam: „Kryzys wiary", „Uśpić wartości". Jest pan osobą wierzącą, domyślam się więc, że to o religii?
– Tak. Ale nie chciałbym wszystkiego zdradzać. Mogę tylko powiedzieć, że opisuję coś, co nazywam moim prywatnym kryzysem wiary. Rzeczywiście go doświadczyłem – całkiem niedawno, w okresie pandemii. Miałem wtedy sporo czasu na przemyślenia, wątpliwości. Zadawałem sobie pytania, które wcześniej nie przyszły mi do głowy.

Siedziałem sam w domu, koncerty odwoływano, przekładano, później znowu odwoływano, więc z motywacją było coraz gorzej. I okazało się, że jak się ma za dużo czasu na myślenie, to rodzą się demony.

Nigdy nie wątpiłem w istnienie absolutu, Boga. Natomiast zadawałem sobie pytania dotyczące na przykład wolnej woli człowieka.

Mam poczucie, że z religii się wyrasta.
– Religia przejawia się w tym, że praktykujemy, chodzimy na mszę, modlimy się. Kościół to jest wspólnota oraz instytucja zhierarchizowana, która działa lepiej lub gorzej. Natomiast wiara to jest dla mnie relacja między Bogiem a człowiekiem. Tak to rozgraniczam. I w tym kontekście wiara jest dla mnie najważniejsza.

„Uśpić wartości"? O jakie wartości chodzi?
– To cała sfera aksjologii, filozoficznej nauki o wartościach, w której się spekuluje, czy rzeczywiście istnieją wartości obiektywne, czy tylko subiektywne, jak chcą tego relatywiści. Poruszam ten temat, wychodząc z założenia, że gdy mamy do czynienia z całkowitym relatywizmem, wtedy właściwie nie możemy już mówić o istnieniu dobra i zła.

Brzmi to bardzo teoretycznie, więc chcę dopytać, czy chodzi o to, że ludzie wybierają dziś rozmaite style życia i dokonują autonomicznych wyborów, zamiast słuchać autorytetów, na przykład Kościoła?
– Widzę to wokół siebie, podróżując po świecie. Niektórzy ludzie próbują dokonywać pewnego – czasami mniej lub bardziej – sztucznego zabiegu usypiania pewnych wartości.

To nadal brzmi jak teoretyczne rozważania, ale w książce piszę o konkretnych ludziach, których spotkałem i którzy stanęli właśnie przed tego rodzaju wyborami.

Chciałby pan głosić wiarę?
– Nie jestem księdzem ani duszpasterzem. Jeżeli ktoś mnie o coś zapyta lub zechce się podzielić swoimi przemyśleniami, chętnie odpowiem i wysłucham. Ten rys – nazwijmy to – apostolski jest wpisany w religię chrześcijańską.

Zetknęłam się z opinią, że muzyka klasyczna często wiąże się z wiarą, ma wymiar duchowy, więc i muzyk powinien być wierzący. Co pan na to?
– Absolutnie się z tym nie zgadzam, to zbyt duże uproszczenie. To prawda, że Bach podpisywał swoje rękopisy sentencją: „Soli Deo Gloria", co po łacinie znaczy: „Tylko Bogu chwała". Ale wartości artystycznych nie mierzy się stosunkiem do wiary. Gdybym tak myślał, nie mógłbym wykonywać dzieł kompozytorów, którzy byli ludźmi niewierzącymi. Zamknęłoby mnie to na wiele muzycznie fascynujących światów.

Wiara pozwala panu zbliżyć się do muzyki? Uwrażliwia na jej duchowy wymiar?
– Czasami w zetknięciu z muzyką zostajemy obezwładnieni emocjami, które otwierają nas na przeżycie metafizyczne. Doświadczałem tego, wykonując na przykład mazurki Chopina. Oczywiście, metafizyka to nie religia. Chodzi mi o przebłysk, pewne doświadczenie, które nie do końca jest racjonalne, a może – choć nie musi – być bodźcem do refleksji religijnej.

Ta książka jest przede wszystkim o muzyce. Jest w niej dużo o publiczności, o fenomenie dzielenia się dźwiękami z drugim człowiekiem. Wyciągam wnioski z różnych moich spotkań z ludźmi. Piszę na przykład o tym, jak to jest, kiedy na swojej drodze spotyka się osobowość narcystyczną.

Artyści nie są narcyzami?
– Jest taka opinia, bo lubimy być w świetle reflektorów, ale przecież większość z nas robi to nie dla siebie, tylko dla sztuki. Ja wciąż w to wierzę. Nie każdy wirtuoz, nie każdy artysta musi być narcyzem. Znam wielu kolegów i koleżanek, którzy prowadzą wręcz ascetyczny tryb życia. Sukcesy osiągają dzięki dyscyplinie, którą sami sobie narzucają. Ktoś, kto ma wybujałe ego, może – paradoksalnie – nie unieść ciężaru sukcesu, bo jest zbyt skupiony na sobie.

Pan lubi być w dialogu?
– Tak, dlatego kameralistyka jest coraz ważniejsza w moim życiu. Od dziewięciu lat mam wspaniałą partnerkę artystyczną w osobie koreańskiej skrzypaczki Bomsori. Wiedziałem, że będziemy oddychać tym samym powietrzem, kiedy usłyszałem ją pierwszy raz w trakcie Konkursu im. Wieniawskiego, na którym wywalczyła srebrny medal.

Bardzo dużo daje mi kontakt z drugim człowiekiem przy tworzeniu muzyki. Gdy byłem młodszy, byłem bardziej skupiony na karierze wirtuoza.

Z Bomsori szykujemy następną płytę, na której na pewno będzie Sonata a-moll Paderewskiego, być może Franck lub Richard Strauss.

Wracając do pana autobiografii: „O dziennikarskich manipulacjach i nie tylko" – co to za rozdział?
– To na pewno nie jest o pani. Nie jest też wyłącznie o manipulacjach podejmowanych przez dziennikarzy. Raczej o ludziach, którzy stawiają sobie za cel manipulowanie innymi. Trochę ich w życiu spotkałem.

Ma pan na myśli Mayumi Hashikurę, Japonkę, która od trzech lat pana stalkuje, a pan niedawno ujawnił, kim ona jest?
– Osób, które rozprzestrzeniały nieprawdziwe informacje na mój temat, było kilka, ale osoba, o której pani mówi, jest ostatnio najbardziej aktywna.

Mówię w czasie teraźniejszym, bo sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Od trzech lat osoba ta utrzymuje, że jest ze mną zaręczona, i jeździ wszędzie, gdzie występuję, obojętnie, czy jest to Europa czy Azja.

Wiem, że mieszka w Tokio. Musi być niezwykle majętna, skoro stać ją na takie eskapady. Potrafiła wyśledzić moje najdrobniejsze koncerty, których nie reklamowałem w internecie, na przykład w Dworku Paderewskiego w Kąśnej Dolnej pod Tarnowem. Nie spodziewałem się jej tam zimą, przy 20-stopniowym mrozie.

Napisał pan o niej na Facebooku.
– Trochę się wtedy uspokoiła, nie przychodziła na moje koncerty. Ale niedawno grałem w Chinach i na Tajwanie. Znów ją zobaczyłem siedzącą w pierwszym rzędzie. Chyba już się otrząsnęła, nabiera odwagi i próbuje działać po staremu. Usiłuje na przykład podejść do mnie po koncercie. Zawsze informuję ochronę, żeby nie dopuszczała jej do mnie, jeśli spotykam się z publicznością i podpisuję płyty.

Nie można nic z tym zrobić?
– Dopóki nie ma z jej strony fizycznej napaści, to nie. A tego oczywiście bym nie chciał. Współpracowałem z kancelariami prawnymi w tej sprawie. Teraz nie przyjmuję już od tej osoby korespondencji ani prezentów. Listy, które mi wysyłała, przekazałem policji. Każdy zaczynał się od słów: „Mój drogi przyszły mężu". Było też zaproszenie do Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, gdzie na mnie czekała.

Niestety, nie można jej zabronić przychodzenia na koncerty. Ale na własną prośbę dostaję od organizatorów informację, w której części sali siedzi.

To na pana wpływa?
– Teraz już nie, ale na samym początku, gdy to wszystko się zaczęło, czułem, że mnie to dekoncentruje. Widząc ją kolejny raz w pierwszym rzędzie, czułem się emocjonalnie obciążony, zwłaszcza jeśli był to koncert z towarzyszeniem orkiestry, bo wtedy fortepian stoi dość blisko widowni. Bywało, że grałem, a jednocześnie kątem oka spoglądałem na pierwszy rząd i sprawdzałem, czy patrzy.

Bardzo nieprzyjemne.

XIX Międzynarodowy Konkurs Chopinowski (2-23.10.2025)

- Odbywa się w Warszawie co 5 lat i z każdą edycją jego popularność rośnie. Bilety i karnety rozeszły się już 1 października ub.r.– pierwszego dnia sprzedaży. Przesłuchania konkursowe i koncerty (inauguracyjny i laureatów) odbywają się w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej.

- **Transmisje bezpośrednie** z komentarzem ekspertów planuje TVP Kultura i radiowa „Dwójka". W internecie będzie dostępny streaming live i VOD oraz kanał konkursowy na YouTubie.

- Konkurs trwa 3 tygodnie i ma IV etapy. **W I etapie** (3-7 października) startują 84 osoby z 20 krajów, najwięcej z Chin, Japonii i z Polski; **w II etapie** (9-12 października) nie więcej niż połowa tego składu; **w III etapie** (14-16 października) nie więcej niż 20 osób; **w finale** (18-20 października) nie więcej niż 10 osób.

- **Polskę reprezentuje** 13 osób: Piotr Alexewicz, Michał Basista, Mateusz Dubiel, Zuzanna Sejbuk, Jan Widlarz, bracia Andrzej i Krzysztof Wiercińscy, Yehuda Prokopowicz, Adam Kałduński, Mateusz Krzyżowski, Piotr Pawlak, a także występujący pod flagą polską i amerykańską Antoni Kłeczek i – analogicznie – pod polską i wietnamską Viet Trung Nguyen.

- **Wyniki** poznamy ostatnie dnia przesłuchań w nocy z 20 na 21 października Sześć najwyżej ocenionych w finale osób otrzyma nagrody główne i tytuł laureata XIX Konkursu Chopinowskiego.
I nagroda to 60 tys. euro i złoty medal,
II nagroda – 40 tys. euro i srebrny medal,
III nagroda – 35 tys. euro i brązowy medal.
Laureaci IV, V i VI nagrody otrzymają kolejno 30, 25 i 20 tys. euro.
Pozostali finaliści otrzymają po 8 tys. euro.

- **Jury** konkursu to wybitni chopiniści: laureaci poprzednich konkursów, pedagodzy, a także znawcy życia i twórczości Fryderyka Chopina.
Przewodniczącym będzie znakomity wirtuoz Garrick Ohlsson, zwycięzca Konkursu Chopinowskiego w roku 1970.

Konkursy są najbardziej sprawdzoną i naturalną drogą budowania kariery solistycznej. To dzięki Konkursowi Chopinowskiemu podpisałem kontrakt z wytwórnią Deutsche Grammophon, która wydaje moje płyty

eprasa.pl 71cea234a7

– Teraz, kiedy ta osoba kupuje bilet, proszę organizatorów, żeby zmieniali jej miejsce z pierwszego rzędu na bardziej odległe.

Najgorzej było, gdy dwa razy lecieliśmy tym samym samolotem. Modliłem się, żeby nie trafić na miejsce koło niej. Siedziała na szczęście gdzie indziej, ale co chwilę wstawała, spacerowała po samolocie i próbowała zaczepiać mnie wzrokiem. Odwracałem głowę.

Gorzka cena sławy. Przyniosło ją panu między innymi zwycięstwo w Konkursie Chopinowskim w 2005 roku. Jak to jest wygrać taki konkurs w wieku 20 lat?
– Trudno mi uwierzyć, że upłynęło tyle czasu. Pamiętam, że działo się wtedy bardzo dużo w bardzo krótkim czasie, a ja starałem się zachować świeżość myślenia. Już wcześniej świadomie przygotowywałem się – technicznie i psychicznie – na cztery etapy tych rozgrywek.

Udział w Konkursie Chopinowskim wiąże się z wielką presją, która tworzy się zarówno w psychice uczestnika, jak i w otoczeniu. Pragnienie wygranej, oczekiwania bliskich, porównywanie się z innymi uczestnikami – to wszystko sprawia, że ciśnienie rośnie. Starałem się o tym nie myśleć.

Unikałem więc konkursowej atmosfery. Miałem wynajęte mieszkanie daleko od Filharmonii Narodowej, poza centrum Warszawy. Tam mogłem się odseparować od szumu konkursowo-medialnego.

Nie rozmawiałem z dziennikarzami, unikałem nawet krótkich wypowiedzi dla radia czy telewizji. Nie czytałem gazet, nie odpalałem internetu, żeby się nie sugerować opiniami. Nie słuchałem występów kolegów. Żyłem spokojnie, skoncentrowany wyłącznie na programie i na tym, co już sobie wcześniej zaplanowałem, jeśli chodzi o interpretację.

Paradoksalnie, najwięcej emocji towarzyszyło mi przed konkursem, podczas eliminacji do głównej rozgrywki. Odbywały się w małej salce w Pałacu Kultury i Nauki, do dyspozycji mieliśmy tylko fortepian Yamaha, tymczasem ja gram głównie na steinwayu. Warunki były mało komfortowe, obawiałem się, że odpadnę.

Konkurs Chopinowski zawsze był moim marzeniem.

Już w dzieciństwie, w średniej szkole muzycznej i na studiach, kiedy naprawdę zacząłem się wgłębiać w Chopina, dążyłem do tego, aby to marzenie spełnić. Nie podchodziłem już potem do żadnego konkursu.

Nadal uważam, że konkursy są najbardziej sprawdzoną i chyba naturalną drogą budowania kariery solistycznej. To dzięki Chopinowskiemu podpisałem kontrakt z wytwórnią fonograficzną Deutsche Grammophon, która wydaje moje płyty do dzisiaj.

Po wygranej wiedziałem, że to dopiero początek drogi, której przebieg zależy wyłącznie ode mnie, od tego, jak wykorzystam to zwycięstwo. A więc od jakości koncertów, które będę grał, i od tego, jak będą odbierane.

Na konkursie był pan spokojny. A po ogłoszeniu wyników?
– Wtedy właśnie zaczął się trudny czas. Mnóstwo ludzi, których nie znałem, znalazło się wokół mnie, musiałem podejmować bardzo dużo decyzji w kwestiach, w których nie miałem doświadczenia, jak wybór właściwej agencji koncertowej i menedżerów na początek kariery międzynarodowej.

Miałem szczęście, że zwycięzca z 1975 roku Krystian Zimerman ze swoimi telefonami i poradami pomógł mi bardzo, dzieląc się swoim doświadczeniem i znajomością rynku.

Po konkursie laureaci zaczynają wielką trasę koncertową na świecie, do której się zobowiązują, przystępując do rozgrywek. To dość długi dystans, trzeba być na to przygotowanym. Konkurs nie kończy się z chwilą zakończenia przesłuchań.

Otrzymał pan wówczas prestiżową nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków.

• **Filharmonia Narodowa w Warszawie. Rafał Blechacz odbiera gratulacje po ogłoszeniu wyników XV Konkursu Chopinowskiego (22.10.2005)** FOT. PIOTR BERNAŚ/AGENCJA WYBORCZA.PL

– To było wspaniałe, ponieważ oprócz złotego medalu przyznano mi wszystkie nagrody specjalne – za najlepsze wykonanie mazurków, poloneza, koncertu i sonaty. Nagroda za mazurki bardzo mnie ucieszyła, ponieważ uchodzą za najtrudniejszy gatunek chopinowski. Co więcej, trzy mazurki z op. 56, które wtedy wykonałem, należą do najbardziej wymagających.

Ale potem przez długi czas podchodziłem do mazurków z rezerwą. Na pewno nie zamierzałem ich nagrywać, uważałem, że to zbyt odpowiedzialne zadanie. A jednak stopniowo je dołączałem do programu moich koncertów. Opus po opusie, czasami pojedynczy mazurek, który grałem na bis. I tak z czasem nauczyłem się wszystkich.

Na Konkursach Chopinowskich rzadko kto gra mazurki przekonująco. Wydaje się, że większość nie wie, o co w nich chodzi.
– Były nawet takie konkursy, w których tej nagrody w ogóle nie przyznano.

Rzeczywiście jest tak, że niewielu pianistów po nie sięga. Niektórzy wręcz świadomie z nich rezygnują, inni wybierają tylko niektóre opusy.

Mazurki można rozmaicie interpretować, ale trzeba się też trzymać w ryzach stylu, uwzględniając akcenty rytmiczne i charakter typowy dla tańców polskich – inaczej mazurek przestaje być mazurkiem, a staje się na przykład walcem. A więc z jednej strony duża swoboda, z drugiej wyraźny rys stylistyczny. To wszystko sprowokowało mnie do przygotowania i zarejestrowania w studiu nagraniowym pięciu różnych interpretacji każdego z mazurków. Jest ich 58, ja nagrałem na razie 25. Następną sesję studyjną planuję na lipiec przyszłego roku.

25 razy pięć. Olbrzymi wysiłek!
– Niektóre wersje są do siebie podobne, różnią się tylko niuansami, wydobywaniem na wierzch innej warstwy utworu. Mocniej coś akcentuję lub – przeciwnie – gram to łagodniej, jak w przypadku kwint otwierających Mazurek C-dur op. 56. Po pewnym czasie słucham tego materiału i – mając już dystans – wybieram wersję, która ostatecznie trafi na płytę. Taki spokojny proces pracy bardzo mi odpowiada.

Premiera albumu – bo to będzie dwupłytowy album – nastąpi nie wcześniej niż na Boże Narodzenie przyszłego roku lub na początku 2027.

Natomiast zupełnie niedawno Deutsche Grammophon podjęła decyzję o wydaniu już w październiku tego roku pierwszej partii nagranych przeze mnie 25 mazurków.

Szykuje się także premiera mojej płyty z koncertami fortepianowymi Mozarta i Beethovena w tonacji c-moll, uzupełnione kilkoma utworami na fortepian solo, również w c-moll.

Co takiego jest w mazurkach, że są takie nieuchwytne?
– Poetyckość, finezja, eteryczność mają tu olbrzymie znaczenie. Polski rytm, francuski smak. Nie wystarczy wielogodzinne ćwiczenie przy fortepianie, ale specyficzna wrażliwość na coś metafizycznego, co niekiedy wyłania się z niektórych utworów. Często decyduje o tym magia chwili, która rodzi się ze spotkania wykonawcy z publicznością.

To chyba trudne do osiągnięcia we współczesnych olbrzymich salach koncertowych, jak na przykład hamburska Elbphilharmonie?
– Zapewne, chociaż mam w tej kwestii pewne sukcesy. Pamiętam do dzisiaj koncert w Hamburgu, co prawda nie w Elbphilharmonie, która była dopiero w budowie, lecz w Laeiszhalle. To też jest dosyć duża sala. Druga część recitalu była wypełniona tylko muzyką Chopina. Skończyłem grać Mazurek a-moll op. 17, który kończy się niemal szeptem, akordem, który jeszcze długo wybrzmiewa, aż do całkowitej ciszy. Stało się coś niezwykłego. Dźwięk już zaniknął, a cisza trwała. Ludzie nie klaskali, jakby chcieli zachować ten moment jak najdłużej. Miałem wrażenie, jakby widownię opanowała jakaś hipnoza.

Zaczarował pan publiczność.
– Mówi się, że mazurki Chopina to swego rodzaju myśli kompozytora. I w zależności od tego, w jakim był nastroju, były ujściem dla tych myśli, łatwą formą wypowiedzi. Być może czasami nawet nie chciał się dzielić z innymi tymi myślami czy emocjami lub nie chciał nazywać ich wprost. Ale dysponował wspaniałym kompozytorskim warsztatem, wrażliwością sprawiającą, że dźwięki były najbardziej naturalnym dla niego językiem intymnej wypowiedzi.

Nie miał pan potrzeby zamknięcia zeszytu z Chopinem i spróbowania czegoś innego?
– Kilkakrotnie, ale nie był to bunt. Chcąc koncertować na świecie, musiałem siłą rzeczy poszerzyć repertuar. W Niemczech i we Francji niekoniecznie chcieli tylko Chopina, wymagali Mozarta, Haydna, Beethovena. Grałem dużo Debussy'ego i Szymanowskiego – to także eteryczny język dźwiękowy, jeszcze bardziej wyrafinowany harmonicznie niż Chopin. Później był powrót do Bacha, od którego dzieł organowych tak naprawdę zaczynałem przygodę z muzyką.

Czyli musi się pan czasem dostosowywać do wymagań publiczności i organizatorów.
– Nigdy nie dawałem się do niczego zmuszać. Czułem, że jeżeli się będę nawet trochę w małym procencie zmuszał, to ta interpretacja nie będzie prawdziwa. Nawet może być bardzo dobra, ale dla mnie to za mało. I wtedy publiczność też może wyczuć jakiś taki fałsz emocjonalny.

Kiedy na przykład na rynku amerykańskim niektórzy organizatorzy prosili o Rachmaninowa, o muzykę rosyjską, wtedy ja z takiego koncertu rezygnowałem albo proponowałem na przykład Brahmsa. Dlatego że nie grałem jeszcze Rachmaninowa publicznie i nie jestem gotowy na publiczną prezentację jego muzyki.

Żyjemy w czasach wojen, wielkich konfliktów. Należy pan do artystów, którzy starają się tego nie widzieć?
– Nie mogę i nie chcę się separować. Swoją płytę z sonatami Chopina zadedykowałem dwa lata temu Ukrainie. Oczywiście, kiedy jestem z utworem sam na sam, koncentruję się na tym, co w nim jest, na muzyce. Ale w życiu codziennym jestem absolutnie świadomy tego wszystkiego, co dzieje się teraz na świecie, śledzę sytuację polityczną.

Ludzie po koncercie o to pytają?
– Nie, właśnie nie pytają. Być może to jest też związane z tym, że tuż po koncercie wszyscy są jeszcze jakby pod władzą i wrażeniem muzyki.

Muzyka klasyczna jest naładowana różnymi bardzo silnymi emocjami. Jest Symfonia „Eroica" Beethovena, jest „Etiuda rewolucyjna" Chopina.
– Ale mimo wszystko te emocje nie są nigdy w muzyce nazwane jednoznacznie, bo dźwięk nie jest jednoznaczny. Każdy może go inaczej odbierać. W muzyce mamy przestrzeń absolutną. Każdy może na swój sposób, według swojej wrażliwości, wyobraźni, wspomnień, wypełnić ją w taki sposób, jaki jest mu bliski.

Dlaczego jednak większość artystów muzyków nie chce się mieszać w politykę? Przecież są autorytetami, mają wpływ na ludzi. Mogą apelować do sumień.
– Myślę, że to jest związane z tym, że gramy koncerty dla wszystkich, bez względu na poglądy polityczne, o które nie pytamy. Każdy może przyjść na koncert, niezależnie od tego, jakie ma upodobania, na kogo głosował, w jakiej jest partii. Jeżeli dany artysta, dany wykonawca jednoznacznie wypowie się za określonym politykiem lub przeciw niemu, to się może położyć cieniem na jego pracy. Słuchacze mogą się na niego zablokować emocjonalnie.

Ludzie, którzy przychodzą na koncerty muzyki klasycznej, szukają azylu, tak?
– Być może chcą się odłączyć choć na chwilę od rzeczywistości, która czasami jest bardzo brutalna, i wznieść ku wyższym wartościom.

Niektórych to właśnie irytuje.
– Ludziom potrzebny jest reset, jakaś chwila zapomnienia, żeby było łatwiej żyć. Dla jednych źródłem tego resetu będzie serial, dla innych koncert. ●

Rafał Blechacz

• Rocznik 1985 r. Pochodzi z Nakła nad Notecią. Muzyczną edukację odebrał w Bydgoszczy. Najpierw w Państwowym Zespole Szkół Muzycznych, a potem w Akademii Muzycznej. W 2005 r. wygrał XV Konkurs Chopinowski. „Jak można tak dojrzale grać Chopina, mając tylko 20 lat! Tak Chopina gra Rafał BLECHACZ. Gra tak, że Chopin może powiedziałby: Tak, to moja muzyka" – pisał wtedy o jego występach muzykolog i kryty Jan Popis.

• Blechacz dzieli czas między Polskę i Berlin, gra blisko 50 koncertów rocznie. Jego płyty wydaje słynna wytwórnia fonograficzna Deutsche Grammophon, z którą kontrakt podpisał tuż po wygranej w Konkursie Chopinowskim, jako drugi w historii Polak – po Krystianie Zimermanie.

• Wśród prestiżowych nagród, któ re otrzymał są dwa Fryderyki za album „Chopin". W 2024 r. wygrał je w kategorii „Najwybitniejsze nagranie muzyki polskiej" oraz „Album roku recital solowy". Napisał pracę doktorską o filozofii w muzyce. Od 2020 roku jest wykładowcą swojej macierzystej uczelni – Akademii Muzycznej w Bydgoszczy

eprasa.pl 71cea234a7

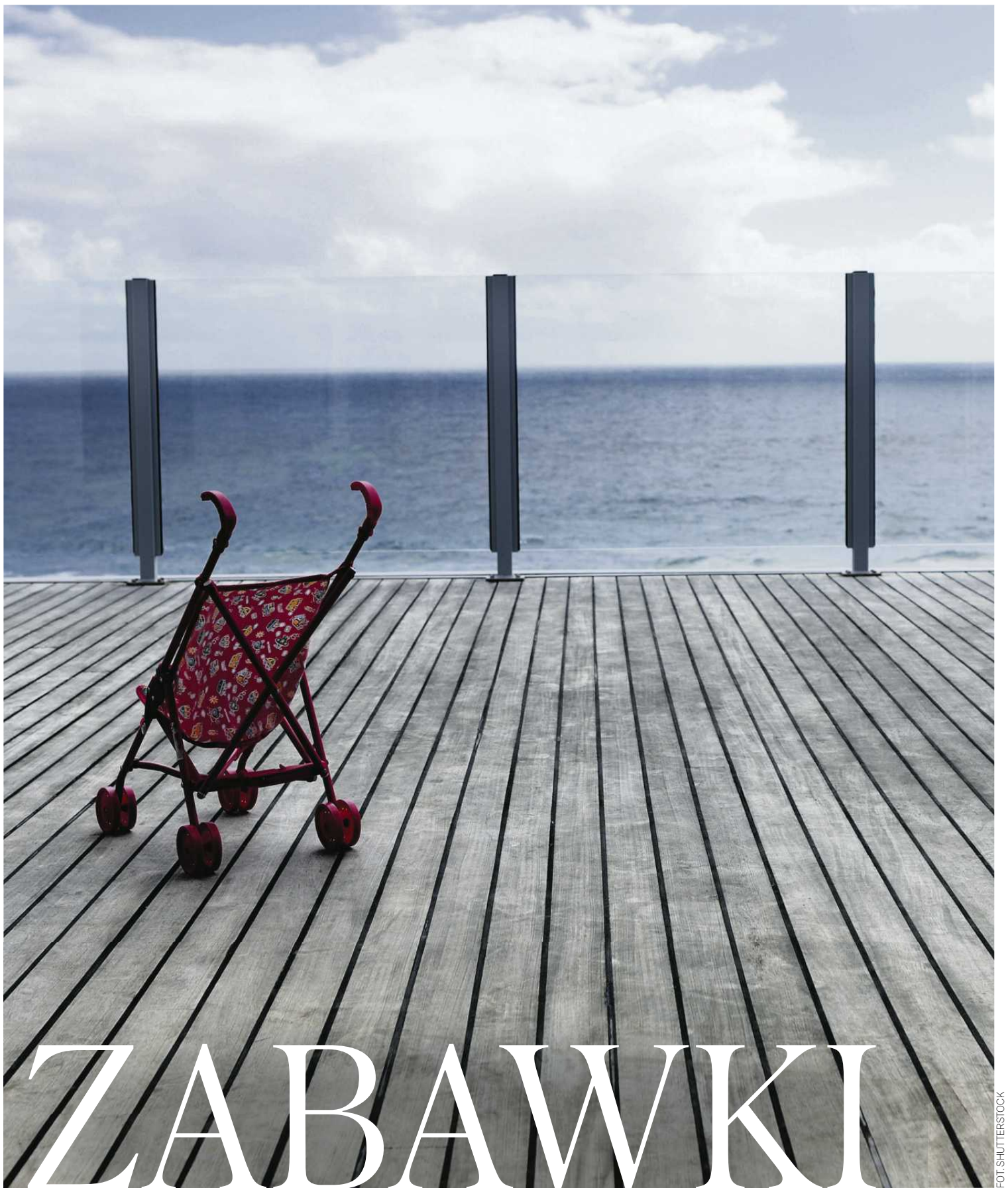

FOT. SHUTTERSTOCK

ZABAWKI ZOSTANĄ NA STRYCHU

Wiele Szwedek mówiło mi, że długo czekało, aż wreszcie włączy im się ten słynny zegar biologiczny.

Z **KATARZYNĄ TUBYLEWICZ***, AUTORKĄ KSIĄŻKI „NIE CZEKAM NA SZKLANKĘ WODY. O ŚWIADOMEJ NIEDZIETNOŚCI", ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

MONIKA REDZISZ: „Niematki", „nigdyrodzicielki", „dzieciowolne"... Dlaczego szukasz nowych słów na określenie kobiet, które nie chcą mieć dzieci?
KATARZYNA TUBYLEWICZ: Bo słowo „bezdzietne", którym się je zwykle określa, sugeruje brak, niepełność. Nie ma słów określających takie osoby, które nie byłoby nacechowane negatywnie, a jak wiemy od Wittgensteina, język określa granice naszego świata.

Oczywiście z czasem wydźwięk różnych słów się zmienia, zyskują inny ładunek emocjonalny w zależności od tego, co o danym zjawisku myśli społeczeństwo. Ja staram się używać słowa „niedzietność", jest bardziej neutralne. Choć podoba mi się też czupurne słowo „bezdzietnice", które znalazłam w książce Mony Chollet „Czarownice. Niezwyciężona siła kobiet".

Wydawałoby się, że dzisiaj decyzja o tym, czy ktoś będzie mieć dzieci, czy nie, nie powinna budzić specjalnych emocji. Żyjemy przecież w czasach, kiedy rola kobiety nie sprowadza się już do bycia matką. Tymczasem toczy się jakaś podskórna wojna pomiędzy matkami a niematkami – licytacja na argumenty, czyja decyzja była słuszna.
– Oczywiście nikt już nie mówi jak Napoleon, że kobiety to maszyny do rodzenia dzieci, i żaden prezydent demokratycznego kraju nie wygłasza przemówień jak Theodore Roosevelt o tym, że kobiety, które nie chcą dzieci, są niebezpieczne dla społeczeństwa i są „przaśnym chlebem".

Ale patriarchalna nienawiść do kobiet, które nie chcą „służyć" swoją ciążą społeczeństwu, wciąż istnieje. Poza tym między ludźmi zawsze czai się chęć wzajemnego oceniania, porównywania się, nieumiejętność zaakceptowania tego, że ktoś dokonał innego wyboru niż ja.

„Egoistki!" – piszą ludzie w internecie, bo to tam jest dziś najwięcej awantur, a rodzina pyta zatroskana: „Kto ci poda szklankę wody na starość?!".

Lubimy sobie wyobrażać w późnym kapitalizmie, że zawsze wybieramy to, co chcemy, bo tacy z nas świadomi indywidualiści, ale jesteśmy nadal istotami stadnymi, które bardzo starają się dostosowywać do grupy. Inność grupę drażni, odbiera jej członkom pewność siebie. Zwłaszcza jeśli inni realizują nasze ukryte marzenia czy pragnienia, do których nie chcemy się przed sobą przyznać, albo jeśli wydaje nam się, że oni mają w życiu łatwiej niż my i że to niesprawiedliwe.

Zazdrościmy niedzietnym?
– Jedni podświadomie zazdroszczą, inni współczują, jeszcze inni akceptują ten wybór. Społeczne reakcje na świadomą niedzietność to nie jest monolit, bohaterki moich reportaży też miały w tym temacie różne doświadczenia.

Za to żyjemy w czasach, w których na demografię mają wpływ wysokie oczekiwania, jakie stawia się rodzicom. Są ludzie, którzy z tego powodu na dzieci się nie decydują, bo czują, że nie dadzą rady. Są i tacy, którzy już mają dzieci i też czują, że nie dają rady.

Żałowanie rodzicielstwa to temat tabu, o którym napisała odważną i kontrowersyjną książkę izraelska socjolożka Orna Donath. W Polsce badania na ten temat przeprowadził prof. Konrad Piotrowski z SWPS w Poznaniu.

Wynika z nich, że aż 13 procent młodych rodziców – w wieku od 18 do 40 lat – żałuje, że zdecydowało się na potomstwo.

Dla porównania z podobnych badań międzynarodowych wynika, że decyzji o zostaniu rodzicami żałuje 7 procent rodziców niemieckich i tyleż samo amerykańskich.

Coraz częściej mówi się o wypaleniu rodzicielskim, prawda?
– Tak, to dość częste w Polsce. Rodzice nie nadążają – mają zbyt wiele ról do odegrania w życiu. Mają być jednocześnie ludźmi zrealizowanymi zawodowo i mieć bardzo dużo czasu dla dzieci, bo jesteśmy w myśleniu o rodzicielstwie perfekcjonistami.

Zwłaszcza kobiety mają trudno; bo nawet w równouprawnionej Szwecji spada na nie więcej obowiązków domowych niż na mężczyzn. To wszystko powoduje, że ludzie, którzy mówią, że nie chcą mieć dzieci, naciskają na jakiś drażliwy guzik. „Myśmy się tak poświęcili, a oni nie zamierzają?".

Rodzina nuklearna ma dziś spore problemy. To tylko polscy politycy nieustannie trąbią o tym, że to „podstawowa komórka społeczna", świętość.

W Szwecji tak nie jest?
– W Szwecji państwo opiekuńcze stawia na pomaganie jednostce, to człowiek jest najważniejszy, a nie „podstawowa komórka społeczna". W Polsce też warto by było się nad takim podejściem zastanowić, bo ułatwia to podmiotowe traktowanie obywateli.

To, co uważamy dziś za tradycyjny model rodziny, to zresztą historycznie zjawisko dość nowe i trudne w realizacji. Jak mówi socjolog profesor Szlendak, „ludzkość znacznie dłu-

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

żej wierzyła w to, że – zgodnie z afrykańskim przysłowiem – do wychowania dziecka potrzeba całej wioski".

Współcześnie wierzymy, że małżeństwo zawiera się z miłości i że ma być ono nie tylko instytucją służącą wychowaniu dzieci i wspólnej ekonomii, ale także związkiem erotycznym i romantycznym. To trudne nie tylko dlatego, że mamy jako gatunek tendencję do seryjnej monogamii, ale także dlatego, że mamy coraz większe oczekiwania względem miłości i coraz trudniej jest nam tę miłość znaleźć. Niektórzy nie mają dzieci po prostu dlatego, że nie znaleźli w odpowiednim czasie partnera lub partnerki, z którymi dzieci by mieć chcieli.

Bywa też, że decyzja o niedzietności jest wyrazem buntu przeciw rodzinie nuklearnej i jej stylowi życia, który w swojej istocie bywa dość wsobny i egoistyczny: rodzina przede wszystkim, wigilia tylko dla najbliższych, moje dzieci przodem i te sprawy.

Cóż, przez wieki rodzicielstwo było niemal jedyną drogą, absolutnie oczywistym modelem...
– Rzeczywiście pokolenie naszych rodziców się nad tym wszystkim nie zastanawiało. Wiadomo było, że trzeba się zakochać, wziąć ślub i mieć dzieci. Jeżeli komuś się to nie udało, to była katastrofa, niepowodzenie życiowe. Dziś jest zupełnie inaczej, i to nie tylko w miastach.

Jedna z bohaterek mojej książki wychowana na wsi opowiada, że jej babcia miała bardzo dużo dzieci. Starsze były potrzebne do pracy na roli, a najmłodsze miało zostać z rodzicami i opiekować się nimi na starość. Jej rodzice mieli mniej dzieci, ale nadal tak myśleli. Jednak najmłodsza siostra, dzisiejsza trzydziestolatka, jako pierwsza w rodzinie przełamała to społeczne oczekiwanie i opuściła dom rodzinny. Wyjechała do miasta. Dla jej rodziców to był szok.

Sytuacja demograficzna zmieniła się diametralnie. Dzieci jest mało, a będzie jeszcze mniej. Choćby chciały, nie są w stanie zaopiekować się całą armią seniorów w rodzinie.
– To prawda, kryzys demograficzny jest faktem. W roku 2040 liczba 80-latków w Polsce zwiększy się o 80 procent. W 2060 roku ponad połowa mieszkańców naszego kraju będzie miała ponad 50 lat. Co będzie w 2080?

Ten sam problem mają Szwedzi, którzy jeszcze niedawno szczycili się sporą dzietnością. Finlandia odnotowała w 2024 roku liczbę urodzeń najniższą od roku 1776. W Chinach w 2022 roku padł kolejny rekord niskiej dzietności. Korea Południowa ma dziś wskaźnik dzietności 0,7. Włosi z niską dzietnością borykają się od lat.

Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo złożone, od oczywistych typu: trudniej o stabilizację w warunkach prekariatu, do bardziej subtelnych i zahaczających o wszystkie wymiary istnienia. To jest jakaś wielka rewolucja prywatności. Politycy, zamiast się zastanawiać, jak zmusić kobiety do rodzenia, powinni intensywnie myśleć nad tym, jak przeorganizować starzejące się społeczeństwa. Bo takie przez jakiś czas będą.

Jak długo, nie wiemy. Demografia jest nauką pełną pomyłek i błędnych przewidywań. W latach siedemdziesiątych zeszłego wieku po książce amerykańskich demografów Paula i Anne Ehrlichów pod tytułem „Bomba demograficzna" na świat padł dziki strach, że wkrótce spadnie nań straszliwa klęska głodu z powodu przesadnego wzrostu populacji. Przepowiednia się nie sprawdziła.

Tylko jak przeorganizować społeczeństwa? Nie jest to łatwy temat. Na hasło „wydłużmy wiek emerytalny" wiele osób reaguje alergicznie.
– Gdyby zacząć mówić o walce z ejdżyzmem na rynku pracy, byłoby na pewno łatwiej. W Szwecji coraz częściej pisze się o ludziach w późnośrednim wieku, którzy tworzą kolektywy mieszkaniowe z przyjaciółmi, żeby sobie na starość wzajemnie pomagać i zachować niezależność. To są znacznie lepsze metody na kryzys demograficzny od zarzucania egoizmu ludziom, którzy nie chcą dzieci.

Nietolerancja zdarza się także w drugą stronę. Pamiętasz, jaka była afera wokół publicznego karmienia piersią?
– To ciekawe; sama urodziłam i wychowałam syna w Szwecji, gdzie publiczne karmienie piersią nigdy nie było problemem; nawet mi do głowy nie przyszło, że mogłoby być. Rzeczywiście bywa, że ludzie świadomie niedzietni i na forach dyskusyjnych, i w przestrzeni publicznej dają upust niechęci do głośnych rodzin z dziećmi. Mam nadzieję, że to zjawisko będzie zanikało, wystarczy przecież odrobina wzajemnej empatii.

Ja sama jestem szczęśliwą mamą dorosłego syna, ale coś mnie z niedzietnymi łączy. Wychowywałam Daniela w Szwecji, w której jest bardzo mało jedynaków – tylko 14 procent dzieci nie ma rodzeństwa i jest sporo uprzedzeń względem rodzin jednodzietnych. Wielokrotnie słyszałam nachalne pytania: „To kiedy drugie?".

Naprawdę? W tej słynącej z tolerancji Szwecji?
– Tak! W kraju, w którym tęczowa rodzina złożona z pary gejów wychowujących bliźniaczki z matki surogatki, o której pisałam w mojej książce „Szwedzka sztuka kochania", nie mogła się nadziwić, dlaczego ja w ogóle chcę z nimi rozmawiać. Uważali się za szwedzkich Kowalskich, którzy prowadzą nudne życie.

W tej samej Szwecji przedszkolanki sugerowały mi, że już pora na drugie dziecko, zdarzało mi się słyszeć, że to egoizm nie dać jedynakowi rodzeństwa. Raniło mnie to. Miałam poczucie, że moja rodzina jest mała, ale pełna, a w dodatku wiedziałam, że po drugiej stronie Bałtyku jedynaków jest mnóstwo. Ale to doświadczenie sprawiło, że łatwiej mi dziś empatyzować z kobietami, które nie chcą mieć dzieci i słyszą podobne zdania.

W życiu większości kobiet bez względu na to, czy mają dzieci, czy nie, przychodzi długi czas, kiedy już nikomu nie matkują. Także te kobiety, które uważają bycie mamą za swoją podstawową życiową rolę, któregoś dnia staną się w pewnym sensie niematkami, bo nie będą już miały małych dzieci.

Będą szczęśliwsze, jeśli nie będzie uprzedzeń względem kobiet, które nie realizują się przez funkcję opiekuńczą. Jest coś toksycznego w wiecznym matkowaniu, uzależnieniu od tej roli, zwłaszcza jeśli ogranicza się przez to wolność dorosłych dzieci albo przerabia męża na bezradną istotę, która sama nie ugotuje sobie zupy.

Czy w Szwecji niedzietnym jest łatwiej? Z jakimi reakcjami się spotykają?
– Szwecja kulturowo pod tym względem jest inna od Polski, bo Szwedzi rzadziej niż Polacy wyrażają opinie wprost. Unikają konfliktów. W tym sensie osobom niedzietnym jest łatwiej. Z drugiej strony w Szwecji bardzo kocha się dzieci i mitologizuje czas dzieciństwa.

To kraj Astrid Lindgren, jednej z najlepszych literatur dla dzieci na świecie, kraj, w którym dzieci są w centrum uwagi i traktowane są z dużym szacunkiem. To piękne i bardzo to cenię. Dlatego osoby, które nie chcą mieć dzieci, twierdzą, że czują się inne.

Jednocześnie takich osób jest coraz więcej, dzietność spada, co oczywiście niepokoi polityków. Przy rządzie została powołana specjalna komisja, która bada sprawę. W prasie czytam o tym, że rodzice dorosłych dzieci coraz częściej cierpią z tego powodu, że ich dzieci nie chcą mieć dzieci.

Niektórzy marzyli, by zostać dziadkami, zachowali na strychu zabawki i ubranka swoich pociech, żeby dać je wnukom. Z jednej strony chętnie jeżdżą na wakacje do Tajlandii i zajmują się sobą, z drugiej jednak tęsknią za wnukami. Po szwedzku mówi się, że wnuki to „deser życia".

W prasie dominuje narracja, że wszystkiemu winien jest lęk przed kryzysem klimatycznym; dużo się też mówi o generalnym braku wiary w przyszłość. Myślę, że powody są bardziej skomplikowane i jest ich wiele. I dlatego nikt nie wie, jak temu zaradzić. Mamy do czynienia z duchem czasów, a ducha czasów nie zmienia się prostymi decyzjami politycznymi.

Polska jest jednym z krajów w Europie, w którym dzieci jest najmniej – przeciętna Polka rodzi 1,29 dziecka. Ale o ile u nas jest to zrozumiałe – trudno zdecydować się na dziecko, kiedy nie stać cię na mieszkanie, pracujesz latami na umowie śmieciowej, a w razie powikłań ciąży narażasz własne życie – o tyle w Szwecji jest to zaskakujące.
– Tak, w krajach skandynawskich zawsze była świetna polityka prorodzinna i dzieci rodziło się więcej niż gdzie indziej. Teraz przeciętna Szwedka rodzi 1,52 dziecka i nie zapowiada się, by miało się to zmienić. Spadła dzietność także w Norwegii i Danii.

Sytuacja wyraźnie pogorszyła się około 2010 roku wraz ze światowym kryzysem gospodarczym. Młodzi Szwedzi są w gorszej sytuacji finansowej, niż byli ich rodzice. Tu także jest coraz więcej prekariatu. W miastach coraz trudniej o mieszkania; horrendalnie wysokie są ich ceny, na mieszkanie komunalne w Sztokholmie czeka się 20 lat! Wynajęcie też do tanich i łatwych nie należy. Życie stało się trudniejsze, ale dzieci rodziły się też w trudnych czasach. Teraz jest inaczej.

Ile kobiet iet deklaruje, że nie chce mieć dzieci? Jaka to skala?
– Nie ma takich danych. Trudno byłoby je zgromadzić, bo nie jesteśmy przecież ukuci z granitu; mamy prawo do zmiany stanowiska. W książce opisuję szwedzką artystkę polskiego pochodzenia, która na długi czas jednym z głównych tematów swojej sztuki uczyniła właśnie temat świadomej niedzietności. To był ważny głos w dyskusji na te tematy w Szwecji.

Kiedy miała 40 lat, poczuła, że jednak chce mieć dzieci, i została matką. Jej decyzja była świadoma zarówno wcześniej, jak i później. Statystycznie wiadomo jedno: co piąta kobieta w zachodniej Europie pomiędzy 20. a 40. rokiem nie ma dzieci.

Kiedy zbierałaś materiały do książki, jakie argumenty za tym, żeby nie mieć dzieci, słyszałaś najczęściej?
– Ekonomiczne, problemy ze znalezieniem miłości i partnera, brak instynktu macierzyńskiego, trudności w podjęciu decyzji.

Żyjemy w świecie, w którym chcemy mieć dzieci z miłości i z wyboru, a nie dlatego, że to nasz obowiązek. Jeszcze w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych trzeba było zrealizować konkretny model życia, teraz modeli mamy więcej. Dawniej mieliśmy poczucie, że są pewne etapy w życiu, które trzeba przejść w określonym wieku; teraz można dłużej czekać, zastanawiać się, szukać. Czasami to szukanie trwa tak długo, że w końcu na dzieci jest już za późno.

Zmieniły się społeczne role kobiet i mężczyzn. Kobiety są często lepiej wykształcone, zarabiają lepiej niż mężczyźni i trudniej im znaleźć partnerów na tym samym poziomie. Okazuje się, że nawet w Szwecji kobiety na ojców swoich dzieci nadal najchętniej wybierają mężczyzn, którzy lepiej od nich zarabiają i mają takie jak one wykształcenie.

Jak mówi profesor Szlendak, nie jest to żaden atawizm, tylko racjonalna decyzja – kobieta jest na tyle długo w ciąży i na tyle długo musi się opiekować dzieckiem, że potrzebuje kogoś, kto będzie ją wspierał.

W wielu krajach rośnie liczba kobiet, które mają poważny problem ze znalezieniem odpowiedniego partnera. W Polsce widać to zwłaszcza w dużych miastach. Profesor Piotr Szukalski z Uniwersytetu Łódzkiego mówi, że niby nie powinno tak być, bo chłopców statystycznie rodzi się więcej niż dziewczynek. Ale kobiety są bardziej przedsiębiorcze od mężczyzn, i to one uciekają z najsłabiej rozwiniętych, peryferyjnych obszarów. W efekcie w powiatach wielkomiejskich wśród trzydziestolatków mamy po stu mężczyzn na sto piętnaście czy sto dwadzieścia kobiet.

Jednak bohaterowie twojej książki to bardzo często ludzie żyjący w udanych, szczęśliwych związkach. Dlaczego oni nie chcą mieć dzieci?
– Często słyszałam, że nie czują się na ten wybór gotowi. Myślę, że to też jest duch naszych czasów – w późnym kapitalizmie nieustannie zastanawiamy się nad wyborami.

Wiele kobiet mówiło mi o tym, że po prostu nie pragną dzieci. Nie odczuwają instynktu macierzyńskiego, który miał się, jak im wmawiano, w nich obudzić. Długo czekały na moment, kiedy włączy im się wreszcie ten słynny zegar biologiczny, aż wreszcie stwierdzały, że nie będą robić niczego na siłę, wbrew sobie.

Instynkt macierzyński i tęsknota za dzieckiem nie są czymś oczywistym dla każdej kobiety. Miłość macierzyńska, która jest dla nas czymś naturalnym, wręcz zwierzęcym, uwa-

Czasami to szukanie miłości trwa tak długo, że w końcu na dzieci jest już za późno

FOT DAREK LEWANDOWSKI

*Katarzyna Tubylewicz

• pisarka, kulturoznawczyni, dziennikarka i tłumaczka literatury szwedzkiej. Autorka reportaży: „Samotny jak Szwed? O ludziach Północy, którzy lubią bywać sami", „Moraliści. Jak Szwedzi uczą się na błędach i inne historie", „Szwedzka sztuka kochania. O miłości i seksie na Północy" oraz nie-przewodnika „Sztokholm. Miasto, które tętni ciszą". Prowadzi podkast „Morze możliwości". Jej nowa książka **„Nie czekam na szklankę wody"** (wyd. Czarne) ukaże się 15 października.

eprasa.pl 71cea234a7

runkowana jest także kulturowo. Élisabeth Badinter w „Historii miłości macierzyńskiej" opowiada o stuleciach dobrze udokumentowanej macierzyńskiej obojętności we Francji.

W XVIII wieku w Paryżu z 21 tysięcy dzieci rodzących się co roku w zamożnej klasie mieszczańskiej jedynie tysiąc było karmionych piersią przez matki. Reszta trafiała do mamek na wieś; ich własne matki ich w ogóle nie widywały. Jeśli dziecko umierało, zdarzało się, że rodzice nawet nie przychodzili na pogrzeb. Zwraca uwagę na ten temat także Joanna Kuciel-Frydryszak w „Chłopkach" – córka zostaje zgwałcona na pastwisku, a reakcja matki jest pełna obojętności.

Pojawia się też wątek lęku przed porodem, co jest trochę zaskakujące w czasach znieczuleń, cesarskiego cięcia i dobrej opieki okołoporodowej.
– Jedna z moich bohaterek opowiada, że ten lęk zaczął się u niej w podstawówce, kiedy ksiądz pokazał im w szkole film o aborcji – to wtedy postanowiła, że nigdy nie będzie miała dzieci. Inna mówiła, że bardzo bała się tego, co stanie się z jej ciałem po porodzie. Jesteśmy pod bardzo silnym wpływem wyidealizowanych obrazów tego, jak kobiece ciało ma wyglądać.

Mnie bardzo poruszyły opowieści Polek, które nie chcą dzieci, bo pragną czegoś uniknąć, przerwać jakiś łańcuch cierpienia. Czasem było to związane z chorobą genetyczną, której nie chciały przekazać swoim dzieciom albo wnukom, czasem z problemami psychicznymi.

Ale najczęściej wyszły z trudnych domów. Miały nieszczęśliwe dzieciństwo, przeszły psychoterapię, uporały się ze swoją traumą, ale nie mają pewności, czy nie przeniosłyby złych wzorców na swoje własne macierzyństwo. Nie chcą fundować dzieciom kolejnego trudnego dzieciństwa. Wydaje mi się, że to dowód wielkiej odpowiedzialności. Na pewno nie jest to egoizm.

Ale czy nie kryją się za tym zbyt wygórowane oczekiwania względem rodzicielstwa? Perfekcjonizm?
– To też. To bardzo silna tendencja w wielu krajach, na przykład w Chinach. Rodzice mają tam zapewnić dziecku wszystko: najlepsze warunki życia, najlepszą edukację. Jeśli ich na to nie stać, lepiej w ogóle nie mieć dziecka. W Korei, w której dzietność od lat jest na bardzo niskim poziomie – przeciętna Koreanka rodzi 0,7 dziecka – promowane jest rodzicielstwo zwane helikopterowym. Czyli: rodzice cały czas krążą nad dzieckiem, wciąż się nim zajmują.

W bardziej wyluzowanej Szwecji radość z dzieci też czasem przyćmiewają nierealistyczne oczekiwania. Reprezentanci wielkomiejskiej klasy średniej konkurują ze sobą na przykład w tym, czy odbiorą dziecko z przedszkola o godzinie 15, jakie urodziny mu wyprawią i jak bardzo atrakcyjne wakacje zapewnią. Rzadziej niż w Polsce wynajmują opiekunki dla dzieci i rzadziej liczą na codzienną pomoc dziadków. Panuje przekonanie, że najlepiej, gdy dzieckiem zajmują się rodzice. Którzy mają też odnosić sukcesy w pracy, mieć czas na trening oraz prowadzenie zdrowej kuchni.

U nas odbieranie dziecka o godzinie 15 jest, niestety, nierealne, pracujemy trochę dłużej niż Szwedzi...
– W Szwecji rodzice mogą wychodzić wcześniej z pracy, bo prawo zapewnia im możliwość pracowania na 80 procent. Elastyczność czasu pracy wzrosła jeszcze po pandemii. To sprawia, że łatwiej łączyć opiekę nad dziećmi z pracą zawodową. Ale dzietność i tak spada, a rośnie niepokój o przyszłe emerytury.

Wystarczyłoby wpuścić tych wszystkich młodych ludzi z krajów Trzeciego Świata, którzy bardzo chcieliby zacząć pracować na nasze emerytury...
– Z jednej strony tak, to logiczne rozwiązanie. Kraje, które mają dziś mniejszy problem z kryzysem demograficznym niż Polska, bardzo długo były otwarte na migrację, i to często z krajów mniej rozwiniętych, w których kobiety rodzą więcej dzieci. Otwarcie i wielokulturowość są czymś wspaniałym, ale szwedzkie doświadczenie jest takie, że imigranci o niskim wykształceniu z krajów bardzo odległych kulturowo mają duży problem z wejściem na rynek pracy. Poza tym różnice kulturowe czasami prowadzą do trudnych dylematów, które tyczą się także prywatności.

Czy nasza zgoda na odmienność kulturową ma powodować zgodę na to, by rodzina wybierała córce kandydata na męża, chociaż ta córka jest już Szwedką i żyje w najbardziej równouprawnionym kraju świata? Albo że mąż owej córki nie pozwala żonie pracować? Poza tym im bardziej szwedzkie stają się dzieci imigrantów, tym mniej mają dzieci.

Już tylko 44 procent polskich rodzin to rodzice z dwójką dzieci. Czy myślisz, że tradycyjny model 2+2 odchodzi w przeszłość? Słyszałam ostatnio o przedszkolu, w którym nie ma ani jednego dziecka, które miałoby nierozwiedzionych rodziców.
– Tak. Już czas zmienić definicję rodziny. Większość z nas ma w życiu kilka związków, coraz częstsze są więc rodziny patchworkowe. Na szczęście już nie tylko w Szwecji, ale także w Polsce coraz częściej zdarza się, że ludzie po rozwodzie nadal wspólnie wychowują dziecko.

Myślę, że przyjdzie czas, w którym stanie się oczywiste, że koniec miłości erotyczno-romantycznej nie musi oznaczać końca miłości rodzinnej. W Polsce nadal jest dużo takiego myślenia, że koniec małżeństwa oznacza katastrofę, a następnie topór, nienawiść i walkę o dzieci.

A przecież rodzicami zostajemy na zawsze i wcale nie jest powiedziane, że rodzice muszą ze sobą sypiać i razem mieszkać, by wspólnie i zgodnie angażować się w wychowywanie dzieci oraz by po prostu tworzyć rodzinę.

W Polsce są też monorodziny, rodziny tęczowe, rodziny składające się z przyjaciół. Socjologowie to widzą i opisują, ale nadal nie dostrzegają tego politycy, więc nie mają one takich samych praw. Współcześni politycy są głównie PR-owcami zabiegającymi o głosy w wyborach.

Nie mamy polityków wizjonerów, polityków biorących odpowiedzialność za przyszłość, którzy przestaliby tworzyć mitologiczne konstrukcje i twierdzić, że znają sposób na to, by Polki znowu rodziły po troje dzieci. Że wystarczy powrócić do „tradycyjnych wartości" i zwiększyć dodatek na dziecko...

Kryzys demograficzny zatacza coraz szersze kręgi, jest obecny w wielu krajach bardzo katolickich i słynących z tradycyjnej rodzinności takich jak Malta czy Włochy, i w krajach zsekularyzowanych z najlepszymi systemami opiekuńczymi takich jak kraje skandynawskie. To się dzieje wszędzie. Co oznacza, że musimy się przygotować na dużą zmianę społeczną, a nie zawracać Wisłę kijem.

Czy spadek dzietności nie jest naturalną autoregulacją? W społeczeństwach zbieracko-łowieckich kobiety miały maksymalnie dwójkę dzieci, bo większej liczby nie byłyby w stanie wykarmić. Kiedy potrzeba było rąk do pracy w gospodarstwie rolnym, rodziły dużo dzieci.
– Zgoda, zmiany demograficzne są czymś naturalnym. Jest nas na tej planecie bardzo dużo i strasznie ją eksploatujemy. Jak będzie nas mniej, Ziemia odetchnie. Ale spadek dzietności jest bardzo niepokojący w systemie kapitalistycznym. Zmniejsza się liczba potencjalnych nabywców! Najpierw jest mniej kupujących wanienki i ubranka dla dzieci, potem strach padnie na producentów innych towarów.

Ale może inna rzeczywistość jest możliwa? Może kryzys demograficzny wcale nie jest kryzysem, tylko po prostu zmianą? Może to początek czegoś lepszego? Rodzina nuklearna potrafi być wspaniała, ale potrafi być też duszna i toksyczna.

Może dochodzimy do takiego momentu w historii, kiedy dzieci będą mieli ci, którzy naprawdę tego chcą i nadają się do roli rodziców? W tej myśli kryje się nadzieja, a nie groza, że będzie nas za mało. Jak wiadomo, istotą życia jest zmiana, a ludzkość umie się do zmian dostosowywać. ●

W Szwecji przedszkolanki sugerowały mi, że już pora na drugie dziecko, że to egoizm nie dać jedynakowi rodzeństwa

REKLAMA
Kraj/34396425

FASCYNUJĄCY PORTRET ARTYSTY
PROWOKACYJNEGO, CHARYZMATYCZNEGO, PEŁNEGO SPRZECZNOŚCI

Dostają Państwo do rąk książkę wyjątkową i mogę Państwu jedynie pozazdrościć, że są Państwo jeszcze przed lekturą. Polecam całym sercem
CEZARY PAZURA

Wielki artysta i skomplikowany człowiek, „tsunami Janek", „płonący ptak" dostał uszytą na swoją miarę biografię. Warto.
MARCIN MELLER

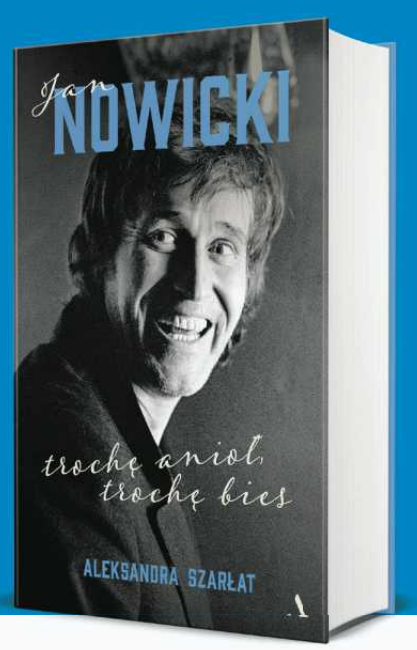

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

ADAM MICHNIK POLECA

POETA HITLER I JEGO FAN

Odurzony swoją literacką błyskotliwością żonglował z upojeniem antysemickimi metaforami i kalamburami.

Jolanta Kawa

Powojenne porachunki i czystki we Francji miały brutalny przebieg: samosądy, golenie kobietom głów, publiczny lincz, pospieszne procesy. Kolaborujący z nazistowskimi okupantami publicyści i pisarze także zasiedli na ławie oskarżonych.

Pięciu z nich skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie: Georges Suarez, Paul Chack, Jean Luchaire, Paul Ferdonnet i – najwybitniejszy z nich – Robert Brasillach. Pozostałym przy życiu kary złagodzono, a później ich ułaskawiono.

Robert Brasillach stanął przed sądem 19 stycznia 1945 r. Generał de Gaulle odmówił ułaskawienia. Wyrok został wykonano już 6 lutego 1945. Brasillach miał zaledwie 35 lat.

FOT. TALLANDIER / BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS

• **Francuski kolaborant Robert Brasillach (w okularach) w 1943 r. w czasie pobytu na froncie wschodnim, gdzie towarzyszył nazistowskim propagandystom i Fernandowi de Brinon, delegatowi rządu Vichy (nie ma go na tym zdjęciu)**

To zbrodnia bolszewików

„Widziałem doły Katynia". Tak zatytułował swój reportaż po powrocie z okupowanej sowieckiej Rosji, gdzie uczestniczył w ekshumacji polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Opublikował go 9 lipca 1943 r. w „Je suis partout", wysokonakładowym, współpracującym z nazistami piśmie.

Obecność Brasillacha w delegacji kolaboracyjnego rządu Vichy do Katynia nie była przypadkowa; Niemcy z rozmysłem zapraszali zagraniczne delegacje, by przyglądały się ekshumacji. Chcieli nadać rozgłos swym odkryciom i propagandowo wykorzystać katyński mord. A Brasillach był wówczas uznanym pisarzem i wpływowym publicystą.

Realistycznie opisał grozę katyńskich grobów: „warstwy ludzkich ciał ułożone jedne na drugich, przezierająca przez rozdarte mundury skóra trupów, odór rozkładających się ciał". Zaprzeczał komunistycznej propagandzie, która zrzucała odpowiedzialność za zbrodnię na nazistów. Wskazywał prawdziwych morderców – „bolszewickich katów".

Przestrzegał Francuzów: „Te przerażające doły są czymś, co może czekać nas wszystkich. Gdyby bariera Zachodu [czytaj: niemiecka] została złamana (...), odór Katynia dobywałby się z lasów Fontainebleau i z Loary".

Dość powiedzieć, że reportaż Brasillacha był znakomitą pożywką dla antykomunistycznej propagandy Vichy i francuskich kolaborantów, którzy widzieli w niemieckim okupancie skuteczną ochronę przed bolszewicką tyranią.

Jego przyjaciel Żyd

Brasillachowi od najmłodszych lat pisana była błyskotliwa kariera. Celujące wyniki w nauce, matura z wyróżnieniem, liceale wiersze ogłaszane w lokalnych czasopismach, studia ukończone w École normale supérieure w Paryżu, elitarnej uczelni dla wybitnych francuskich studentów literatury, filozofii i nauk ścisłych (ukończyli ją m.in. Sartre, Georges Pompidou, Simone Weil).

Urodzony w 1909 r. w Perpignan (region Oksytania nad Morzem Śródziemnym), wychowywał się bez ojca, porucznika w korpusie kolonialnym w Maroku. Widywał go sporadycznie podczas podróży do tego kraju, które odbywał z matką w latach 1912-14. Gdy ten zginął w Maroku w 1914 r., matka wraz z nowym mężem i trojgiem dzieci przeniosła się do Sens (100 km od Paryża).

Robert przeżył to boleśnie. Doskwierał mu brak ojca. Z ojczymem nie miał najlepszych relacji, toteż zamykał się w świecie fantazji, sycił młodzieńczą wyobraźnię lekturami, pisał wiersze. Wrażliwy i rozmarzony student pasjami pochłaniał książki: od starożytnych klasyków po najnowszych autorów.

Fotografie ze studenckich czasów, gdy z prowincji przybył do Paryża, nie zdradzają cech późniejszego Roberta. Przeciwnie. Okrągła, pucołowata twarz. Dziecięca i niewinna. Obfite policzki, wydatne wargi, ciemne, przenikliwe oczy skryte za okrągłymi okularami w metalowych, czarnych oprawkach. Poważny i skupiony.

Na jednym ze zdjęć stoi obok Freda Semacha, syryjskiego Żyda. Z Fredem zaprzyjaźnił się w pierwszych dniach paryskiego życia. 15 lat później w autobiografii „Notre avant-guerre" („Przedwojnie") wspominał ze zdziwieniem: „Uderza mnie, z perspektywy czasu, tolerancja, z jaką traktowaliśmy się nawzajem".

Wcześnie wkroczył na paryską scenę intelektualną, regularnie publikując teksty w literackiej rubryce nacjonalistycznego dziennika „Action française". W ciągu kilku lat obiecujące powieści i rosnąca reputacja krytyka literackiego wagi ciężkiej napędzały jego karierę.

W połowie lat 30. związał się równolegle z redakcją nacjonalistycznego tygodnika „Je suis partout"; w 1937 r. został jego redaktorem naczelnym. Pisał ze swadą, ironią, czasami brutalnie, atakując lewicowy Front Ludowy, parlamentaryzm, republikę.

Podczas okupacji tygodnik ten - orędownik kolaboracji z hitlerowskimi Niemcami – stawał się coraz bardziej popularny. Przed wojną jego nakład wynosił 50 tys., a w 1943 r. wzrósł do niemal 300 tys. egzemplarzy. To sprawiło, że Brasillach stał się ważnym intelektualnym głosem kolaboracji, przedstawiając ją jako walkę europejskiej cywilizacji z bolszewizmem.

Zmobilizowany we wrześniu 1939 r. jako porucznik piechoty trawił czas na Linii Maginota. W czerwcu 1940 został wzięty do niewoli i osadzony w oflagu w Niemczech. Rok później, na prośbę ambasady niemieckiej w Paryżu, został zwolniony. Znalazł się na liście jako jeden z francuskich ideologów gotowych współpracować z nazistami.

Po powrocie z obozu jenieckiego, szybko się odwdzięczył swoim wybawcom, znowu objął stanowisko naczelnego „Je suis partout" i oddał jego łamy pronazistowskiej propagandzie.

Literackie laboratorium faszyzmu

Krótka, acz intensywna i swoiście błyskotliwa kariera Brasillacha była przedmiotem licznych biografii i opracowań. Analizowano ją zwłaszcza w kontekście stosunku francuskich intelektualistów do faszyzmu lat 30. i kolaboracji w latach 40.

Dominowały tu dwa nurty: jeden minimalizujący rolę Brasillacha w promowaniu faszyzmu i jego wpływ na opinię publiczną podczas wojny, drugi – rażąco apologetyczny, rozwijany przez wielu biografów i publicystów, którzy usprawiedliwiali jego zaangażowanie po stronie kolaboracji lub wręcz czynili zeń męczennika Wolnej Francji.

Dla obu tych nurtów punktem wyjścia był przekonanie, że Brasillach był wrażliwcem, a jego wybory polityczne miały charakter wyłącznie „romantyczny". Przez ten pryzmat oceniano jego życie, dorobek literacki i publicystyczny, a także zaangażowanie polityczne. Faszyzm Brasillacha – w przeciwieństwie do „prawdziwego" twardego i doktrynalnego faszyzmu – przedstawiano jako miękki i uduchowiony.

Z publikacji obu nurtów poświęconych Brasillachowi wyłania się portret człowieka „uwiedzionego" nie tyle przez faszyzm czy nazizm, co przez ich romantyczny wymiar, ich mistycyzm (Anne Brassié, „Robert Brasillach albo jeszcze jedna chwila szczęścia"). Literata żyjącego z dala od polityki, który kierując się naiwnym pragnieniem przeżycia przygody swej epoki, niewinnie zszedł z literac-

eprasa.pl 71cea234a7

kiego szlaku na drogę kolaboracji. Jego zagorzały antysemityzm zaś był usprawiedliwiany duchem czasu, a nawet... szlachetnymi pobudkami.

Gdy jeden z nielicznych francuskich arcybiskupów (Tuluzy) protestował w liście pasterskim przeciwko deportacji Żydów, w tym dzieci, Brasillach zaatakował go, pisząc obłudnie: „Arcybiskup mówi o brutalności i separacji rodzin. Musimy pozbyć się wszystkich Żydów, nie możemy zachować dzieci. Nasze człowieczeństwo stoi w tej sprawie w zgodzie z mądrością" (wrzesień 1942).

Biografka Anne Brassié tak to tłumaczyła: „Brasillach uważał rodzinę za najcenniejsze dobro, dlatego nie chciał, by oddzielano żydowskie dzieci od rodziców".

Innym razem próbowano oddzielać jego twórczość literacką sprzed wojny, nieskażoną rzekomo politycznymi miazmatami, od tego, co pisał później; literata–estetę od napastliwego polemisty z czasów wojny. Dowodzono, że pisarza zanurzonego w romantycznej atmosferze „lat frywolnych", gdzie – jak sam później wspominał – „odkrywało się narkotyki, pederastię, podróże, Freuda, ucieczkę i samobójstwo", w przedwojennych utworach zajmowały li tylko uniwersalne i czysto estetyczne tematy.

Takie spojrzenie na życie i twórczość Brasillacha jest co najmniej kłopotliwe. Nigdy bowiem nie apelował o zdystansowanie się ludzi pióra od tematów ideologicznych. Co więcej, literatura czysta, niezaangażowana politycznie budziła jego dezaprobatę: „literatura, która jest tylko literaturą, jest wyłącznie grą", a „poeta musi służyć" („Obecność Wergiliusza").

Już jako 18-latek miał wyraźne poglądy polityczne: jego intelektualnym guru był Charles Maurras i jego nacjonalistyczna doktryna. Latem 1927 r., w portrecie „mistrza" opublikowanym w lokalnej gazecie „Le Coq Catalan", sformułował wyznanie antydemokratycznej wiary: „Doktryna Maurrasa jest jedyną ważną doktryną naszych czasów. Maurras zbudował najbardziej kompletny system polityczny i moralny. (...) Potrzebujemy króla" - czyli rządów silnej ręki. „Jego władza będzie absolutna".

Przekonania polityczne Brasillacha łatwo odnaleźć także w jego recenzjach literackich. Wprawdzie były one rozproszone i nie odznaczały się jeszcze doktrynalną spójnością, niemniej rysują się jasno na długo przed wybuchem wojny. Stałym ich lejtmotywem była otwarta krytyka demokracji i republiki, poszukiwanie dróg odnowy narodowej i silnego przywódcy, który byłby zdolny poświęcić się tej bohaterskiej misji.

W przededniu wojny teksty Brasillacha – od publicystyki i powieści „Sept couleurs" po wspomnienia „Przedwojnie" – skupiały się na kwestii faszyzmu. Nawet w przedwojennych, literackich publikacjach jego ideą fixe był faszyzm. I tak np. w eseju poświęconym Wergiliuszowi stworzył portret Rzymu utkany z antyrepublikańskich i antyparlamentarnych klisz, bliskich ówczesnej nacjonalistycznej prawicy.

„W dekadenckim Rzymie panował republikański chaos – pisał Brasiliach. – Rządziły zwaśnione frakcje i bojaźliwy senat, którego symbolem był »gadatliwy« Cyceron" („Obecność Wergiliusza"). Symbolem odnowy był zaś Cezar i Oktawian, silni przywódcy, architekci imperium rzymskiego.

Wergiliusz, alter ego Brasillacha, przyznaje, że choć sam jest „zbyt słaby fizycznie i zbyt marzycielski, by działać", jest oczarowany „wielkimi zwycięzcami, którzy łamią wszystkie prawa, dopóki nie narzucą swoich praw innym".

Brasillacha fascynowała potęga Cezara: „z nienawiści do kompromisów i ustępstw, do bojaźliwego gadulstwa w wydaniu Cycerona, do wszystkich tych, którzy rujnowali i gubili Rzym przemowami i ostrożnymi kombinacjami, sięgał po ekscytującą siłę, która mogła ozdrowić jego kraj na duszy i ciele".

Teksty uchodzące za czysto estetyczne i pozornie nieszkodliwe ideologicznie, jak np. „Historia kina" (1935), nie są pozbawione politycznych akcentów. Historia kina przedstawiona jest bowiem jako wyraz rzekomych cech narodowych i etnicznych, co Brasillach rozwijał w „Action française". Przekonywał tamże, że „wykorzenieni" reżyserzy filmowi odnoszą mniej sukcesów niż ci, którzy mają swoją „ojczystą ziemię", i że napływ obcokrajowców niszczy ojczysty geniusz filmowy. Założycieli amerykańskiego przemysłu filmowego nazywał „kramarzami i kuśnierzami" (wyraźna sugestia antysemicka; we wznowionym wydaniu z 1943 r. wprost wskazał, że chodzi mu o Żydów).

„Estetyka faszystowska" uwodziła Brasillacha na długo przed wizytą w Norymberdze (o czym za chwilę). W „Liście do prowincjuszki: nasi marynarze z Kronsztadu" z 1936 r. zachwycał się kinem radzieckim. Film Eisensteina „Pancernik Potiomkin" uważał za arcydzieło politycznej propagandy w służbie rewolucji.

Apelował, by francuscy nacjonaliści wzięli przykład z bolszewickich przeciwników i wykorzystywali siłę „obrazów i mitów", by odwoływali się do „wielkich uczuć narodowych".

Takie przykłady nie pozwalają scharakteryzować Brasillacha li tylko jako poetyckiego romantyka, niesionego przez falę romantycznych, faszystowskich obrazów i wyobrażeń. Przeciwnie, istnieje wyraźne pokrewieństwo i ciągłość jego przekonań między wczesną fascynacją Maurrasem, jego ideą nacjonalizmu integralnego, a ideologią faszystowską końca lat 30., którą promował, i wreszcie zaangażowaniem po stronie narodowego socjalizmu.

Demokracja, wynalazek jajogłowych

Brasillach nie był demokratą ani zwolennikiem republiki. Uważał, że demokracja degraduje francuskie życie polityczne i intelektualne. Nie szczędził jej krytyki. Przede wszystkim dlatego, że jest „ideologią", czystym konstruktem umysłu, oderwanym od realnego świata. Wytaczał ciężkie działa przeciwko „mitowi" nieskończonego postępu, który zrodziła rewolucja francuska i który legł u podstaw „ideologii demokratycznej".

Demokracja miała więc wrodzoną skazę. To „nieludzka abstrakcja", „wyschnięty intelektualizm", „pusty moralizm": zrodziła się w głowach odklejonych od rzeczywistości intelektualistów.

Ponadto demokracja „odpoetyzowała" wojnę. Ta nie hartowała już młodych mężczyzn, nie zagrzewała do bohaterskich czynów. Przeciwnie, niszczyła ich wirylność, pozbawiała tężyzny. „Żołnierz demokratycznych reżimów i obowiązkowej służby wojskowej, zmuszony do walki", stał się robotem wykonującym rozkazy. Nie był wojownikiem z krwi i kości.

Apelował o powrót do zapomnianych lub „wypaczonych" przez demokrację wartości. Tę należało zburzyć. Odnowa narodowa mogła się dokonać wyłącznie poprzez przywrócenie silnej władzy, sprawowanej przez charyzmatycznego wodza. Siła emanująca z przywódcy wystarczała, by przejął władzę, a zadanie odnowy, jakie brał na swoje barki, wymagało, by rządził bez ograniczeń – „wezwał na pomoc wywyższającą siłę, wielkie potężne ciało, które odnowiłoby jego kraj" (esej o Wergiliuszu).

Fascynowali go wodzowie zwycięscy. Tacy, którzy identyfikują się z ludem. Tylko oni są „czystym sumieniem narodu, znają jego troski i wiedzą lepiej, co należy robić".

Brasillach kreślił portret nowego bohatera narodowego. Miał być silny i wysportowany, a nade wszystko zbuntowany. Jego bunt burzył istniejący świat i wartości. I tworzył „nowy, ożywczy porządek", „globalny" (esej o Corneille'u). Co więcej, bunt i zniszczenie były „oznaką zdrowia fizycznego i moralnego".

Heroizm bohatera łączył ze świętością. Dlatego nie wystarczyło, by religia była elementem scalającym i porządkującym społeczeństwo – jak chciało wielu skrajnie prawicowych pisarzy, z Maurrasem na czele. Miała uświęcać heroicznego bohatera, który niczym mesjasz głosił dobrą nowinę. Tylko „religia cielesna i ziemska, religia walki i podboju" mogła wspomóc dzieło narodowej odnowy.

Faszyzm jest piękny

Brasillach nie zaprzątał sobie głowy rozważaniami etycznymi. W jego powieściach niecne ludzkie czyny – kradzież, kłamstwo, morderstwo – uchodzą za dopuszczalne. Ważniejsze były kwestie estetyczne.

Estetyzował politykę w znaczeniu silnej władzy. Uważał, że jest skuteczna tylko wtedy, gdy jest „poezją", która ożywia narodowe epopeje, chwalebne, historyczne obrazy. Przywódców, którzy tworzyli „poezję" narodową, zwał „poetami".

Oceniając przez ten pryzmat polityków sobie współczesnych, za „wielkiego poetę" uważał Mussoliniego, który płomiennymi przemowami trafiał prosto w serca Włochów. Poetę widział w Léonie Degrelle'u, młodym przywódcy belgijskiej partii faszystowskiej Rex. Ten zachwycał go „świeżością", każde jego słowo było „wspaniałą poezją".

I wreszcie „niemiecki poeta" – Adolf Hitler, który wskrzeszał germańskie mity, „celebrował noce Walpurgii", hipnotyzował tłumy, ożywiał wielką, narodową epopeję. Był rodzajem medium pośredniczącego między światem niemieckich duchów a światem żywych Niemców; dzięki niemu naród budził się z letargu, otrząsał z odrętwienia i znowu dumnie wypinał niemiecką pierś.

W przemówieniach przywódców poetów wybrzmiewały „głosy ziemi ojczystej", narodowe emocje zaś budził kult historii ojczyźnianej i jej herosów. Wielkie marsze, manifestacje, ich ściśle określona choreografia i symbolika upiększały narodową poezję i pogłębiały wiarę w słuszność nowego reżimu: „Nie ma wiary bez obrazów. Daremne są próby pozbawienia nas bohaterów i mitów"– pisał w 1938 r.

Naród ich potrzebował: „Nie ma wielkiej doktryny, nie ma wielkiego wywyższenia narodu bez quasi-religijnej wizji. Nieszczęściem demokracji było pozbawienie narodu mitów i bohaterów, których mogliby kochać, wielbić i szanować" (1943).

Dlatego Degrelle'em był „wielce zauroczony", a „poezja" Hitlera była pełna „uroku". Wprawdzie na początku lat 30. drażnił go „prostacki rasizm" Hitlera, niemniej już w 1936 r. podczas wykładów, których tematem było, „Czy Europa będzie faszystowska?", nawoływał, by Francuzi brali przykład z Niemców, na nowo odkrywali „swoje mity" i umacniali „wiarę w narodowy ideał".

Święte rytuały nowych Niemiec

O zjeździe partii nazistowskiej w 1937 r. w Norymberdze, w którym uczestniczył jako naczelny „Je suis partout", pisał z zachwytem. Przedstawiał go jako monumentalne i ekscytujące widowisko. Nieprzebrane, skandujące tłumy, magiczna sceneria – wielkie trybuny, sztandary, płonące pochodnie – umundurowane, zwarte szeregi, wykrzykiwane z mównicy słowa – hipnotyzowały. Były niczym zaklęcia, wprowadzające tłum w zbiorowy trans. Tworzyły atmosferę misterium żarliwej wiary i zbiorowej ekstazy („Przedwojnie").

Z epickim kunsztem opisywał niemieckie wioski zalane morzem flag, które „zdobiły radośnie szare niebo", a miejsce zjazdu NDSAP jako „magiczną enklawę", gdzie odprawiano „święte rytuały nowych Niemiec".

Z podziwem patrzył na młodych faszystów: „Młody faszysta – zakorzeniony w swojej rasie i narodzie, dumny z silnego ciała, z jasnego umysłu, gardzący dobrami tego świata – śpiewa, maszeruje, pracuje, marzy. Jest przede wszystkim człowiekiem radości" („Les sept couleurs").

Brasillach zobaczył i poczuł to, co organizatorzy wiecu chcieli osiągnąć: rodzaj pogańskiej mszy, podczas której cały naród łączy się w jedności i podporządkowaniu nowemu porządkowi i przywódcy, który go uosabia. Nie omieszkał przyrównać ją do Eucharystii, podczas której cała uwaga skupiała się na najwyższym kapłanie, wcielonym, żywym bogu - Adolfie Hitlerze.

Gdy charakteryzował Hitlera, posuwał patos do granic możliwości: „stojąc przed człowiekiem o dalekim spojrzeniu, który jest bogiem dla swojego kraju, można wyobrazić sobie, że w czerwcowy świt zstąpił z nieba, jak Archanioł śmierci, aby – w poczuciu obowiązku – wyeliminować swoich dawnych towarzyszy". To aluzja do „nocy długich noży" 30 czerwca 1934 r., kiedy zostali wymordowani Ernst Röhm i inni przywódcy SA.

Hitler nie był zwyczajną głową państwa. Został powołany do wypełnienia „boskiej misji", jego oczy jakby „z innego świata" zdradzały, że dzielnie „dźwiga ten ciężar".

Brasillach dał się porwać wdziękowi hitleryzmu, swoją relację z hitlerowskimi Niemcami opisywał jako erotyczny związek: „nawiązałem romans z niemieckim geniuszem i nigdy tego nie zapomnę. (...) Myślący Francuzi sypiają z Niemcami (...) i będą to wspominać jako słodkie doświadczenie" („Révolution nationale", luty 1943).

W „Przedwojniu" widać wyraźnie, jak Brasillach, od 1936 r., ścielił łóżko, w którym niebawem będzie sypiać z Niemcami.

„Żydzi to małpy!"

Podczas powojennych procesów powszechnie stosowaną linią obrony kolaborantów było zasłanianie się niewiedzą o istnieniu obozów, komór gazowych i eksterminacji Żydów. Tę samą strategię zastosował obrońca Brasillacha podczas jego bardzo krótkiego procesu w styczniu 1945 r.

Brasillach: „Kiedyś zamknięte w zoo, rozpełzły się wszędzie. Widownie teatrów, autobusy i metro wypełnione są małpami. W kawiarni, na prawo i lewo – małpy". To o zwierzętach? Nie, o Żydach

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

Gdy jednak w 2015 r. opublikowano nieznany dotąd wspomnieniowy tekst Luciena Rebateta, kolaboracyjnego pisarza i publicysty „Je suis partout" („L'Inédit de Clairveaux"), w którym autor przytacza rozmowę z Brasillachem, okazało się, że ten wiedział więcej, niż mówił na procesie.

W 1943 r. Brasillach wrócił z frontu wschodniego, gdzie towarzyszył nazistowskim propagandystom i Fernandowi de Brinon, delegatowi rządu Vichy. Rebatet spotkał wówczas Brasillacha. Ich rozmowę tak relacjonował:

Brasillach: – Myślę, że nie powinniśmy więcej rozmawiać o Żydach, stało się to bezcelowe i szokujące.

Rebatet protestuje: – Nie. Posuwasz się za daleko!

Brasillach: – Byłem w Polsce tej wiosny, widziałem getta, wiem, co się dzieje w Łodzi, we Lwowie i w Warszawie. To masakra lub eksterminacja głodowa.

Rebatet: – Ależ Robercie, wcześniej mówiłeś o doktrynie! Antysemityzm jest jej częścią! Wydaje mi się, że to fundamentalne...

Brasillach: – Nie mówię oczywiście, że powinniśmy przestać być antysemitami. Ale jest pewien ton, którego nie możemy już używać w stosunku do Żydów. Zresztą mamy o wiele pilniejsze sprawy do załatwienia!

Wspomnienie to jednoznacznie wskazuje, że Brasillach wiedział o eksterminacji Żydów. Jak widać, już w 1943 r. używał terminów „masakra" i „eksterminacja", podczas gdy antysemicka propaganda tamtych czasów przekonywała, że deportowani Żydzi mają zaludniać Europę Wschodnią... Mimo to nie zawrócił z drogi kolaboracji. Do końca pozostał wierny swoim faszystowskim przekonaniom.

Brasillach – tak jak Maurras – najpierw eufemizował antysemityzm: „Nie chcemy nikogo zabijać ani organizować pogromów. Chcemy jedynie upowszechniać antysemityzm rozsądny" – pisał w 1938 r. w numerze specjalnym „Je suis partout", poświęconym w całości „kwestii żydowskiej". W 1937 chwalił umiarkowany ton sloganów z nazistowskich transparentów w Norymberdze: „Żydzi nie są tu mile widziani".

Szybko jednak zmienił ton. W tym samym roku w „Listach do prowincjuszki" otwarcie nawoływał do przyjęcia rasistowskich ustaw przeciwko Żydom. Powtórzył to w kolejnym numerze specjalnym „Je suis partout" (luty 1939), zatytułowanym „Żydzi i Francja":

„Trzeba pozbawić każdego Żyda, pół–Żyda, ćwierć–Żyda, statusu obywatela. To rozwiązanie proste i słuszne. Nikogo nie upokarza. Żydzi są narodem". A skoro są „narodem", nie powinni posiadać francuskiego obywatelstwa. Za Maurrasem powtarzał, że jedyny wyjątek stanowili ci, którzy oddali życie za Francję podczas wojny lat 1914-18. Ich można było wpisać do specjalnej kategorii „honorowych Aryjczyków".

W tym samym felietonie etykietował artystów jako Żydów: „Lubimy Charliego Chaplina – pół-Żyda, podziwiamy twórczość Prousta – pół-Żyda, oklaskujemy Yehudi Menuhina – Żyda. Głos Hitlera jest słyszalny na hertzowskich falach, od nazwiska Hertza – Żyda".

Potem było już tylko gorzej. W marcu 1939 r. w felietonie „Kwestia małp" (parafraza „kwestii żydowskiej") uderzył w dehumanizacyjne tony. Szyderczo nazywał Żydów „małpami":

„Kiedyś zamknięte w zoologicznych ogrodach, rozpełzły się wszędzie. (...) Widownie teatrów, autobusy i metro wypełnione małpami. W kawiarni, na prawo i lewo – małpy". Dlatego antysemityzm stał się „koniecznością".

Brasillach tekstem tym sięgnął dna plugawości. Odurzony swoją literacką błyskotliwością, żonglował z upojeniem antysemickim kalamburem i metaforą.

Antysemitą pozostał do końca życia. Niedługo przed procesem, pod koniec grudnia 1944 r., w „Liście do żołnierza" pisanym w więzieniu głosił: „Jestem antysemitą. Znam z historii okropności popełnione przez dyktaturę żydowską". I jeszcze: „Deportacje mogły być uzasadnione, gdyby nie kończyły się eksterminacją. Nie w ten sposób rozwiążemy kwestię żydowską".

I wieszczył proroczo: „antysemityzm jest odtąd głęboko zakorzeniony w narodzie francuskim, a powrót Żydów na pewno nie będzie mile widziany".

Śmierć za słowa

Po wyzwoleniu Paryża w sierpniu 1944 r. nie uciekł jak wielu kolaborantów do zamku Sigmaringen [na terenie Niemiec], w którym schronił się cały rząd Vichy. We wrześniu tego roku sam zgłosił się na policję, gdy jego matka została aresztowana i oskarżona o kolaborację. Czy liczył, że w ten sposób ją ocali? Chciał wziąć całą winę na siebie?

Procesy większości kolaborantów trwały kilka dni lub tygodni. W przypadku Brasillacha zaledwie sześć godzin. Jego obrońca grzmiał: – Skazujecie poetę na najwyższą karę. Jaki wyrok wydacie w sprawie handlarzy armatami? – Ci przecież współpracowali z Niemcami, okradając kraj z jego zasobów. I wychodzili z tego bez szwanku.

Dlaczego de Gaulle nie ułaskawił Brasillacha, mimo petycji wielu pisarzy i artystów, m.in. Mauriaca, Malraux, Paula Valéry'ego? Dlaczego w jego sprawie pozostał nieugięty? Wszak ten pisarz nie był równie zajadły i brutalny jak jego koledzy po piórze.

O palmę pierwszeństwa rywalizowało tu wielu, w tym cytowany Rebatet, stały felietonista „Je suis partout", czy uznany pisarz Louis-Ferdinand Céline. W swoich felietonach otwarcie nawoływali do mordów – Żydów, partyzantów, komunistów. Obaj przeżyli wojnę. Obaj byli sądzeni. Karę śmierci dla Rebateta zamieniono na dożywocie, w 1954 r. wyszedł na wolność. Céline'a skazano zaocznie – ukrywał się w Danii – na rok więzienia, ale już w 1951 r. został objęty amnestią.

Do dziś krąży w tej sprawie wiele domysłów i przypuszczeń. Jednym z nich było zdjęcie z akt Brasillacha, na którym stoi obok Jacques'a Doriota (ten ma na sobie niemiecki mundur), bojownika Legionu Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi, formacji zbrojnej walczącej pod rozkazami Wehrmachtu. De Gaulle miał ich rzekomo pomylić i taka interpretacja zdjęcia miała ostatecznie dowodzić zdrady Brasillacha.

Teza wątpliwa. Pisarz i historyk Jean Lacouture odrzuca ją stanowczo: „Generał de Gaulle odmówił ułaskawienia. Niezależnie od tego, co o tym myślał, nie mógł sprzeciwić się wszystkim żądaniom komunistów, którzy stanowili jedną trzecią rządu, jeśli nie więcej. Żądali głowy Brasillacha, który przyczynił się do śmierci wielu z nich".

De Gaulle uległ presji komunistów, którzy chcieli pozbyć się świadka komunistycznych zbrodni? Brasillach zapłacił głową za prawdę o Katyniu?

Francuscy komuniści długo nie wierzyli w prawdziwość oskarżeń wobec Sowietów. Dość powiedzieć, że gdy w 2009 r. na francuskie ekrany wszedł film Andrzeja Wajdy „Katyń", komunistyczny dziennik „L'Humanité" nadal podtrzymywał teorię o winie niemieckiej. W artykule autora J.R. czytamy: „W Katyniu prawdopodobnie 15 000 oficerów polskiej armii zostało po prostu zlikwidowanych i wrzuconych do dołów. Winą za eksterminację obarczono Niemców. (...) Jakieś trzydzieści lat temu byłem w Katyniu, aby oddać hołd ofiarom nazistowskiego barbarzyństwa".

De Gaulle w 1954 r. tak tłumaczył swoją decyzję: Intelektualiści są bardziej odpowiedzialni niż inni. Brasillach był inteligentny. Miał talent. Tym poważniejsze było to, co robił. Jego zaangażowanie w kolaborację wzmocniło nazistów. Intelektualistom dużego formatu nie można pobłażać; mają zdolność krytycznego myślenia, a zatem są bardziej winni. Słowa intelektualisty to strzały, formułowane opinie to pociski! Mają moc ulepiania opinii publicznej. Kiedy nadchodzi czas sprawiedliwości, muszą zapłacić" (Alain Peyrefitte, „C'était de Gaulle").

Czy na pewno? Czy uwierzymy generałowi Wolnej Francji? Bo jeśli tak, to dlaczego przeżył Céline, Rebatet i inni? Dlaczego dla nich de Gaulle nie domagał się kary śmierci?

Pod koniec 1943 r. Brasillach nie miał już złudzeń co do wyniku wojny, ale nadal trwał przy swoich politycznych wyborach. Notował: „Kocham Niemców. Kiedy spotykam niemieckich żołnierzy na ulicy, mam ochotę z nimi rozmawiać, ściskać ich dłonie. Krótko mówiąc, z kolaboranta z rozsądku, stałem się kolaborantem z serca".

W lutym 1944 r., na swoją zgubę, napisał słynne zdanie o sobie i Francuzach „sypiających z Niemcami" i „słodkim" wspomnieniu, jakie długo zachowają.

Rok później, podczas procesu, prokurator Marcel Reboul wykorzystał je, czyniąc wyraźną aluzję do homoseksualizmu Brasillacha. Grzmiał: „Atakował Pan każdą formę oporu przed seksualną penetracją Francji przez Niemcy. Pańska niemal cielesna miłość do brutalnej siły spowodowała, że o mało nie zaciągnął Pan całego kraju do niemieckiego łóżka. Łóżka pełnego »słodkich« wspomnień".

Homofobiczne oskarżenie Reboula dziś oburza, ale wówczas wpisywało się w powszechną niechęć czy wręcz nienawiść do osób innej orientacji seksualnej. Nie było zatem przypadkowe; miało wzbudzać jeszcze większy wstręt do zdrajcy.

Brasillach nie założył rodziny. Mieszkał z siostrą, którą wielbił. Nie zaprzątał sobie głowy kobietami, które w jego pamiętnikach były zaledwie miłym tłem w jego eterycznym życiu. Za to w swoich książkach czynił wiele aluzji do miłości między mężczyznami. Homoseksualizm Brasillacha był w paryskich kręgach literackich publiczną tajemnicą.

Sam oddał się w ręce policji, by oszczędzić kłopotów aresztowanej za kolaborację matce. A może dobrowolne poddanie się karze wynikało jednak z poczucia winy – nie za błędy polityczne, których nie uznawał, lecz za swoje, naruszające prawo moralne i normy obyczajowe tamtych czasów życie?

W czasie procesu przyjął prowokacyjną postawę. Nie przyznał się do winy. Wszak nie miał krwi na rękach: „Jestem pisarzem, nie mordercą!", ofiarą powojennego „intelektualnego terroru". Bronił tekstów, w których wyrażał jedynie swoje opinie, nawet jeśli były kontrowersyjne.

Domagał się, by nie karano go za korzystanie z prawa do „wolności słowa", choć prawo to przysługiwało oczywiście jedynie tym, którzy pisali pod dyktando hitlerowców. Potępiał hipokryzję wczorajszych kolaborantów, którzy po wyzwoleniu przyoblekali szaty członków ruchu oporu.

Jego egzekucja wywołała burzliwą debatę na temat rozliczeń kolaborujących pisarzy i intelektualistów. Czy człowieka pióra można skazywać za słowa, zwłaszcza na śmierć, nawet jeśli mają one niszczycielską moc i przyczyniają się do utrwalania zła? Zwłaszcza gdy prawdziwi dranie potępiali, donosili i zamieniając słowa w czyny, mordowali? Gdy ochoczo polowali na Żydów i członków ruchu oporu? I nie spadł im za to włos z głowy. A nawet jeśli skazywano ich na karę śmierci lub dożywocie, ułaskawiano ich lub uniewinniano.

Karać czy wybaczać? Na ten temat polemizowało ze sobą dwóch pisarzy: Albert Camus i François Mauriac. Początkowo Camus odmawiał podpisania petycji o łaskę dla Brasillacha, chciał sprawiedliwości naprawczej „bez nienawiści, ale bez litości", podczas gdy Mauriac był orędownikiem jego ułaskawienia. Uważał, że nie można wysłać przed pluton egzekucyjny za słowa. Obawiał się także, że fala rozliczeń podryfuje w kierunku ślepego, rewolucyjnego terroru i zemsty. Ostatecznie Mauriac przekonał Camusa. Nie przekonał de Gaulle'a.

Po ogłoszeniu wyroku na sali sądowej rozległy się okrzyki: „To hańba!". Na co Brasillach, spokojny i wyprostowany, wykrzyknął: – To zaszczyt!

Na grobie męczennika

Brasillach – dziś bożyszcze skrajnej prawicy – spoczywa na paryskim cmentarzu Charonne. W każdą rocznicę egzekucji, 6 lutego, gromadzą się przy nim przedstawiciele skrajnej prawicy, by oddać hołd „męczennikowi Republiki francuskiej".

Uczestnicy zgromadzenia – nacjonaliści, neonaziści, antysemici różnego autoramentu – wygłaszają przemówienia, modlą się. Zamiast minuty ciszy, która w ich środowisku uchodzi za zwyczaj masoński, odczytują apel poległych, szczególnie dobitnie wykrzykując nazwisko Brasillacha. Na zakończenie ceremonii odśpiewują „Kawalkadę", marsz francuskich spadochroniarzy z jednostki wojskowej, w której służył Jean-Marie Le Pen, założyciel i lider formacji skrajnie prawicowej, Frontu Narodowego.

Grób Brasillacha jest jednym z najbardziej zadbanych i ukwieconych. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Salvatore Quasimodo*

Żołnierze płaczący nocą

Golgoty młot, dzieciństwo, to wszystko,
ukrzyżowanie, pamięć anielska, daremne,
gdy idzie na wojnę piechota.
Żołnierze płaczą nocą,
zanim umrą, są silni, padają
u podnóża westchnień wyuczonych
pod bronią żywota.
Liczby kochające, żołnierze,
bezimienne szelesty łez.

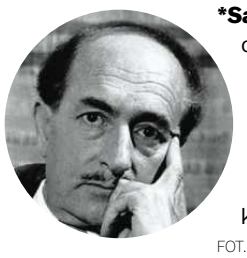

***Salvatore Quasimodo** - 1901-68, poeta włoski. Jego wczesne wiersze były oderwane od rzeczywistości i pogrążone w świecie dzieciństwa i mitów. Po II wojnie światowej jego twórczość zmieniła charakter, odznaczała się zaangażowaniem we współczesność. Przekładał utwory klasyków greckich i rzymskich, tragedie Szekspira, a także wiersze Mickiewicza. W 1959 r. otrzymał Literacką Nagrodę Nobla.

Wiersz za: Artur Międzyrzecki, „Rimbaud, Apollinaire i inni (Wybór przekładów)", Czytelnik, Warszawa 1988.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 71cea234a7

ALE HISTORIA

Narzeczona CHOPINA

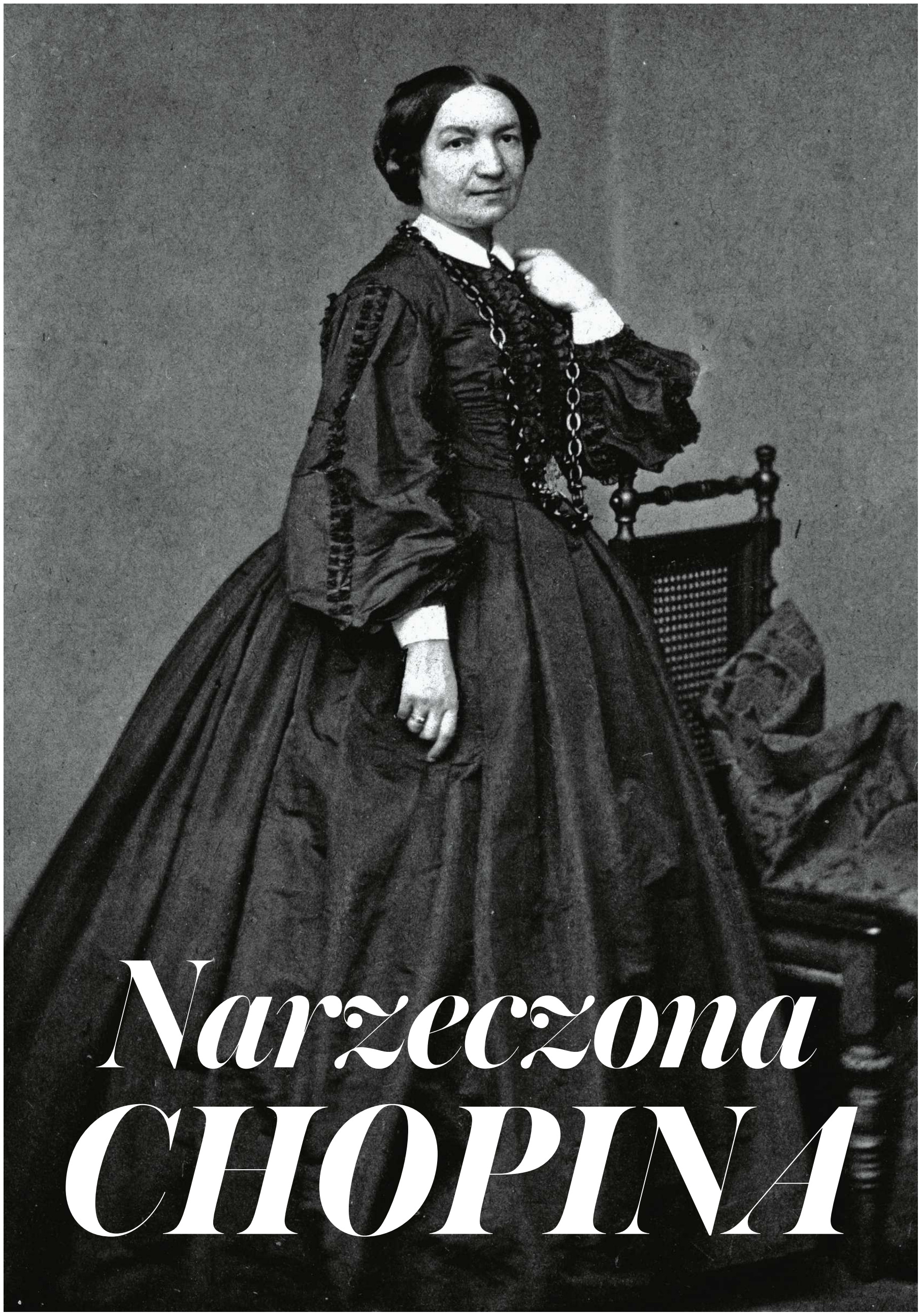

• **Maria Wodzińska (1819–1896), malarka i pianistka, zdjęcie prawdopodobnie z lat 60. XIX wieku**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

1 RP

eprasa.pl 71cea234a7

„Dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie”. To Słowacki. O kim tak pisał?

Stanisław Zasada

Siedemdziesięcioletnia przeszło. Do bratanka pisze:

„Wszyscy mniemają, żem powinna być dumna, że Słowacki i Chopin we mnie się kochali, a ja zawsze powtarzam, że z tego tylko dumna jestem, że taki człowiek jak mój mąż tak stale mnie kochał”.

Juliusz Słowacki wiersze jej dedykował – wyśmiała go.

Fryderyk Chopin oświadczył się – zaręczyny zerwała.

Dla tego, który „stale ją kochał” – męża zostawiła.

AUTOPORTRET

Maria Wodzińska patrzy na mnie z autoportretu. Ma siedemnaście lat. Czarne włosy z tyłu upięła, duże, ciemne brwi, ładne oczy. W talii szczupła.

– A powiadali, że urody średniej była – opinię współczesnych o Marii i tak łagodzę.

– Ale miała w sobie to „coś” – kobiecy głos na to.

Choć na swoim portrecie może się podobać, zauważam.

Głos się nie dziwi: – Sama siebie rysowała.

W dawnym dworze w Kłóbce na Kujawach rozmawiamy. Maria ostatnie lata tu spędziła.

Głos: – Była kobietą niezależną. Dziś powiedzielibyśmy: feministką.

SALONY

Warszawa, rok 1819.

Nazajutrz po Trzech Królach na świat przyszła Maria Anna Józefa Nepomucena Wodzińska. Starszych braci miała: Antoniego, Feliksa, Kazimierza. Siostry Józefa i Teresa po niej się urodzą.

Rodzice Wincenty i Teresa Wodzińscy to najbogatszy na Kujawach ród był i „dobrze ojczyźnie zasłużony”. Dziad Wincentego, a Marii pradziad rymy pisał. Dziad ze strony matki na Sejm Czteroletni posłował. Wincenty i Teresa czasy pamiętali, kiedy Polska na mapach była. Zimy w rezydencjach w Warszawie spędzali. W lato do majątków na wieś jeździli.

Marynia od lat najmłodszych francuskiego i angielskiego uczyła się, lekcje fortepianu i rysunku brała. Za matką romantyczną duszę miała.

Urody tylko nie miała. „La jolie laide” (ładna brzydula) – po warszawskich salonach mówiono o niej. Ładna – do jej sukien i powierzchowności się odnosiło.

AMATORKA

Rysuje, maluje. Ołówkiem, akwarelą, temperą, olejem na płótnie.

Portrety i pejzaże głównie.

W szkicownikach, pamiętnikach. Na płótnie rzadziej.

W dziejach sztuki polskiej się nie zapisze. Wikipedia: „Była malarką amatorką”.

SŁUŻEWO

Trzy ulice: Brzeska, przez Żydów zasiedlona (miejscowi do dziś mówią: „Idziemy na Żydy”), Toruńska (szewcy ją sobie upodobali) i ta na Aleksandrów Kujawski.

Przy dawnym trakcie królewskim z Warszawy do Torunia leży Służewo. Kilka kilometrów stąd, na Tążynie, była granica z pruskim zaborem. Gdy pada mniej, rzeczka wysycha. Tak jak pamięć o dawnych właścicielach wsi.

• **Młodzieńczy autoportret Marii Wodzińskiej oraz portret jej autorstwa Fryderyka Chopina z 1836 roku, pokolorowany później** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO; ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

– O Wodzińskich pamięć jest taka jak w każdym byłym majątku o dziedzicach – Maciej Maciejewski jest dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury. Wcale go to nie dziwi. – W czasach peerelu wielu poddało się praniu mózgów o złej szlacheckiej Polsce. Ale też wspomnień o złym traktowaniu ludzi jeszcze się trochę zachowało. Dziwić to specjalnie nie może, bo ówczesna rzeczywistość w większości majątków taka była, a złe wspomnienia sympatii nie rodzą.

Maciejewski dodaje: – Dziś o Marii Wodzińskiej dzieciaki z podstawówki wiedzą więcej niż ich rodzice i dziadkowie. Trzeba mówić prawdę o złych i pamiętać koniecznie o dobrych ludziach.

Po pałacu Wodzińskich ani śladu. Gdy zimą czterdziestego piątego przetaczał się front, dwór spłonął. Pożar wywołał pocisk wystrzelony z czołgu. Miejscowi rozebrali ruiny.

To wersja oficjalna.

– Czołg i salwę, która spowodowała pożar, można między bajki włożyć. Faktem jest, że pałac spłonął. A kto go podpalił, trudno dziś ustalić. Jedni mówią, że niemieckie wojsko. Inni – że „dworusy”, czyli pracownicy folwarku należącego przed wojną do Wodzińskich, potem do adwokata Życkiego – dla których pałac był symbolem ucisku, władzy panów. Szło przecież nowe, również politycznie – Bożena Świątkowska jest nauczycielką historii, dba o pamięć o lokalnych dziejach. Wystarała się, żeby we wsi ulica Marii Wodzińskiej była, a w parku tablica.

Jedyny zabytek, jaki ocalał po dawnym Służewie, to gotycki kościół Świętego Jana Chrzciciela.

Maria ślub w nim brała.

Za wsią cmentarz. Rodzinny grobowiec zaraz przy wejściu jest. Kute w stali ogrodzenie mech porósł. Na zmurszałym nagrobku trudno odczytać pozacierane od starości litery.

ROZWÓD

Dziewiętnasty wiek, a ona rozwieść się chce. Za kochankiem do Warszawy ucieka. Mąż, rodzina – przeciwni. I tak swego dopnie: kościelny rozwód dostanie, drugi ślub weźmie.

CHOPIN

Warszawa jak z Canaletta. Tak na początku XIX stulecia wyglądała, gdy Chopinowie się sprowadzili.

Z przeprowadzką tak było: nauczyciel francuskiego Mikołaj Chopin z żoną i półrocznym Fryderykiem opuścił Żelazową Wolę, bo posadę w stolicy dostał. Na jego pensję magnackie rodziny synów posyłały.

Wodzińscy też Antoniego i Feliksa wysłali. Tak bracia Marii z Fryderykiem się poznali. Przyjaźń pianisty z Antonim całe życie przetrwa. „Czwarty syn” – Wodzińska będzie Fryderyka nazywać.

Ale jeszcze tamta Warszawa z Canaletta. Ta, w której Frycuś dorastał. I talent rozwijał.

Siedmioletni pierwsze polonezy układał.

Ośmioletni koncertował: a to na magnackich salonach, a to w Pałacu Radziwiłłowskim, nawet dla cara Aleksandra i dla Wielkiego Księcia Konstantego grał.

Nastoletni w Liceum Warszawskim nauki pobierał, do kościoła Wizytek na msze chodził i na organach podczas szkolnych nabożeństw grał. A na Miodowej i Długiej kawiarnie ulubione miał. Podobno kelnerki zaczepiał, wiersze dla nich układał.

I pierwszą miłość przeżywał. Konstancja Gładkowska jasne włosy miała, oczy niebieskie i śpiewaczką była. Na koncercie szkolnym ją usłyszał, oczami za nią u Wizytek wodził.

Nostalgiczny. Jego ulubiona pora dnia: gdy zmierzch się zaczynał. „Szara godzina” – mówił.

W Zaduszki 1830 roku Fryderyk Chopin do Wiednia ruszył – po sławę. Przyjaciele do rogatek dyliżans odprowadzili. Może byli wśród nich bracia Wodzińscy?

Nie wiadomo, czy Konstancja była. Przed wyjazdem do pamiętnika mu wpisała:

Ażeby wieniec sławy w niezwiędły zamienić,
Rzucasz lubych przyjaciół i rodzinę drogą,
Mogą Cię obcy lepiej nagrodzić, ocenić,
Lecz od nas kochać mocniej pewnie Cię nie mogą.

Chopin do kraju nie wróci. Konstancji więcej nie zobaczy.

CHUSTKA

Pod rysunkiem w szkicowniku napisała: „Nawet w chustce byle z nim”. Nie o Fryderyku.

PLEYEL

Znów ma siedemnaście lat. Do Fryderyka Chopina list pisze:

„Fortepian służewski tak jest zrujnowany, że ani sposobu grać. Proszę więc pamiętać o Pleyelu. W szczęśliwszych czasach jak dzisiejsze (to się ma tyczyć nas) mam nadzieję, że usłyszę Pana grającego na tym fortepianie”.

Chopin instrument dla niej wysłał – francuski Pleyel (jego ulubiony).

RECITALE

– Że Chopin w Służewie bywał? – Bożena Świątkowska nieraz to słyszała. Jak i to, że u Wodzińskich gościł. Albo że w kościele na organach grał.

– Legenda – uśmiecha się.

Ścieżką przez park idziemy – dawna droga dojazdowa do pałacu, którego nie ma. Po prawej betonowy fortepian. „Fryderykowi Chopinowi w 1000-lecie państwa polskiego” – napis.

– Stąd ta legenda, że jak fortepian, to i Chopin musiał tu bywać – mówi Świątkowska.

Tłumaczy, że dwór Wodzińscy dopiero w połowie lat trzydziestych XIX wieku wyremontowali – wcześniej nie nadawał się do zamieszkania. Kilka lat po wyjeździe Chopina z kraju.

POWSTANIE

Dziewczyny wróżby andrzejkowe odprawiały. A porucznik Piotr Wysocki podchorążych na Belweder prowadził, gdzie namiestnik cara siedzibę miał. Ale wielki książę Konstanty z życiem uszedł.

Tak w noc z 29 na 30 listopada 1830 powstanie wybuchło. „Chodźcie z nami!” – podchorążowie wołali. Stuk zamykanych okiennic im odpowiadał.

Po wszystkim Królestwo Polskie „na zawsze” do Cesarstwa Rosyjskiego wcielono. Iwan Paskiewicz – co powstanie tłumił – namiestnikiem został. Na Sybir zsyłał, majątki odbierał, naród rusyfikował. „Noc paskiewiczowska” – jego rządy nazwano.

A i w Europie dla sprawy zrozumienie małe było.

„Porządek zapanował w Warszawie” – francuski ambasador po stłumieniu rebelii z ulgą do Paryża depeszował.

EMIGRACJA

Gdy powstanie wybuchło, Antoni i Feliks Wodzińscy, a jakże, studia rzucili, mundury konnych strzelców założyli i do polskiego wojska się zaciągnęli.

Rodzice z siostrami z Warszawy uciekli. Teresa w Berlinie najmłodszą córkę urodziła. I o synów martwiła się, że od rosyjskiej kuli zginą. A po wszystkim – że w kibitkach na Sybir pojadą.

Młodych Wodzińskich w Prusach internowano. Teresa Antoniego i Feliksa do Berlina ściągnęła. Ale tam na powstańców niechętnie patrzyli. Wodzińscy do Drezna wyjechali – stolica Saksonii bardziej przychylna polskim tułaczom była.

Wodzińska z dziećmi do Genewy się potem udała, a Wodziński do kraju majątków pilnować. Antoni i Feliks z matką zostali: „noc paskiewiczowska” szalała.

Wodzińska salon w Genewie otworzyła. Polscy i zagraniczni arystokraci i artyści przychodzili. Raz Mickiewicz był, kilka razy Krasiński. A najczęściej Słowacki.

PANTOFLE

Do Chopina znów:

„Pantofle skończone. Posyłam je. Co mnie martwi, to że są za duże. Doktor Paris pociesza mnie mówiąc, że będą dobre dla Pana, gdyż powinien Pan nosić w zimie bardzo ciepłe, wełniane pończochy”.

SŁOWACKI

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Miłosny poemat „W Szwajcarii” tak zaczął. O Marii Wodzińskiej pisał.

W powstańczym rządzie księcia Adama Jerzego Czartoryskiego działał. Po wszystkim na emigracji został. Emigranckimi kłótniami zniechęcony do Genewy się udał. Tam Wodzińskich poznał.

Na długą wycieczkę w Alpy ruszyli. Romantyczna podróż za tło poematu mu posłużyła:

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny.
Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.

Dużo intymności:

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy.

W listach do matki Słowacki o pannie Marii często pisał. Rzeczowo z początku:

„Dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie”.

eprasa.pl 71cea234a7

Łagodniej z czasem:

„Sama pani W. bardzo dobra dama. Córka jej nieładna, ale ma także wiele wdzięku, dobrego serca".

Jeszcze w Genewie wiersz jej dedykował. „W sztambuchu Marii Wodzińskiej" – tytuł dał.

Po alpejskiej podróży Słowacki do Paryża wrócił.

Jakiś czas później matkę zapewniał będzie: „jedni mówią, że się bym zakochał szalenie w pannie Wodzińskiej i uciekłem... Nie ma w tym za grosz prawdy".

Na pewno?

FEMINISTKA

– Była silną, niezależną kobietą – o Marii w Kłóbce słyszę. – Rozwód w tamtych czasach to było niespotykane.

ŚMIESZNY

Kochał się Słowacki w Marii?

Nie było go już na świecie, gdy Maria sama wątpliwości rozwiać się starała. Do bratanka Wodzińskiego pod koniec życia pisała:

„Admiratorki Słowackiego nie mogą pojąć mojej obojętności, która jednak daje się łatwo tłomaczyć tem, że i inni tak samo mną zajęci a ja byłam wtedy taka młoda za to byłam zarazem naturalna, a że Słowacki, jak to już pisałam, nie był jeszcze otoczony aureolą sławy, a nam się często wydawał śmieszny, więc nic dziwnego, żem go nie wyróżniała".

OŚWIADCZYNY

Tymczasem we wrześniu 1835 roku Chopin w stolicy Saksonii się zatrzymał. Byli tam Wodzińscy, którzy Genewę opuścili.

Fryderyk do melodii „Jeszcze Polska nie zginęła" improwizował – aż ktoś rosyjskiemu ambasadorowi doniósł.

Z szesnastoletnią Marią po parkach spacerował, pałace, galerie oglądali. Pierwsze takty „Nokturnu Es-dur" do pamiętnika jej wpisał. „Bądź szczęśliwa" – na drugiej stronie kartki po francusku skreślił. Rękopis „Walca As-dur" darował.

Pod koniec września do Paryża ruszył.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
nie świeciłabym jak tylko dla ciebie

– z drogi wysłał jej.

„W sobotę, kiedy Pan nas opuścił, wszyscy chodziliśmy smutni, z oczami pełnymi łez, po tym salonie, gdzie kilka minut temu należał Pan jeszcze do naszego grona" – Maria odpisała.

Za rok znowu się spotkali – Chopin do Marienbadu przyjechał, gdzie Wodzińska z Marią bawiła. Matka z córką w hotelu „Pod Białym Łabędziem" mieszkały. W tym samym i on się stawił. „Fryderyk Chopin, właściciel ziemski" – przy jego nazwisku w księdze kuracjuszy dopisano.

„Czyżby już zaznaczył, że jest mężem Mari Wodzińskiej?" – 150 lat później zastanawiał się będzie Janusz Ekiert, jego biograf. „Przedwcześnie połączono go z córką właścicielki ziemskiej – Teresy Wodzińskiej" – Ekiert doda.

Czułe spojrzenia, namiętne słowa, spacery przy księżycu znowu. „Smutno niańki ci śpiewały, a ja już kochałem" – do sztambucha jej wpisał.

Ona jego utwory grała. Ołówkiem, akwarelą portretowała. „Carissimo Maestro" – nazywała.

Po miesiącu matka z córką i Chopin do Drezna się udali. Dziewiątego września Fryderyk oświadczył się (o „szarej godzinie").

Oświadczyny na próbę przyjęto: Teresa Wodzińska uznała, że córka jest jeszcze zbyt młoda (miała 17 lat). Chopinowi warunek postawiła: o zdrowie dbać miał.

Maria ciepłe pantofle dla niego zamówiła i do Paryża posłała. Trochę za duże były. Ale pocieszała, że zimą ciepłe pończochy z wełny nosić powinien. Więc pasować będą.

Wincenty Wodziński nie chciał dla córki „fortepianisty". Szlachcica na włościach wolałby.

W Paryżu muzyk bogate życie towarzyskie prowadził, dla dam koncerty dawał, z George Sand na kawę chodził. I ciepłych kapci od Maryni nie nosił.

• **Maria Wodzińska podczas gry na pianinie, zdjęcie niedatowane** FOT. FINE ART IMAGES / BE&W

Paryskie plotki do Wodzińskich doszły. Maria zaręczyny zerwała.

BIEDA

W obitym na czerwono fotelu siedzi, w czarnym surducie, pod kołnierzem białej koszuli muszkę zawiązał, ramiona skrzyżował. Powiadają, że to najwierniejszy portret Chopina.

Akwarelami go namalowała.

Listy od Marii i jej matki Chopin w papier owinął, wstążką różową przewiązał. „Moja bieda" – na wierzchu napisał.

Co na myśli miał?

Janusz Ekiert: „Używał w listach słowa »bieda« w znaczeniu »kłopot«".

Po zerwanych zaręczynach swojej ślicznej uczennicy Elizie Peruzzi dedykował „Walca As-dur". „W hołdzie Pani Peruzzi" – po francusku napisał.

Jakby tamten rękopis, który Marii darował, przekreślić chciał?

Słowacki? Chopin? Jak to możliwe?

Księgarz, wydawca i historyk literatury Ferdynand Hoesick tłumaczył to przymiotami Wodzińskiej: „jako tęga panna, o wyjątkowym temperamencie Włoszki, odznaczała się wielką kokieterią i przedsiębiorczością wobec mężczyzn".

LEKCJE

Kiedy Chopina poznała?

– Pewnie jako kilkulatka – przypuszcza Bożena Świątkowska ze Służewa. – Chopin dawał Maryni lekcje na fortepianie, układał jej paluszki na klawiszach.

To samo umieścić kazała w służewskim parku, na tablicy Marii Wodzińskiej.

O żadnym uczuciu wtedy nie mogło być mowy, uważa. Chopin, o 10 lat starszy prawie od Marii, był już kawalerem. I układał wierszyki o kelnerkach z Miodowej.

SKARBEK

Z Fryderykiem Chopinem przyjaźnił się, jego ojciec przyszłego pianistę do chrztu trzymał.

A wszystko zaczęło się, gdy Skarbkowie z Żelazowej Woli do swojego dworku Mikołaja Chopina na guwernera dla dzieci sprowadzili – każda szlachecka rodzina chlubiła się, że Francuza zatrudnia.

Mikołaj dziesięcioletniego Fryderyka Skarbka francuskiego uczył. Uczeń karierę zrobił: w College de France studiował, wysokim urzędnikiem państwowym był, powieści i dramaty pisał. I Fryderyka Chopina do chrztu trzymał. Młody Frycuś z jego synem Józefem się przyjaźnił.

Józef Skarbek majątek Osięciny na Kujawach po matce odziedziczył. Z zamiłowania geografem był – „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego" współtworzył. Dwudziestego czwartego lipca 1841 roku Marię Wodzińską poślubił. To ten ślub w Służewie.

– Wesele kilka dni trwało – Bożena Świątkowska przypomina.

Młodzi w Osięcinach zamieszkali. W miasteczku sennym, zapyziałym – Marii, co artystyczną duszę miała, trudno się tutaj odnaleźć było. Chociaż mąż pozwalał jej talenty rozwijać.

Hrabia człowiekiem dobrym był: szpitalik pobudował, ochronkę dla dzieci, dom starców i kościół ceglany, bo wcześniej drewniany stał.

I patriotą był. Gdy powstanie styczniowe wybuchło, broń gromadził, powstańczym naczelnikiem na powiat został. Sędziwego wieku dożył.

Osięcinom za karę car prawa miejskie zabrał.

PEGEER

Letnie, upalne popołudnie. W Osięcinach nadal sennie – do dziś są wsią.

Dawny majątek Skarbka po wojnie na pegeer zamieniono, dwór wyremontowano. Ale ktoś zamknął na kłódkę bramę wjazdową do parku. Przez stalowe pręty prześwituje tablica: Ośrodek Hodowli Zarodowej.

Pierwszy mąż Marii w kościele z czerwonej cegły spoczywa.

LISZT

Z listu Marii do bratanka Antoniego:

„Kwestowałam na ubogich w Warszawie. Liszt kładąc swą ofiarę na tackę ukląkł przede mną".

Jej ówczesny teść hrabia Ferdynand Skarbek w Warszawie koncert dobroczynny zorganizował. Maria „Balladę" Chopina zagrała. Hrabia Skarbek samego namiestnika Paskiewicza zaprosił.

„Kurier Warszawski" donosił: „Oklaski wznawiały się po ukończeniu każdego dzieła, szczególniej po wielkiej »Arii« z opery Marino Faliera i po »Balladzie« Szopena, prawie po mistrzowsku i z wielkim talentem oddanych".

„A przecież Liszt się we mnie nie kochał" – pół wieku później Maria bratanka zapewniała. Pewnie za tę „Balladę", którą zagrała, ukląkł przed nią.

Portret Franciszka Liszta ołówkiem narysowała.

ROMANS

Na konnych przejażdżkach się spotykali. Albo przy krzyżu, na rozstajach dróg z Osięcin do Woli on po nią karetą zajeżdżał. W lasku schadzki mieli.

O lasku dramaturg Józef Bliziński księgarzowi Hoesickowi opowiadał: „Tam ich widywał nieraz, znając oboje. Podobno że te schadzki, w końcu uwieńczone ślubem, nie były platoniczne".

On to Władysław Orpiszewski. Ze studiów filozoficznych w Monachium wrócił. Przystojny, towarzyski. Wiersze pisał, na salonach bywał – Maria pokrewną duszę w nim widziała.

Orpiszewscy: patrioci i intelektualiści. Ojciec Władysława w insurekcji kościuszkowskiej się bił. Najstarszy brat w noc listopadową z porucznikiem Wysockim na Belweder szedł, na emigracji u boku księcia Adama Czartoryskiego działał. Drugi brat na Sybir zesłany był.

Najmłodszy Władysław czytał Hegla i Woltera, z poetów najbardziej w Słowackim gustował. Ludzie karierę filozofa albo poety mu wróżyli. Gdy ze studiów wrócił, w rodzinnych dobrach w Kłóbce brat Lucjan gospodarował. Władysław zaczął – jak mawiano – „chodzić dzierżawami". Hrabia Skarbek majątek w Woli, blisko Osięcin, wydzierżawił mu.

„Tam się spotkali Władysław i Maria i stało się, co stać się musiało" – Antoni Wodziński pisał.

Maria od męża do Służewa uciekła. A tam ojciec rwetes podniósł, że córka wstyd przynosi. Rodzice Marię do Osięcin odwieźli. A ona Orpiszewskim do Warszawy uciekła, w klasztorze Sióstr Wizytek się schroniła. O rozwód starania zaczęła.

Biskupi sąd we Włocławku małżeństwo Marii i Józefa unieważnił. Skarbek się odwoływał. Konsystorz metropolitalny w Warszawie unieważnienie podtrzymał. „Z powodów czysto fizycznej natury" – decyzję uzasadniał.

Maria wolna znowu była.

PIANINO

Ktoś zdjęcie jej zrobił. Przy pianinie siedzi. Starsza już.

„Od kilkunastu lat jest szczęśliwą żoną Władysława Orpiszewskiego – uroczego, ale raczej prostolinijnego mężczyzny, który nijak nie mógł konkurować z jej pierwszymi wielbicielami" – ktoś na Facebooku posta napisał.

ORPISZEWSKA

Orpiszewską w kościele parafialnym w Kłóbce została. Ślub cichy był. Ze strony Marii matka przyjechała. Ojciec obrażony, że córka wstyd mu przyniosła, drugiego małżeństwa Marii nie uznał.

W podróż poślubną Władysław żonę do Szwajcarii zabrał. W Alpy, gdzie Maria ze Słowackim była.

Nie był o poetę zazdrosny? Może natchnienia poetyckiego szukał? Jeśli tak, to ze skutkiem takim sobie:

Ach, to Szwajcaria, Szwajcaria. Nade mną
wiszące ogrody,
Pode mną wiszące wody, a przy mnie moja Maria!

Wiersze Władysława Orpiszewskiego do historii literatury polskiej nie weszły.

Po powrocie z wojaży marny poeta Orpiszewski dzierżawcą wsi Zgłowiączka na Kujawach został. Małżonkowie w wiejskim dworku mieszkali. Skromnie żyli. Maria zakasać rękawy musiała.

Wincenty córki ani zięcia w Służewie przyjąć nie chciał.

CYGARA

Dramaturg i komediopisarz Józef Bliziński w młodości na Kujawach bywał. Marię Wodzińską czasem widywał. Podzielił się tym z księgarzem Hoesickiem. Ten z relacji Blizińskiego zapamiętał:

„Zdaniem Blizińskiego, pani Orpiszewska, choć wyglądała na osobę z temperamentem

eprasa.pl 71cea234a7

zmysłowym, jednak kobiecego wdzięku była pozbawiona zupełnie. W każdym razie nie była w jego guście, a że paliła cygara, więc go to do niej zrażało do reszty”.

Do feministki cygara pasują.

WIERZBA

Za kościołem z czerwonej cegły (młody ksiądz Stefan Wyszyński po święceniach wikariuszem tu był) śladów Marii i jej drugiego męża szukam. Drogę wskazała księża gospodyni w Zgłowiączce.

Zamiast szlacheckiego dworku piętrowy klocek. Po dawnej posiadłości resztki ogrodzenia zostały.

– Mury z gliny, dach trzciną kryty, nie dało się w tym mieszkać – pan Jacek był nastolatkiem, kiedy rodzice dworek rozebrali i piętrówkę postawili.

W Zgłowiączce też Chopin miał być.

– Tam, nad rzeką, przy wierzbie mieli się spotykać – pan Jacek pokazuje na zagajnik nad Zgłowiączką. Mówi, że nawet Japończycy przyjeżdżali; też byli przekonani, że pianista tu bywał.

– Nie wiem, ile w tym prawdy – pan Jacek jakby powątpiewał w te opowieści.

Wierzby też nie ma. Jakiś czas temu wichura ją powaliła.

MEZALIANS

– Rodzina Marii uznała jej małżeństwo z Orpiszewskim za mezalians – w Kłóbce usłyszę.

Zawzięła się. To wtedy zapisała: „Nawet w chustce byle z nim”.

CAR

Rok 1851. Car Mikołaj do rezydencji pod Skierniewice podążał. Maria list mu wręczyła, żeby brata męża z Syberii puścił. O ułaskawienie Ignacego Orpiszewskiego po francusku prosiła.

Z doręczeniem listu tak być miało:

Maria przed bramą rezydencji carskiemu orszakowi drogę zajechała, z konia zeskoczyła i w ukłonach petycję Mikołajowi wręczyła.

Albo tak:

Petycję wręczyła, gdy car powozem przez Skierniewice jechał.

A może inaczej jeszcze było.

Ignacy z zesłania wrócił.

TOSKANIA

Poprawiło im się: po śmierci Wincentego rodzina Marii małżeństwo z Orpiszewskim w końcu uznała; Maria w Rysinie niedaleko Kłodawy rodzinny posag dostała; syna urodziła; Władysław wielkiego poetę w nim widział; Maria marzyła, żeby jak Chopin grał.

Aż znowu przyszły nieszczęścia:

Tadzio zdrowo wyglądał, dobrze się rozwijał. A gdy trzy latka miał, umarł.

Zaraz po tym Władysław na gruźlicę zapadł.

Jeszcze przed powstaniem styczniowym Orpiszewscy do Italii wyjechali – ciepły klimat miał Władysławowi zdrowie poprawić. W Pizie i Florencji mieszkali. Maria salon otworzyła, jak niegdyś w Genewie jej matka. Do willi Orpiszewskich Teofil Lenartowicz i Antoni Zaleski przychodzili.

We Florencji Maria do rysowania i malowania wróciła. Gościom Chopina grała.

Zestarzała się, roztyła. Bratanek Antoni ledwo ją poznał, gdy Orpiszewskich odwiedził. „Któżby to w tej wiekiem ociężałej, o wyglądzie prałata dawnego autoramentu co to węgrzynem trącącym myszką, swą otyłość wesoło pokrzepiał, któżby w tej masywnej matronie, poznał ową wiotką, młodocianą Zuzię znad błękitnego Lemanu” – ciotkę opisał.

Włoskie słońce choroby Władysława nie zatrzymało. Maria ciało męża z Italii do Kłóbki sprowadziła. Koło Tadzia pochować kazała.

MADONNA

Na Murillu się wzorowała: hiszpański malarz Madonnę z Dzieciątkiem namalował.

U Marii na obrazie Matka Boża pozę ma podobną, szaty w kolorach tych samych. Dziecię podobno rysy Tadzia ma. Olejem na płótnie obraz namalowała.

BABCIA

Ostatnie lata w Kłóbce przeżyła.

W dworze Orpiszewskich siostrzenica teraz mieszkała: córka jej siostry za bratanka Władysława wyszła. „Duża babcia” – krewni Marię nazywali. „Małą babcią” jej siostra Józefa była.

Maria podpatrzone we Włoszech udogodnienia zastosować w domu kazała: toaletę (nie trzeba było do wychodka biegać) i windę kredensową (służba nie musiała już z kuchni potraw na górę nosić).

Rodzeństwo i znajomych odwiedzała. Do teatrów i na koncerty do Poznania, Warszawy jeździła. Dzieci muzyki uczyła. Chopina często grała.

Na zdrowiu słabować zaczęła. „Żal mi odchodzić” – wnuczce do sztambucha się wpisała.

Umarła 7 grudnia 1896 roku.

LIPA

Czasy Marii w Kłóbce stara lipa pamięta. Rozłożysta. Na tyłach dworu rośnie.

– Gdy z Włoch wróciła, kazała dwór rozbudować – przewodniczka Karolina prowadzi do sal.

To tutaj siedemnastoletnia z autoportretu patrzy. Na ścianach rysunki Marii. Kogo tu nie ma?

Kanonik Sobeski ze Służewa, lekarz Wodzińskich – doktor Paris, guwernantki.

Olejny obraz brata Antoniego, jak na pałac w Służewie tęsknie patrzy.

Chopin (ten na najwierniejszym portrecie), Słowacki, Liszt, Kraszewski. I kopia portretu Słowackiego w fezie.

Jest hrabia Józef Skarbek z kędzierzawą czupryną.

Akwarele: Wenecja, górskie pejzaże w Szwajcarii.

Olejem: portret młodzieńca w stroju renesansowym, dziewczyna przy otwartym oknie wygląda czegoś w oddali, wiejska dziewczyna przy studni.

W jednej komnacie fortepian stołowy. W drugiej pianino Pleyel. Nad klawiaturą rozłożone nuty walca As-dur, które Fryderyk w Dreźnie jej zostawił.

Na sekretarzyku plik listów różową wstążką przewiązany, na wierzchu piórem: „Moja bieda”.

– Atrapa – mówi przewodniczka. Oryginał w czasie wojny przepadł.

EPITAFIUM

„O synku, bez ciebie już życie dla twych rodziców bez słońca ni treści…”, „Przeszło życie pospolite choć górne były marzenia…”.

W kościele Świętego Prokopa w Kłóbce epitafia ku czci Tadzia i Władysława czytam. Proboszcz Leszek Buczkowski mówi, że Maria je ufundowała. Gdy umarła, jej epitafium dołożono: „Żal nosząc w sercu do dni ostatka spoczęła wreszcie żona i matka”. Treść sama ułożyła.

Księdza Buczkowskiego przyjezdni też pytają, czy Fryderyk Chopin w Kłóbce bywał.

Proboszcz Chopina słuchać lubi.

MUZA

Wielki grobowiec Orpiszewskich od bramy widać. Wśród kilkunastu Orpiszewskich imiona Tadzia, Władysława i Marii z Wodzińskich. „Muza Chopina i Słowackiego” – przy nazwisku Marii.

Trzy lata przed śmiercią. Do bratanka kreśli: „Ja nigdy ładną nie byłam”. ●

Korzystałem z książek:

• Janusz Ekiert „Fryderyk Chopin. Biografia ilustrowana”,
• Krystyna Kotula „Maria z Wodzińskich Orpiszewska 1819-1896: życie i dzieło”.

Stare dobre czasy

Pijaństwo, matka wszystkich grzechów

Średniowieczni moraliści uważali karczmy, oberże i piwiarnie za „kościoły diabła”.

Brzezińska

We wrześniu warszawscy radni zafundowali nam mało budującą debatę na temat wad i zalet nocnej sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych. Przeciwnicy zakazu donośnie sprzeciwiali się ograniczaniu swobody działalności gospodarczej. Wybrzmiał również nieuchronny wątek złej lewicy, która chce odbierać mieszkańcom prawa obywatelskie i wzoruje się na PRL-u, który niegdyś walczył z pijaństwem za pomocą propagandy i reglamentacji.

Tymczasem różne pomysły na ograniczenie skutków pijaństwa w miastach pojawiły się długo przed PRL-em i amerykańską prohibicją.

Średniowieczni włodarze rozumieli, że alkohol – pod postacią piwa, a na południu wina – jest istotną częścią diety, składnikiem leków i towarzyszy wielu uroczystościom, rodzinnym i publicznym, ale cenili również ład i święty spokój. Będąc realistami, nie nawoływali do abstynencji ani drastycznych umartwień, tylko bronili porządku publicznego.

Profilaktyką i edukacją zajmował się w tamtych czasach głównie Kościół zaliczający nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu do siedmiu grzechów głównych. Kaznodzieje i teologowie konsekwentnie potępiali pijaństwo jako matkę wszystkich grzechów. Straszyli, że nieodmiennie wiedzie do cudzołóstwa, złodziejstwa, bluźnierstwa, a nawet kazirodztwa, co okraszano wymownym przykładem pijanego w sztok Lota w objęciach lubieżnych córek.

Samemu duchowieństwu zakazywano uczestniczenia w uroczystościach i ucztach podlewanych piwem czy winem oraz odwiedzania karczem, przypominając, że alkohol zaćmiewa rozum i wzmaga pożądanie. Wiernym zaś poddawano pod rozwagę, że picie w niedziele i święta jest świętokradztwem, a grzech pijaństwa prowadzi do nędzy, także duchowej, szkodzi zdrowiu i rodzinie, bo pijak nieustannie pragnie więcej alkoholu, przywodząc do nędzy swoją żonę i dziatki.

W sukurs księżom i mnichom zalecającym trzeźwość przyszła medycyna. Już w XIII wieku Arnold de Villanova – któremu przypisuje się przeszczepienie na europejski grunt sztuki destylacji – przestrzegał, że pijaństwo jest niezdrowe i nie należy mu się oddawać częściej niż dwa razy w miesiącu. Z kolei gniew świeckich prawodawców kierował się głównie przeciwko punktom sprzedaży, czyli karczmom, oberżom i piwiarniom. Moraliści zresztą też lżyli je jako „kościoły diabła” i uważali za źródło wszelkiego zła. Włodarzy średniowiecznych miast niepokoili głównie pijący biedacy, robotnicy, czeladnicy, którym zarzucali, że większość dni spędzają w karczmach, nikczemnie oddając się tam hazardowi i pijaństwom, zamiast zajmować się swoją robotą, by zarobić na życie.

Elity również piły, niekiedy z opłakanymi skutkami. Niektórzy XII-wieczni angielscy dziejopisowie tłumaczyli spektakularny podbój Wilhelma Zdobywcy brakiem rycerskich cnót wśród Anglosasów, którzy ponoć spędzali dnie i noce, chlając z zapamiętaniem, póki się nie pochorowali. Lecz normańskie rycerstwo najwyraźniej sprawnie przystosowało się do miejscowych zwyczajów. W kolejnym stuleciu franciszkański kronikarz Salimbene opisywał wyspiarzy, którzy podbechtywali się nawzajem do picia słowami: „Musisz wypić tyle co ja!”, i obrażali srogo, jeśli ktoś odmówił.

W tej atmosferze intelektualnej od XIII wieku zaczęto ograniczać podaż alkoholu. W 1285 roku angielski król Edward I zakazał otwierania karczem podczas ciszy nocnej – którą średniowiecze świetnie znało – żeby ograniczyć działalność przestępczą po spożyciu.

Inaczej problem usiłował rozwiązać francuski król Ludwik Święty, który w 1256 roku zakazał picia w gospodach wszystkim oprócz podróżnych. Karczmarz miał obowiązek prowadzić spis gości.

Jeszcze inaczej postąpiły władze Florencji, które nakazały oberżystom sprzedawać wino w tak wielkich pojemnikach, by biedni nie mogli sobie na nie pozwolić, a potem zakazywali prowadzenia gospód w pobliżu murów miejskich, kościołów oraz miejsc świętych.

Kraków, nasza średniowieczna stolica, przyłączył się do walki o trzeźwość z pewnym opóźnieniem. Ale i u nas od XIV wieku ponawiano zakazy sprzedaży alkoholu w niedzielę i święta. Władze odnotowały również opłakane skutki pijaństwa w niedzielę, czyli poniedziałkowanie.

Przyjmowano różne rozwiązania prawne. Różna też była ich skuteczność i trwałość. Niemniej tradycja ograniczania podaży alkoholu jest znacznie dłuższa niż tradycja maksymalizacji zysków z jego sprzedaży i nieograniczonej wolności gospodarczej. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl 71cea234a7

Rany mózgu

Przez dziesięciolecia liczyła się dla nas tylko odwaga. Lęk, stres i traumy nie miały prawa istnieć.

Sebastian Pawlina

Zbigniew Blichewicz „Szczerba" chciał popełnić samobójstwo. Szczegóły są niejasne. Jedyne zachowane relacje złożyli bracia Lech Hałko i Zbigniew Chałko, jego podwładni. I tak jak różnie zapisywali nazwisko rodowe, tak inaczej zapamiętali ten moment.

Według pierwszego ich dowódca próbował się zastrzelić tuż po ostatnim apelu swojej kompanii przed jej wyjściem z powstańczej Warszawy. Od zamiaru w ostatniej chwili odciągnąć go miał pewien major. Drugi opowiadał, że Blichewicz chciał odebrać sobie życie w samotności. Ubrał się w polski mundur, którego elementów jego żołnierze szukali w zrujnowanym mieście przez kilka godzin, przypiął swoje medale, po czym zniknął. Chałko wpadł do kuchni tuż przed tragedią. W ostatniej chwili podbił rękę, w której „Szczerba" trzymał broń. Kula trafiła w sufit.

GDY MÓZG JĄTRZY I KRWAWI

Powstańcza opowieść Blichewicza wydaje się idealnie skrojona pod niego – przedwojennego aktora mającego zamiłowanie do przesady. Pełna jest ukrytych znaczeń, scen, w których odwaga szła pod rękę z fantazją, a nade wszystko – spięta jest klamrami, w których tragedia miesza się z komedią. Zanim postanowił się zabić, we wtorek 1 sierpnia, gdy ulice stolicy rozbrzmiewały pierwszymi strzałami, czekał na rozkazy, siedząc w fotelu i czytając „Pannę z mokrą głową" Kornela Makuszyńskiego. Wściekły z braku poważnego zajęcia marzył, żeby zostać bohaterem. I nawet mu się to udało.

Feliks Konarski, jego przyjaciel i autor m.in. „Czerwonych maków na Monte Cassino", pisał, że „z szaleńczą lekkomyślnością rzucał się tam, gdzie walka była najbardziej zacięta. Miał wtedy cel, do którego szedł z narażeniem życia, ale też z tą polską brawurą, jaka niegdyś cechowała tych ze szwadronu Kozietulskiego". W nagrodę otrzymał Virtuti Militari. Cenę za to poniósł jednak straszliwą.

Jednym z pierwszych dramatycznych momentów w jego wspomnieniach spisanych kilka lat po wojnie jest ucieczka przed niemieckim patrolem. W jej trakcie otrzymał postrzał w rękę. Do końca walk miał ją unieruchomioną, co znacząco utrudniało mu życie. Jak wtedy, gdy wspinał się po barykadach albo gruzach, trzymając w zdrowej dłoni pistolet. Nieraz wówczas się wywrócił i potłukł.

Jego relacja jest wstrząsającym zapisem przeżyć człowieka, którego rzeczywistość złamała. Rękę wyleczył, ale tego, co z głową zrobiło mu powstanie, nie potrafił.

„»Rany mózgu« spowodowane przez stres bojowy to nie metafora literacka, lecz fakt naukowy", pisze prof. Stanisław Ilnicki, psychiatra wojskowy, organizator i wieloletni kierownik Kliniki Psychiatrii i Stresu Bojowego przy Centralnym Szpitalu Klinicznym Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

Strona po stronie widzimy, jak „rana mózgu" Blichewicza pogłębia się, jątrzy, krwawi. Dzień w dzień dusiły go przytłaczające doświadczenie śmierci, w tym osób mu bliskich, często ginących na jego oczach, poczucie bezsensu wydarzeń, w których brał udział, w końcu uczucie zdrady przez sojuszników. Wszystkie razem sprawiły, że następca szwoleżerów Kozietulskiego, człowiek, który siadał na barykadzie plecami do Niemców i zachęcał żołnierzy do walki, zniknął. „Stracił cel – pisał Konarski. – Przygasł. Stał się małomówny, niebiorący udziału w tym, co działo się wokół niego. Wyobcowany, nieobecny".

Siedem miesięcy później wojna dobiegła końca. Dla „Szczerby" trwała jednak nadal.

NIEWIDOCZNY PROBLEM

Rozbieżność relacji Lecha Hałki i Zbigniewa Chałki na temat próby samobójczej ich dowódcy na początku października 1944 roku może być tylko pozorna. Nie sposób wykluczyć, że Blichewicz podjął dwie próby. Jedną publicznie, co byłoby zgodne z jego zamiłowaniem do przesady, potrzebą posiadania publiczności, a drugą skromniejszą, bez świadków, żeby nikt już mu nie przeszkodził.

Do pierwszej fali samobójstw podczas wojny doszło w Polsce już w związku z klęską we wrześniu 1939 roku. Wtedy na krok ostateczny decydowali się głównie oficerowie, ale też ci bardziej świadomi koszmaru, który nadciągał na niemieckich i sowieckich czołgach. Dzisiaj historii o tych, którzy przytłoczeni lękiem, strachem, stresem, wybierali ucieczkę od życia, znajdziemy ogrom. Często o tych, których uznajemy za bohaterów, niekiedy wbrew nim samym.

Stanisław Likiernik, żołnierz Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, człowiek, którego Roman Bratny uczynił symbolem pokolenia, opowiadał w rozmowie przeprowadzonej z nim przez Emila Marata i Michała Wójcika, że we wrześniu 1944 roku miał „tak dość szpitali, widoku rannych i konających, tego zaduchu śmierci, cierpień niepotrzebnych", że obiecał sobie „nie iść już do szpitala". Zamiast tego wybrał samobójstwo. Ponieważ prawą rękę miał niesprawną, próbował sięgnąć po pistolet lewą, ale nie był w stanie. Przeżył.

O skali problemu w powstaniu warszawskim świadczy wiersz „Godzina hańby" Anny Świrszczyńskiej, sanitariuszki i poetki. Jego bohaterem jest oficer, który w czasie walki wszędzie jest pierwszy. Ale gdy nadszedł czas kapitulacji „ostatnia kula w jego pistolecie/ otworzyła mu drogę ucieczki/ i tą drogą uciekł od swych chłopców/ i nie było go z nimi/ w godzinie hańby".

Źródła, z których jeśli nie wprost, to między wierszami można wyczytać podobne opowieści, szokują. Zarówno samym dramatem tych, którzy decydowali się na taki krok, jak i tym, że temat ten nie cieszy się zainteresowaniem badaczy, zwłaszcza historyków. I nie chodzi tylko o samobójstwa, ale o to, jak potężne emocje targają ludźmi podczas wojny – i po niej. I jakie mogą wywoływać konsekwencje. Nie tylko jednostkowe, ale również psychospołeczne.

JAK EPIZELOS STRACIŁ WZROK

Strach towarzyszy człowiekowi od zarania. A mimo to, jak pisał we wstępie do swojego „Strachu w kulturze Zachodu XIV-XVIII wieku" francuski badacz nowożytności Jean Delumeau, długo był pomijany przez pisarzy i historyków. Wynikało to „z racji rozpowszechnionego w umysłach mylenia strachu z tchórzostwem, odwagi z zuchwałością".

To właśnie odwaga, najlepiej zbudowana na fundamencie poświęcenia dla idei, była tym, o czym należało i warto było pisać i mówić. Delumeau wykazuje, że w badanym przez niego okresie, to jest do XVIII stulecia, literatura sławiła heroizm, nie pozostawiając przestrzeni dla strachu. Ale również XIX wiek nie był czasem dla bojących się. Polacy walczący o odzyskanie niepodległości wychowywali się na cnotach opisanych przez Plutarcha w „Żywotach sławnych mężów". A skoro nie wypadało rozpisywać się o strachu, to również lęk, stres i traumy – jego nieodłączni towarzysze – nie miały prawa obywatelstwa w świadomości ludzi.

Część tych terminów pojawia się później, w XX wieku. Termin „stres" upowszechnił pochodzący z Węgier lekarz Hans Selye, który w 1956 roku wydał książkę „Stres życia". Ćwierć wieku później zaczęto mówić o zespole stresu pourazowego, czyli PTSD (ang. posttraumatic stress disorder), co było konsekwencją badań zapoczątkowanych po wojnie w Wietnamie.

Istotnym przełomem w mówieniu o traumie wojennej była pierwsza wojna świa-

• **Zrujnowana Warszawa po klęsce wrześniowej w 1939 roku. Bombardowania miasta były szokiem dla mieszkańców stolicy** FOT. PAP/REPRODUKCJA EUGENIUSZ HANNEMANN

eprasa.pl 71cea234a7

towa. I choć ukute wówczas pojęcie „szoku artyleryjskiego” (ang. shell shock) wyrastało z błędnych założeń, że jego źródło jest przede wszystkim biologiczne, to wpłynęło na dalsze rozwijanie badań i szukanie przyczyn również psychologicznych. Wtedy również zjawisko to trafiło do tekstów kultury. Najdoskonalszym tego przykładem była powieść Virginii Woolf, „Pani Dalloway” z 1925 roku. Jeden z jej bohaterów cierpi na „szok artyleryjski”.

Pierwszym, który opisał objawy stresu pola walki, był Herodot. W „Dziejach” przedstawił on historię Ateńczyka Epizelosa, który w trakcie bitwy pod Maratonem „stracił wzrok – choć w żadną część ciała ciosem ani rzutem nie był trafiony”. Wszystko stało się w momencie, gdy „stanął naprzeciw niego wielki ciężkozbrojny mąż, którego broda zakrywała całą tarczę; ta zjawa minęła go, lecz zabiła jego sąsiada”.

Zgodnie z tym opisem Epizelos był prawdopodobnie ofiarą ostrej reakcji na stres, inaczej nazywanej ASD (ang. acute stress disorder), która pojawia się od razu albo krótko po wystąpieniu zdarzenia traumatycznego i może ustąpić sama w ciągu kilku dni, do miesiąca. Może jednak rozwinąć się również do poważniejszego PTSD. Wtedy może trwać latami.

MYŚLAŁAM, ŻE TO PRZEZ KSIĘŻYC

To, czego w 490 roku przed naszą erą doświadczył Epizelos, bezpośrednie zderzenie ze śmiercią, było codziennością Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Naloty, ostrzały artyleryjskie, łapanki, egzekucje publiczne, getta, obozy koncentracyjne i zagłady, więzienia czy wywózki sprawiały, że ludzie żyli ze świadomością, że każdy dzień może być ostatnim. Było to doświadczenie zarówno żołnierzy na frontach, jak i cywilów w okupowanym kraju, bez podziału na tych należących do konspiracji i tych niezaangażowanych.

Jesienią 1943 roku Niemcy wprowadzili „Rozporządzenie celem zwalczania zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”, zgodnie z którym za wszystko można było zostać skazanym na śmierć. Temu drakońskiemu prawu towarzyszyły w Warszawie uliczne egzekucje i poprzedzające je listy skazanych na śmierć. Codziennie przed czerwonymi płachtami rozklejanymi na murach domów zatrzymywały się setki ludzi szukających z przerażeniem znanych sobie nazwisk – członków rodzin, przyjaciół, sąsiadów, znajomych.

Sabina Dłużniewska zapisała we wspomnieniach, że któregoś dnia w centrum miasta zobaczyła przed takim plakatem kobietę. Odchodziła od niego i wracała. I tak kilka razy. Stawała przed listą i jęczała cicho. Wpatrywała się w jeden konkretny numer na wykazie, a przy nim imię i nazwisko jej wnuka.

„W drugiej połowie października zaczęłam odczuwać niczym niewytłumaczony lęk. Wmawiałam sobie, że to zwykła nerwica serca albo też może działanie światła księżyca zalewającego pokój. Gdy tylko zasnęłam, budziłam się od razu oblana potem i musiałam dobrze panować nad sobą, aby nie krzyczeć. (...) Bez przerwy prześladował mnie obraz tych, do których byłam przywiązana, których kochałam – pędzonych w papierowych workach na głowie i boso... Mimo że wtedy nie byłam jeszcze świadkiem egzekucji”, opowiadała Dłużniewska.

ZŁAMANA DUSZA

Strach przed śmiercią, smutek spowodowany nagłą utratą najbliższych, doświadczanie masakr, poczucie bezradności wobec zagrożenia – to lista stresorów emocjonalnych wpływających na powstawanie i gromadzenie przez człowieka stresu, który w nadmiarze odbiera człowiekowi możliwość adaptacji do niego. Naturalną reakcją każdego

• **Bydgoszcz, 1940 rok. Niemieccy żołnierze pilnują przy ulicy Parkowej mieszkańców pojmanych w ulicznej łapance** FOT. PAP/CAF

organizmu na stres jest przystosowanie się do niego. Ale tak jak z dźwiganiem ciężarów fizycznych, tak i z psychicznymi wytrzymałość organizmu jest ograniczona. W pewnym momencie dochodzi do załamania. Jak u Zbigniewa Blichewicza.

Kategorii stresorów jest więcej – na przykład fizyczne, społeczne. Ze wspomnianymi emocjonalnymi mierzyła się większość ludzi w tamtym czasie, ale już nie każdy musiał radzić sobie z zabiciem drugiego człowieka, nie każdy cierpiał z powodu głodu.

Ewa Jackowska w pracy „Psychiczne następstwa deportacji w głąb ZSRR w czasie drugiej wojny światowej” stwierdza, że głód odcisnął silne piętno na zesłanych. Świadkowie, z którymi rozmawiała, wiele lat później mieli problem z mówieniem o tym: „Pamiętali, jak płakali, cierpiąc z powodu głodu, i prosili matki oraz osoby dorosłe o jedzenie. Można sobie wyobrazić, co przeżywały matki, nie mogąc ulżyć cierpieniom swych dzieci”.

Koniec wojny nie sprawił, że stresory i ich efekty zniknęły. Trafnie ujęła to Zofia Chomętowska, fotografka, kiedy wspominała swój powrót do Warszawy we wrześniu 1939 roku. Opowiadając o próbie odbudowania codzienności, o zbieraniu wyposażenia domu, przywołała scenę, w której od kobiety opiekującej się jej mieszkaniem usłyszała, żeby się nie martwiła, bo przecież wszystko się znajdzie. Nie pocieszało jej to. Bo „tego, co załamało się w duszy, tego się nie odnajdzie”.

ŚNIĄ MI SIĘ KANAŁ I WIĘZIENIE

Sześć lat później było jeszcze gorzej. Społeczeństwo przeorane dwoma okupacjami weszło w rzeczywistość powojenną, która również była pełna strachu – realnego i wyobrażonego. Wciąż działały jeszcze wojenne stresory, które potrzebowały wielu lat, zanim wygasły – choć nie ich efekty. Większość zesłanych na Wschód powracała w latach pięćdziesiątych. Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zastanawiali się, czy mogą przyjechać do kraju, co u wielu potęgowało poczucie tęsknoty, utraty kontaktu z bliskimi, bezsensu niedawnych doświadczeń. Walka, którą prowadzili, nie przyniosła wolnej i demokratycznej Polski, a ludzie, którzy w niej rządzili, wprowadzili nowy terror. Jego ofiarami stawali się między innymi konspiratorzy, spośród których wielu znalazło się w więzieniach. „Do tej pory dręczą mnie dwa koszmarne sny: kanał i więzienie. W jednym i drugim się duszę”, mówiła kilka lat temu Anna Jakubowska „Paulinka” (1927-2022), sanitariuszka w powstaniu warszawskim.

Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Iwonę Czaję-Chudybę, aż 72 procent więźniów z okresu stalinowskiego doznawało silnego uczucia lęku. Bali się o rodzinę, wychodzenia z domu czy przeciwnie – zamkniętych pomieszczeń. Połowa miała koszmarne sny. Blisko 90 procent z nich w późniejszym czasie mówiło o stanach lękowych, problemach ze snem. Jedna trzecia myślała o samobójstwie. Po wyjściu na wolność – twierdzi badaczka – ich stanu psychicznego nie poprawiało życie w systemie, którego nie akceptowali, ani też ryzyko spotkania oprawców.

Anna Jakubowska „Paulinka”, sanitariuszka w powstaniu warszawskim: „Do tej pory dręczą mnie dwa koszmarne sny: kanał i więzienie. W jednym i drugim się duszę”

Wojenne i tużpowojenne traumy się mieszały. Bez przepracowania, tak indywidualnego, jak i społecznego, wrastały w codzienność. Jedną z niewielu dróg ujścia była twórczość: literatura, malarstwo, muzyka, film. Takim przepracowaniem traumy jest „Ziele na kraterze” Melchiora Wańkowicza. Książka, napisana w 1951 roku, była dla autora próbą przywrócenia pamięci o córce Krystynie, która zginęła w powstaniu warszawskim. Chęcią odmalowania raz jeszcze tego, co dawało mu szczęście. „Jakbym wziął ciepły kłębuszek życia i niósł między szare mury drapaczy w ten doskonale zorganizowany straszny świat”, pisał w zakończeniu.

W większości przypadków nie zwracano uwagi na te emocje, kotłowały się pod przykryciem. O wielu z przyczyn politycznych nie wolno było mówić. Często tylko ten, którego dotyczyły, o nich wiedział. Jak u Tadeusza Różewicza w „Lamencie” opublikowanym w 1947 roku: „Nie jestem młody/niech was smukłość mego ciała/ nie zwodzi”.

Bardziej dosłownie opisał to w „Dialogu z cieniem”, powieści z 1967 roku, Lesław Bartelski. W ostatniej scenie główny bohater, powstaniec warszawski, zastanawia się, ile jeszcze będzie wracał do tamtej przeszłości. „Był już przekonany, że minęła ona bezpowrotnie, jednak nie miał racji. Przeżyć – to znaczyło mieć po prostu szczęście, nie być dotkniętym wyrokiem przeznaczenia, żyliśmy bowiem w zagrożeniu, które do dziś ma na nas wpływ”.

SPOŁECZEŃSTWO TRAUMY

Choć od momentu, kiedy Bartelski to pisał, minęło już blisko 60 lat, jego słowa są aktualne. Wojna ma na nas wpływ. W 2016 roku zespół badaczy kierowany przez profesor Maję Lis-Turlejską opracował wyniki badań – przeprowadzonych na przełomie lat 2007 i 2008 – nad występowaniem PTSD wśród Polaków, którzy przeżyli drugą wojnę światową. Zespołem stresu pourazowego dotkniętych było 29,4 procent osób. Jako wydarzenia traumatyczne wskazywali przeżycie bombardowania, bycie świadkiem egzekucji, pobicia, ukrywanie się czy głód. Wojenny zestaw obowiązkowy. W innych krajach europejskich w podobnych badaniach wyniki wahały się od 1,9 procent w Austrii do 10,9 procent w Niemczech. Polska wyraźnie wyróżnia się na ich tle.

W projekcie Muzeum Powstania Warszawskiego „Korzenie pamięci”, w którym biorą udział dzieci i wnuki powstańców, temat traumy przewija się regularnie. Syn jednego z nich żałował, że w czasach jego ojca nie było możliwości poddać go terapii. „Bardzo by mu się przydała. Gdyby przepracował swoje traumy, my jako dzieci mielibyśmy trochę łatwiej. Bo rzeczywiście ta jego marszruta wojskowa, jego powstańcze wspomnienia zdeterminowały to, jaki był dla swoich dzieci, dla nas”.

Prof. Michał Bilewicz w swoim „Traumalandzie” zauważa, że trauma drugiej wojny światowej stanowi kluczowy element opowieści historycznej Polaków. Nie jest to jednak trauma sama w sobie, ale historie, które do niej doprowadziły. Bitwy, obozy, więzienia, wywózki, egzekucje. Dzisiaj potrzebujemy zmiany proporcji w tej narracji. Nie wydarzenia powinny stać w centrum naszej uwagi, ale związane z nimi emocje. To one powinny zostać przez nas opowiedziane i zrozumiane.

Jak przekonują autorzy badania opublikowanego dwa lata temu w „Scientific Reports”, wśród nich Maja Lis-Turlejska, Marcin Rzeszutek, Małgorzata Dragan, niewiedza na temat przeżyć członków rodziny podczas wojny wpływa negatywnie na ich dzieci i wnuki. Także somatycznie. Trauma, PTSD, stres przyczyniają się do rozwoju chorób układu krążenia, depresji, problemów z płodnością. Tam, gdzie najtrudniejsze tematy były dyskutowane, trauma słabiej wpływała na kolejne pokolenia. W naszym interesie – traktowanym jednostkowo i społecznie – jest głośno powiedzieć, że jesteśmy społeczeństwem straumatyzowanym wojną. Uznanie tego jest pierwszym krokiem do poprawy.

ZASNĄĆ

Przypomnijmy, jak Feliks Konarski scharakteryzował Zbigniewa Blichewicza po powstaniu: „Stracił cel. Przygasł. Stał się małomówny, niebiorący udziału w tym, co działo się wokół niego. Wyobcowany, nieobecny”. Brak możliwości przepracowania koszmaru, którego doświadczył, sprawiał, że pogrążał się w swoim dramacie.

O próbie samobójczej w październiku 1944 roku nigdy nie napisał. Przyznał za to, że gdy po wojnie przebywał w Rzymie, nocą, gdy wypił trochę, zamykał pistolet w nocnej szafce na klucz, a klucz rzucał pod łóżko. Bał się, że znowu sięgnie po broń. Kolejne lata były walką o przetrwanie – fizyczne i psychiczne. Razem z żoną mieszkali w Wielkiej Brytanii, USA, w Niemczech, dokąd ściągnął ich Jan Nowak-Jeziorański. Blichewicz pracował w Radiu Wolna Europa. Żona „Szczerby”, również poturbowana przez wojnę, kilkukrotnie próbowała się zabić, skacząc z okna. Zginęła 1 września 1959 roku.

Półtora miesiąca później Zbigniew zażył garść tabletek, które popił whisky. Zasnął i już się nie obudził. W liście, który pozostawił na stoliku, napisał: „Próbowałem żyć, nie potrafię”.

Bo żeby żyć, trzeba rozmawiać. Szczególnie o tym, co trudne i bolesne. ●

eprasa.pl 71cea234a7

Wydarzenia, do których doszło 25 lat temu, umeblowały polską scenę polityczną aż do dziś.

• **Paweł Piskorski podczas wyborów prezydenta Warszawy, sesja rady miasta, 29 lutego 2000 roku** FOT. PIOTR MOLĘCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROK 2000, CZYLI EFEKT MOTYLA

Piotr Śmiłowicz

Taki dzień zdarza się raz na tysiąc lat. Zgodnie bowiem z kalendarzem gregoriańskim lata kończące stulecia, choć powinny być przestępne, takie nie są i mają tylko 365 dni. Wyjątkiem jednak są lata kończące tysiąclecia. O ile więc na przykład rok 1900 nie był przestępny, o tyle rok 2000 miał już 366 dni. Dlatego uzasadnione byłyby oczekiwania, że 29 lutego 2000 roku zdarzy się coś doniosłego. I się zdarzyło, przynajmniej w polskim życiu politycznym.

OPOWIEŚĆ JAK ZE „ZŁEGO"

Na pozór nie było to wydarzenie znaczące: zmieniany był jedynie ustrój Warszawy. Konieczne było rozdzielenie funkcji prezydenta Warszawy i burmistrza Gminy Warszawa-Centrum. Od 1999 roku jednym i drugim był polityk Unii Wolności Paweł Piskorski. Tym razem chodziło o to, by Rada Warszawy wybrała go wyłącznie na stanowisko prezydenta (wtedy jeszcze nie było wyborów bezpośrednich), burmistrzem Gminy Centrum w myśl ustaleń koalicyjnych miał zaś zostać polityk Akcji Wyborczej Solidarność. AWS wraz z UW tworzyły bowiem koalicję rządową. Wszystko było dogadane przez liderów partyjnych i do głosowania miało dojść właśnie 29 lutego.

Gdy ogłaszano jego wynik, obecni nie kryli zaskoczenia – okazało się, że do wyboru zabrakło jednego głosu. Piskorskiego nie poparło kilku radnych AWS, którzy nie czuli się związani instrukcjami liderów. Jednym z nich była Julia Pitera, w późniejszych latach polityczka Platformy Obywatelskiej, a nawet pełnomocnik pierwszego rządu Donalda Tuska do walki z korupcją.

Dziś Pitera jest poza polityką, ale przekonuje, że jej wiedza na temat tego, co się działo wtedy w Warszawie, powodowała, że nie mogła – tak jak i jej koledzy radni – zagłosować inaczej.

– Opisanie tego wszystkiego to byłaby opowieść jak ze „Złego", tylko zabrakło Tyrmanda – przekonuje.

Piskorski jej zdaniem był przedstawicielem nieformalnego „układu warszawskiego", więc nie mogła go poprzeć, choć mocno ją naciskano.

– Zadzwonił do mnie ówczesny poseł AWS Mariusz Kamiński i namawiał do głosowania na Piskorskiego, bo byłam w AWS z rekomendacji Ligi Republikańskiej. Inny kolega z AWS zaprosił mnie i kolegę na kolację i powiedział, że jeśli poprzemy Piskorskiego, ja dostanę wiceprezydenturę Warszawy, a mój kolega zostanie przewodniczącym Rady Warszawy. Gdy odmówiliśmy, zwołano cały warszawski AWS i kazano wszystkim podpisywać lojalkę, że będzie się głosować na Piskorskiego. My tego nie podpisaliśmy. Padały groźby pod naszym adresem, więc powiedziałam: nigdy w życiu – relacjonuje Pitera.

PISKORSKI NIE CHCIAŁ, ALE MUSIAŁ

Od razu po głosowaniu nikt się nie spodziewał, jak daleko idące konsekwencje będzie ono miało. Tymczasem był to klasyczny efekt motyla.

Najpierw Piskorski, rozczarowany fiaskiem porozumienia z AWS, dogadał się z radnymi SLD i dzięki ich głosom udało się go wybrać na prezydenta, ale za cenę fotela burmistrza dla polityka Sojuszu Jana Wieteski.

To z kolei rozwścieczyło warszawskich polityków AWS, którzy chcieli zablokować wybór Wieteski. Odwlekając zwoływanie posiedzenia rady gminy, która miała dokonać wyboru, zamierzali dać podstawy do ustanowienia zarządu komisarycznego. Gdy Wieteska mimo to został wybrany, politycy AWS zaczęli naciskać na premiera Jerzego Buzka, by wprowadził w Gminie Centrum zarząd komisaryczny, bo wybór polityka SLD jest nieskuteczny i gmina nie ma władz. Po wielodniowych przepychankach i hamletyzowaniu Buzek uległ i powołał na komisarza Andrzeja Hermana. To z kolei wywołało polityczną lawinę.

Władze Unii Wolności uznały bowiem decyzję premiera za podstawę do zerwania koalicji na szczeblu rządowym. Tym bardziej że z powodu braku panowania nad skonfederowanym klubem AWS nie udawało się przeprowadzić różnych rządowych inicjatyw, co wyjątkowo frustrowało lidera Unii, a zarazem wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza. Sprawa warszawska stała się więc przysłowiową kroplą, która przelała czarę.

Również znajdujący się poza wielką polityką Paweł Piskorski przekonuje dziś, że musiał się porozumieć wtedy z SLD, bo tylko Sojusz z Unią Wolności dysponowały stałą większością. Decyzja premiera o komisarzu miała zaś tak daleko idące konsekwencje z powodu wcześniejszych wydarzeń. W wieczór poprzedzający tę decyzję trzem liderom Unii – Leszkowi Balcerowiczowi, Bronisławowi Geremkowi i Tadeuszowi Syryjczykowi – premier Buzek miał obiecać, że zarządu komisarycznego nie wprowadzi. Tymczasem rano okazało się, że wprowadził, bo w nocy odwiedzili go warszawscy politycy AWS. Wówczas Balcerowicz zarzucił Buzkowi złamanie danego słowa.

– To był przełom, który spowodował, że Unia straciła wiarę w premiera i koalicję. Wtedy odbył się zarząd Unii i podjęto decyzję o wyjściu z koalicji – twierdzi Piskorski.

DRUGA SZANSA KACZYŃSKICH

W rzeczywistości to wychodzenie UW z koalicji trwało wiele dni, bo w partii nie było jednoznacznego poparcia dla tej decyzji, więc kierownictwo prowadziło z AWS negocjacje, a raczej je symulowało. W końcu doszło do ostatecznego zerwania i ministrowie z UW

2 RP

eprasa.pl 71cea234a7

opuścili rząd Buzka, który stał się mniejszościowy. Miał jednak gwarancje trwania, ponieważ w Sejmie nie było alternatywnej większości, która byłaby w stanie stworzyć nowy rząd. Buzek musiał jedynie uzupełnić wakaty po ministrach z UW i w nowych warunkach, zwolniony z obowiązku politycznego konsultowania swoich nominacji, zrobił to szybko.

Jak się potem okazało, najważniejsze było powierzenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w miejsce Hanny Suchockiej profesorowi Lechowi Kaczyńskiemu. Od pięciu lat, odkąd przed upływem kadencji odwołany został z fotela prezesa Najwyższej Izby Kontroli, był on poza polityką. Jego brat bliźniak Jarosław był z kolei posłem nic nieznaczącego kilkuosobowego koła Ruchu Odbudowy Polski, przekonanym, że właśnie dożywa swoich dni jako polityk szczebla krajowego. Tymczasem nominacja dla Lecha stworzyła szansę na powrót braci do wielkiej polityki.

Nowy minister sprawiedliwości wypowiedziami o konieczności wprowadzania twardego prawa zdobywał sobie coraz większą popularność. Która z czasem stała się tak duża, że na początku 2001 roku można było utworzyć pierwsze komitety wsparcia dla niego, które nazwano komitetami Prawo i Sprawiedliwość.

Tymczasem w Unii Wolności sytuacja po opuszczeniu koalicji nie była dobra. Balcerowicz poza rządem nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zatem gdy jesienią 2000 roku okazało się, że prezes Narodowego Banku Polskiego Hanna Gronkiewicz-Waltz przed upływem swojej kadencji w banku centralnym zamierza przenieść się na fotel wiceprezesa Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, postanowił opuścić politykę partyjną i zostać prezesem NBP. Po krótkich negocjacjach poparcie dla niego zadeklarował były koalicjant AWS w zamian za wspieranie przez UW niektórych rządowych projektów ustaw.

KOMPROMITACJA LIDERA AWS

Paweł Piskorski przyznaje, że gdyby w feralnym głosowaniu 29 lutego udało się go wybrać na prezydenta Warszawy, Unia zostałaby w rządzie, przez co Lech Kaczyński nie zostałby ministrem, nie doszłoby też zapewne do rozłamu w Unii, nawet jeśli Balcerowicz odszedłby do NBP.

– Nie wiadomo, jak długo Leszek by wytrwał w rządzie, nawet gdyby nie było sprawy warszawskiej. Niewykluczone, że znalazłaby się inna kropla, która przelałaby czarę, bo chciał wyjść z rządu już wcześniej. Niemniej jednak był i jest odpowiedzialny, więc gdyby nie ta sprawa, pewnie źle by się w koalicji czuł, ale nie miałby większości w partii do podjęcia decyzji o wyjściu – mówi były polityk UW i PO.

W międzyczasie jednak doszło do innego kluczowego wydarzenia roku – 8 października wybory prezydenckie już w pierwszej turze wygrał dotychczasowy prezydent Aleksander Kwaśniewski. Jego główny konkurent – lider rządzącego AWS Marian Krzaklewski – zajął dopiero trzecie miejsce, co w przypadku największego ugrupowania było kompromitującą porażką. AWS po wyborach pogrążyła się więc w wielotygodniowych rozliczeniach.

Drugie miejsce trochę niespodziewanie zdobył niezależny kandydat Andrzej Olechowski. Nad jego poparciem zastanawiała się wcześniej Unia Wolności, ale finalnie nie poparła nikogo. To ta decyzja, od której mija właśnie 25 lat, była kolejnym brzemiennym w skutki politycznym zdarzeniem 2000 roku.

Piskorski przyznaje, że podczas jednego z wyjazdowych posiedzeń władz UW doszło do karczemnej awantury między nim a Bogdanem Borusewiczem. Piskorski przekonywał, że Unia popełnia samobójstwo, nie mając kandydata w wyborach prezydenckich. Borusewicz zaś twierdził, że partia nie powinna popierać dawnego agenta służb PRL.

Zdaniem Piskorskiego, gdyby UW była jeszcze wtedy w rządzie, prawdopodobnie poparłaby jednak Olechowskiego. Wtedy zapewne zdominowałaby jego zaplecze i Olechowski byłby bardziej związany z Unią i trudniej byłoby mu potem tworzyć alternatywne ugrupowanie. Dzięki jego popularności wzrosłyby natomiast notowania UW.

NOWY TRIUMWIRAT

W tamtych realiach jednak, po rezygnacji Balcerowicza, pozostawała kwestia obsady wakatu na stanowisku przewodniczącego partii. Wyboru nowego miał dokonać zaplanowany na połowę grudnia 2000 roku kongres. Do walki o tę funkcję stanęli liderzy obu skrzydeł UW – Bronisław Geremek jako przedstawiciel środowiska dawnej Unii Demokratycznej, a także Donald Tusk, lider frakcji dawnego Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Mimo dobrej kampanii Tuska podczas kongresu Geremek zdecydowanie wygrał, dawni liberałowie zostali zaś dodatkowo upokorzeni wycięciem z władz partyjnych.

Gdy się okazało, że Olechowski chce wykorzystać kapitał polityczny, jaki zgromadził w wyborach prezydenckich, sfrustrowana frakcja liberałów postanowiła opuścić Unię Wolności. Wraz z Olechowskim oraz popularnym marszałkiem Sejmu z rozbitej i skłóconej AWS Maciejem Płażyńskim na początku stycznia 2001 roku założyła nową formację – Platformę Obywatelską.

Piskorski przyznaje dziś, że Tusk nie miał szans na wygraną w UW, ale i tak dostał dużo więcej głosów, niż się spodziewano. Jednak nawet po wycięciu z władz Unii dawni liberałowie nie byliby skłonni opuszczać partii, gdyby nie mieli politycznej alternatywy. A Olechowski, planujący tworzenie nowego ruchu, wcale taką alternatywą się nie wydawał, bo początkowo nie akceptował Tuska. Zwłaszcza odkąd ten publicznie zadeklarował, że na agenta nigdy nie zagłosuje.

– Atmosfera między panami była napięta. Gdyby nie udało mi się przekonać Olechowskiego do Tuska, być może Olechowski by coś stworzył, ale bez całości środowiska KLD – przyznaje Piskorski.

Jednak w 2001 roku Platforma Obywatelska z triumwiratem Olechowski-Płażyński-Tusk na czele zaczęła zyskiwać poparcie, deklasując zszokowaną Unię Wolności. Z kolei w elektoracie prawicowym komitety PiS zdobywały coraz lepsze notowania kosztem skompromitowanej AWS.

MOMENT ZWROTNY

Finałem tego procesu były wybory 23 września 2001 roku, wygrane zdecydowanie przez główną siłę opozycyjną – Sojusz Lewicy Demokratycznej. Niemniej jednak wśród ugrupowań parlamentarnych znalazły się Platforma Obywatelska, która uzyskała drugi wynik, oraz Prawo i Sprawiedliwość. Unia Wolności, jak i startująca jako koalicja AWS nie przekroczyły zaś progów wyborczych.

Piskorski przyznaje, że 2000 rok to był rzeczywiście moment zwrotny, bo dotychczasowe formacje solidarnościowe się wypaliły, afera wokół jego wyboru na prezydenta była zaś katalizatorem wydarzeń. Gdyby nie ta sprawa, scena polityczna zapewne uległaby przebudowie, bo siły odśrodkowe w AWS były potężne, również konflikt między liberałami a dawną UD w Unii Wolności był silny. Nawet więc wejście obu formacji do Sejmu w 2001 nie zatrzymałoby rozłamów i dekompozycji sceny politycznej. Byłaby to jednak inna scena, zapewne bez braci Kaczyńskich.

Julia Pitera żartuje, że jej głosowanie z 29 lutego 2000 roku można zatem porównać do zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda w 1914 roku, które wywołało pierwszą wojnę światową. Zapewnia jednak, że nawet z dzisiejszą wiedzą zagłosowałaby tak samo. ●

Po nominacji na na ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego wypowiedziami o konieczności wprowadzania twardego prawa Lech Kaczyńskie zdobywał coraz większą popularność. Która z czasem stała się tak duża, że na początku 2001 roku można było utworzyć pierwsze komitety, które nazwano komitetami Prawo i Sprawiedliwość

REKLAMA Kraj/34398151

KSIĄŻKA

Wyjątkowe świadectwo epoki

Wywiad-rzeka z Piotrem Nowina-Konopką – działaczem opozycji demokratycznej w PRL, doradcą prezydenta Lecha Wałęsy, wieloletnim posłem i ambasadorem Polski w Watykanie.

Wyd. C.H.Beck, Warszawa 2025

„Dokąd tą drogą?” to zapis wielogodzinnych, niezwykle ciekawych rozmów Andrzeja Brzezieckiego z Piotrem Nowina-Konopką. Osobiste anegdoty przeplatają się w nich z analizą procesów politycznych i refleksją nad rolą elit, państwa oraz Kościoła we współczesnym świecie. Przede wszystkim jednak – to głos człowieka dialogu, który całe życie pytał – dokąd tą drogą? Książka powstała krótko przed śmiercią Piotra Nowina-Konopki w czerwcu 2025 roku. To ważna pozycja dla wszystkich zainteresowanych historią współczesną, polityką, relacjami państwo – Kościół i ideą wspólnoty europejskiej.

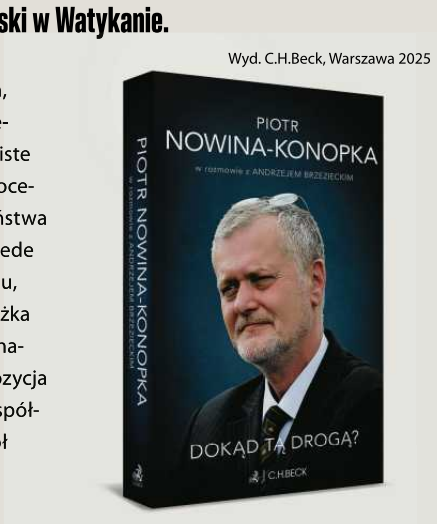

Jako polityk Piotr potrafił współpracować blisko i owocnie z kilkoma jakże różnymi postaciami i osobowościami: z Lechem Wałęsą jako jego rzecznik prasowy, z Wojciechem Jaruzelskim jako minister stanu z ramienia „Solidarności” w Kancelarii Prezydenta, czy z Tadeuszem Mazowieckim jako sekretarz generalny Unii Demokratycznej. Zarazem pozostawał zawsze sobą (...)

HENRYK WOŹNIAKOWSKI

Zawsze odbierałem go jako człowieka wiernego Kościołowi katolickiemu, ale nie bezkrytycznego wobec tej instytucji. Był zdecydowanie antykomunistyczny i konserwatywny w duchu Jacka Woźniakowskiego.

ADAM MICHNIK

eprasa.pl 71cea234a7

weekendówka 174

ŚLADAMI DINOZAURÓW

Pamiętacie swoją pierwszą pasję? Ale taką najpierwszą, przedszkolną, względnie zerówkową?

U mnie to były dinozaury. Zaczęło się w zerówce, od mojego kolegi, które te dinozaury zapamiętale rysował, bezbłędnie podając ich nazwy, które brzmiały egzotycznie i piekielnie intrygująco.

Brontosaurus, tyrannosaurus, stegosaurus, triceratops – właśnie tak, z tym łacińskim „usem" na końcu, choć funkcjonowały przecież rodzime brontozaury i tyranozaury.

Zajawka przeniosła się na wczesne podstawówkowe czasy, gdzieś tam błąkała się nawet myśl o profesji archeologa, ale ostatecznie zapał nie przetrwał próby czasu. „Parki jurajskie" tudzież animowany serial „Dino jeźdźcy" traktowałem z rewerencją należną dawnemu zamiłowaniu, ale to wszystko.

Właśnie dziś wspominam sobie to wszystko z miłym rozrzewnieniem, bowiem dzisiejszą „Weekendówkę" postanowiliśmy poświęcić dinozaurom. To za sprawą przypadającej 4 października rocznicy powołania przez prezydenta USA Woodrowa Wilsona Dinosaur National Monument – pomnika narodowego na granicy Kolorado i Utah. Stało się do sześć lat po odkryciu w tym miejscu ośmiu kręgów szkieletu apatozaura przez paleontologa Earla Douglassa, pracownika Muzeum Historii Naturalnej Carnegie.

Początkowo odkryte szczątki były wywożone do Pittsburgha, gdzie mieści się Carnegie Museum, ale potem badacze uznali, że lepiej będzie pozostawić je tam, gdzie zostały odnalezione. I stąd wziął się Dinosaur National Monument.

Pomnik, prezydencką decyzją, obejmował początkowo obszar 80 akrów (0,3 km kw.), z czasem powiększono go do akrów 210 (853 km kw.). Na miejscu jest ponad 800 stanowisk paleontologicznych, a tam aż 1500 kości ponad 100 różnych dinozaurów z 11 gatunków, m.in. diplodoka, barozaura, ceratozaura, stegozaura czy allozaura.

Quarry Exhibit Hall, czy też „ściana kości" (Wall of Bones) jak potocznie bywa nazywana główna atrakcja parku, to prawdziwy raj dla miłośników prehistorycznych gadów.

Park odwiedza co roku ponad 300 tys. osób, oczywiście niekoniecznie fanów dinozaurów, bo w Dinosaur National Monument można robić wiele innych rzeczy, na przykład pospinać się górskimi szlakami, wziąć udział w spływie czy powędkować, ale, dalibóg, kto by ryby łowił, jak może popatrzeć na dinozaury!

Dlatego dziś wielka gratka dla wszystkich ich miłośników – zapraszamy do „Dinozaurówki"! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

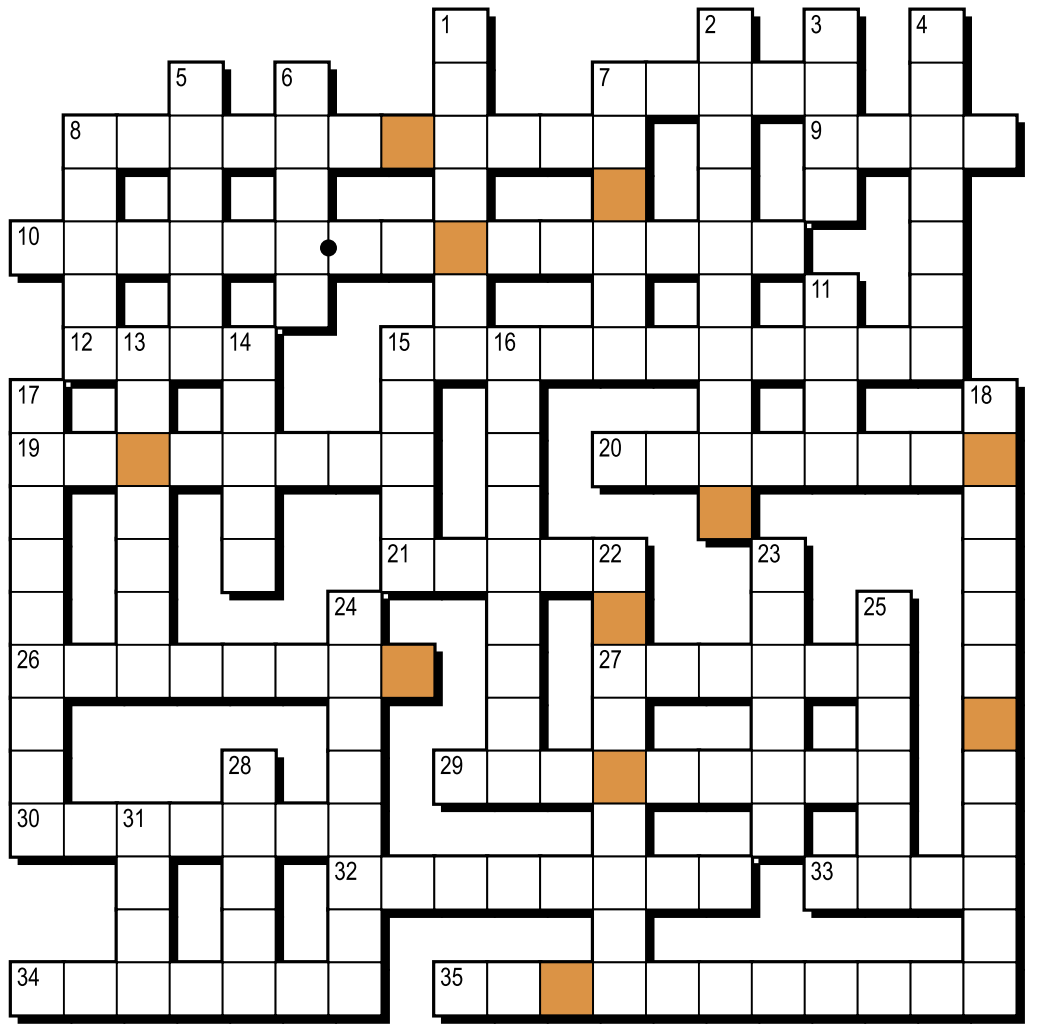

DAWNO, DAWNO TEMU
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) trzeci okres ery mezozoicznej
8) dzieje ludzkości od momentu pojawienia się człowieka (a także nauka stanowiąca przedmiot badań archeologicznych)
9) sieć sklepów kojarząca się z kopalnymi gadami
10) reżyser filmu z określenia 12 poziomo
12) „... Jurajski", film, w którym dinozaury dają czadu!
15) największe drapieżne gady kopalne
19) „dinozaury" takie jak Mick Jagger, Roger Waters, Robert Plant
20) nieobce pterodaktylom
21) trzeci okres ery paleozoicznej
26) ... dinozaura, odkryty i wykopany przez archeologów
27) spiralne – okrywały ciała 1 pionowo
29) istoty takie jak australopitki
30) drugi okres ery paleozoicznej
32) Michael, autor powieści sfilmowanej przez 10 poziomo
33) rodzaj deformacji tektonicznej
34) stworzenia budzące grozę; potwory, poczwary
35) krewni i znajomi Freda Flintstone'a z Bedrock City

Pionowo:
1) kopalne głowonogi o czterech oskrzelach, żyjące w okresie od dewonu do kredy (z liter wyrazu „namioty")
2) dwunożny dinozaur z podrzędu terapodów, taki jak ornitomim
3) dinozaury lub żółwie
4) gatunek literacki, w którym pojawiają się smoki, bazyliszki
5) „..., ostatni dinozaur", serial animowany
6) przejmujące w epoce lodowcowej
7) piąty okres ery paleozoicznej
8) wielki rozlew wód
11) drugi okres ery mezozoicznej (... Krakowsko-Częstochowska)
13) najstarszy okres w dziejach naszej planety
14) najstarszy okres ery paleozoicznej
15) najstarszy okres ery mezozoicznej
16) „Dzieci ...", przebój zespołu T-Rex (wpisujemy w mianowniku)
17) „... dinozaurów", serial z Discovery Channel (jak kraj monarchy)
18) naukowcy badający płazy i gady
22) kopalna małpa człekokształtna
23) ... Historii Naturalnej w Londynie
24) ... naturalna, podstawowy czynnik ewolucji organizmów (słabszym już dziękujemy)
25) prehistoryczny ocean (od imienia żony Okeanosa)
28) „Staruszek ... nie wygląda na tyle lat"
31) Laura, amerykańska aktorka, zagrała w filmie z określenia 12 poziomo

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 173 z 27.09:

Poziomo: 6) Sopot 9) autostopowicz 10) wycieczka 12) stanica 13) uczniowie 14) okolica 17) letniczka 18) Odznaka Turystyczna 22) ksenofob 25) rzeka 26) wałówa 27) kamper 29) lot 31) łazęga 32) noclegi 33) zabawienie 34) wyprawa 35) brzeg

Pionowo: 1) turyści 2) nogi 3) koczownictwo 4) wojaże 5) piosenka 6) szlak 7) powieści 8) tułacz 11) Egipt 14) okrycia 15) lasy 16) widoki 17) linie 19) tobół 20) caravaning 21) niezbędnik 23) namioty 24) Fiedler 26) waliza 28) manele 30) tabor

HASŁO: PRZEWODNICZKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 71cea234a7